



RICHARD PAUL

# EVANS

HOTEL  
POD JEMIOŁĄ

NAJLEPSZE LATA NASZEGO ŻYCIA  
SĄ ZAWSZE PRZED NAMI

znak litera  
nova

RICHARD PAUL  
EVANS

*Hotel Pod Jemiołą*



tłumaczenie  
Hanna de Broekere

**znak** *litera*  
*nova*

Kraków 2017

*Pamięci mojej matki*  
*June Thorup Evans*

## Słowo od Autora

Kilka lat temu postanowiłem napisać zbiór bożonarodzeniowych historii miłosnych pod tytułem *Kolekcja pod jemiółką*. Pierwsza powieść z tego cyklu, bestseller z 2014 roku, nosi tytuł *Obietnica pod jemiółką*. Niniejsza książka, *Hotel Pod Jemiółką*, jest druga. Trzecia, *The Mistletoe Secret*, ukazała się w Stanach Zjednoczonych jesienią 2016 roku. Powieści te nie tworzą trylogii. Są to trzy niezależne od siebie, podnoszące na duchu, pełne humoru, romantyczne historie o miłości – i są prezentem gwiazdkowym dla moich czytelników.

Nie oznacza to jednak, że pomiędzy tymi trzema książkami nie istnieje żaden związek. Główna bohaterka niniejszej powieści, Kim Rossi (nazwana tak na cześć mojej nauczycielki w trzeciej klasie), jest ambitną autorką romansów pracującą nad książką zatytułowaną *Obietnica pod jemiółką*. To taki mój prywatny żart. Wykorzystałem ten tytuł tylko dla zabawy, ponieważ nie ma on żadnego związku z opowiadaną historią ani jej zakończeniem.

Mam nadzieję, że sprawię Wam przyjemność tym świątecznym upominkiem oraz że napełni on Wasze domy i serca (oraz serca tych, którym polecicie tę książkę) radością, miłością i pokojem.

Z życzeniami pomyślności

Richard Paul Evans

## *Prolog*

Miałam jedenaście lat. Wracając z przyjęcia urodzinowego jednej z koleżanek, zobaczyłam karetkę pogotowia stojącą na podjeździe przed moim domem. Upuściłam podarki, które dostałam na przyjęciu, i ruszyłam biegiem. W domu było pełno ludzi: ciotki, wujkowie, jacyś sąsiedzi i nasz pastor. Nie dostrzegłam tylko moich rodziców.

– Co się stało? – zapytałam.

Moja ciocia pochyliła się, by móc patrzeć mi w oczy.

– Kimmy, twoja mama próbowała odebrać sobie życie.

Jej słowa mnie zmroziły.

– Czy ona żyje?

– Nie wiem, kochanie. Czekamy, aby się czegoś dowiedzieć.

Zaczęłam płakać, wycierając oczy rękawem bluzki.

– Muszę ją zobaczyć!

– Teraz lepiej nie – powiedziała ciocia i delikatnie chwyciła mnie za rękę.

Wyrwałam się i pobiegłam do pokoju rodziców. Krzepki sanitariusz zatrzymał mnie przed drzwiami sypialni, przytrzymując mocno w pasie.

– Stój!

– Niech mnie pan puści! – krzyknęłam, szarpiąc się.

– Lepiej, żebyś tam nie wchodziła.

– To moja mama! – wrzasnęłam.

– Właśnie dlatego tak będzie najlepiej.

Musiał usłyszeć mnie tata. Gdy go zobaczyłam, przestałam się szarpać. Było po nim widać zmęczenie i udrękę. Ukucnął i mnie objął.

– Mama wyzdrowieje – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Musisz tu poczekać, aż ratownicy skończą swoją pracę. Musimy zawieźć mamę do szpitala, okej? Porozmawiamy po drodze.

Ktoś, nie pamiętam kto, wziął mnie za rękę i zaprowadził z powrotem do pokoju i posępnych twarzy. Wszyscy na mnie patrzyli. Czułam się jak w wesołym miasteczku po jeździe samochodzikiem, od której traci się orientację. A przynajmniej chce się wymiotować.

Gdy otworzyły się drzwi sypialni, w pokoju zapadła cisza. Sanitariusze wynieśli na noszach moją mamę. Była szczelnie przykryta kocem aż po szyję, obok niej szedł tata, niewzruszony i blady. Do dziś pamiętam odgłos ciężkich kroków sanitariuszy.

W drodze do szpitala zapytałam tatę:

– Dlaczego mama próbowała się zabić?

– Z tego samego powodu co poprzednio – odparł. – Czasami nachodzi ją coś takiego.

– Czy spróbuje jeszcze raz?

Tata wpatrywał się w drogę przed nami. Nawet mając tak niewiele lat, wiedziałam, że toczy ze sobą walkę, czy powiedzieć mi to, co chcę usłyszeć, czy prawdę.

– Nie wiem, skarbie. Mam nadzieję, że nie. Ale nie wiem.

Dwanaście tygodni później, w Boże Narodzenie, mama spróbowała jeszcze raz. Tym razem skutecznie.

# Rozdział 1

*Brzemię opuszczenia, które towarzyszy mi w życiu, jest łatwiejsze do udźwignięcia tylko dzięki ogromnej miłości mojego ojca.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Mama próbowała popełnić samobójstwo cztery razy. Udało jej się to za piątym. O tylu próbach wiem na pewno, ale możliwe, że było ich więcej, bo tata często w porę interweniował i ukrywał przede mną rzeczy, które, jak myślał, mogły mnie zranić. Mama cierpiała na głęboką depresję. Poza tym miała ataki migreny. Z tego, co wiem, były one niezwykle dotkliwe. Mama niemal zawsze miała zaburzenia wzroku, widziała dziwne linie i rozbłyśki światła i czasami słyszała głosy. Gdy dostawała migreny, nigdy nie opuszczała swojego pokoju.

Lekarze usiłowali jej pomóc, ale moim zdaniem ich działania przypominały wybieranie wody papierowym kubkiem z tonącego statku. Większość po prostu zapisywała jej najmodniejszy w owym czasie lek psychotropowy: valium, xanax, prozac albo jeszcze inny. Kilku powiedziało jej, aby „wzięła się w garść”, co równało się powiedzeniu pacjentowi w ostatnim stadium raka, że mu przejdzie. No i były jeszcze nieznośne znajome, które wygadywały głupoty w stylu: „Ja też kiedyś miałam depresję. I poszłam na spacer” albo „Masz tyle rzeczy, za które powinnaś być wdzięczna. Jak możesz być przygnębiona?”, po czym odchodziły z uśmiechem samozadowolenia, jakby właśnie zrobiły dobry uczynek dla

społeczeństwa.

Ponieważ jego żona niemal zawsze była chora, tata starał się za dwoje. Wcale nie rzadko zdarzało się, że po dniu ciężkiej pracy wracał do domu i robił obiad, sprzątał kuchnię (z moją pomocą), a potem nastawiał pranie. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie odszedł od mamy.

Tamtego świątecznego popołudnia, gdy mama umarła, po raz pierwszy widziałam, jak tata płacze. Płakał też na jej pogrzebie, co dla mnie było najbardziej irytującym momentem dnia. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale w moim młodym umyśle mama umarła długo przed tym, zanim ją pochowaliśmy.

Po pogrzebie spędziłam kilka dni u ciotki, do czasu aż przyjechał po mnie tata. Wróciliśmy do domu i do swojego życia. Po prostu. Jakby nic się nie stało.

Mój ojciec, Robert Dante Rossi, nie miał dyplomu, ale był inteligentny. Zaczął chodzić do college'u, ale go nie ukończył (natomiast bardzo nalegał, abym ja go ukończyła). Był pracowity i świetnie radził sobie w kontaktach z ludźmi. Kiedyś usłyszałam, jak jeden z jego kolegów opisał go następująco: „To facet, który jeśli ci powie, żebyś poszedł do diabła, to już się cieszysz na tę wyprawę”.

Był weteranem wojny w Wietnamie. Dwa lata służył w kawalerii aeromobilnej, co oznacza, że uczestniczył w wielu walkach. Rzadko opowiadał o swoich przeżyciach, ale też nie sprawiał wrażenia kogoś, kto był przez wojnę nadmiernie poszkodowany, przynajmniej nie w sposób, w jaki odmalowywano weteranów w filmach: okaleczonych psychicznie i umysłowo. Pamiętam, że gdy miałam piętnaście lat, zapytałam go, czy kogoś zabił. Milczał chwilę, po czym spojrzał na mnie i odparł: „Służyłem swojemu krajowi”.

Po powrocie z wojny tata poszedł do college'u, ale po roku uznał, że to



nie dla niego. Przyjął posadę kierownika w Henderson w sklepie sieci Maverik. Po pięciu latach i tyluż awansach nadzorował wszystkie sklepy Maverik w regionie Las Vegas. Nie sądzę, aby dużo zarabiał, ale nigdy nie czułam, żebyśmy byli biedni. Tata był zdyscyplinowanym i oszczędnym człowiekiem, takim, który sam kosi swój trawnik i jeździ starym fordem taurusem.

Bardzo się starał, wychowując mnie samotnie. Każdego dnia wstawał wcześniej i przygotowywał dla mnie drugie śniadanie, po czym zawoził mnie do szkoły. Robił sobie późniejszą przerwę na lunch, aby móc odebrać mnie ze szkoły. Zwykle zostawałam z nim i kiedy kończył objazdy sklepów, opowiadałam mu o swoim dniu, a gdy wchodził do sklepu, odrabiałam lekcje w samochodzie. Zawsze przynosił mi mrożony sok, czekoladowe ciastko i kilka starych magazynów dla nastolatek – tych, które sprzedawcy zamierzali wyrzucić. Lubiłam z nim przebywać.

Gdy byłam trochę starsza, tata uznał, że skoro jeżdżę do sklepów razem z nim, powinnam dostawać za to pieniądze, i zatrudnił mnie jako swojego pracownika. Szłam z nim do sklepu, który odwiedzał, wycierałam automat do sprzedaży napojów gazowanych i starannie czyściłam szyby lodówek. Tak mniej więcej wyglądało moje życie, gdy byłam nastolatką.

\*

Moje wspomnienia o mamie były niewyraźne i mgliste, prawdopodobnie z powodu traumy. Najbardziej utkwiał mi w pamięci obraz mamy leżącej w łóżku w ciemnym pokoju. Właściwie w ogóle jej nie znałam. Przypuszczam, że tata mógłby wypełnić puste miejsca. Prawda była jednak taka, że wcale tego nie chciałam. W tych kilku nielicznych momentach, gdy zaczynał mi o niej opowiadać, powstrzymywałam go. „Nie chcę wiedzieć”, mówiłam. Patrząc wstecz, myślę, że sprawiałam mu przykrość, chodziło mi

jednak o coś zupełnie przeciwnego. Chciałam mu pokazać, że dobrze mi bez mamy. Uważałam, że mama była nieudacznicą i zdrajczynią, nie tylko wobec mnie, ale przede wszystkim wobec taty. Zasługiwałam na kogoś, komu by tak bardzo na mnie zależało, że byłby ze mną, tak jak tata. Oboje zasługiwaliśmy na kogoś lepszego niż ona.

A przynajmniej wtedy tak myślałam.

\*

W szkole średniej byłam jedną z tych dziewczyn, które zawsze mają chłopaka. Otaczałam się wianuszkami adoratorów od ósmej do ostatniej klasy, kiedy zaczęłam chodzić z Kentem Clarkiem (Tak, wszyscy żartowali z jego nazwiska<sup>1</sup>. Kumple wołali na niego „Stalówka”). Kent był powszechnie lubiany. Grał w szkolnej drużynie koszykarskiej, wyróżniał się też na bieżni i w podnoszeniu ciężarów.

Dwa lata po ukończeniu liceum Kent zaproponował mi małżeństwo, a ja się zgodziłam. Tata, z pomocą sąsiadki, wziął na siebie trud zarezerwowania sali, wynajęcia firmy cateringowej i zamówienia kwiatów – tych wszystkich przedślubnych przygotowań.

Stalówka skryptonitował się w dniu ślubu, uciekając z dziewczyną, z którą chodził przede mną. Było to najbardziej upokarzające doświadczenie w moim życiu. Nie najgorsze. Po prostu najbardziej upokarzające.

Porzucona, kontynuowałam naukę w college’u, na uczelni, z której zrezygnował mój tata – na Uniwersytecie Nevada w Las Vegas. Tam poznałam Danny’ego, kolejnego koszykarza. Dwa lata później znowu byłam zaręczona.

Danny był graczem uniwersyteckiej drużyny koszykarskiej i szybko awansował na pozycję napastnika. Powinnam była widzieć, że mam niewielkie szanse na prawdziwy związek ze wschodzącą gwiazdą

koszykówki, ale myślałam, że jestem zakochana, i ekscytowała mnie perspektywa bycia żoną zawodowego sportowca. Wkrótce przekonałam się, co to znaczy. Im więcej uznania Danny zdobywał w oczach innych (oraz swoich), tym mniej przejmował się naszym związkiem. Zaczęły do mnie dochodzić słuchy, że podczas wyjazdów na mecze wcale nie zachowuje się jak zaręczony mężczyzna. W następnym roku dostał propozycję od Orlando Magic i porzucił Las Vegas oraz mnie.

Po dwóch nieudanych związkach z młodymi sportowcami poznałam dziewięć lat starszego ode mnie Marcusa. Jego też spotkałam w college'u. Był moim profesorem historii, co powinno było stać się dla mnie pierwszym sygnałem ostrzegawczym.

Tata nie przepadał za żadnym z moich chłopaków, ale na ogół nie wypowiadał się na ich temat. Wyjątek zrobił tylko w przypadku Marcusa. Powiedział, że profesor, który umawia się ze swoją studentką, postępuje tak samo jak psychiatra, który zaleca się do swojej pacjentki. Tata cierpiał, pozwalał mi jednak dokonywać samodzielnych wyborów niezależnie od tego, jak były głupie. To, że Marcus mnie nie zostawił, zanim doszliśmy do ołtarza, uznałam za wielkie osiągnięcie.

Dziś żałuję, że tego nie zrobił. O skali jego okrucieństwa przekonałam się już podczas nocy poślubnej. Upił się na naszym weselu – do tego stopnia, że to ja zawiozłam nas do hotelu. Całą drogę wrzeszczał, że wesele kręciło się tylko wokół mnie, że go zanieczyściłam i że jestem bardzo samolubna. Błagałam go o przebaczenie, mimo to kazał mi spać na kanapie w pokoju gościnnym apartamentu, za który zapłacił mój ojciec. Tak wyglądała nasza noc poślubna. Była to zapowiedź życia, jakie mnie z nim czekało. Zanim się pobraliśmy, Marcus nie potrafił utrzymać rąk z dala ode mnie. Po ślubie nie chciał mnie dotykać. Wstydziałam się przy nim rozebrać, bo zaczął nazywać mnie grubą i powtarzał, że muszę schudnąć, choć wiedziałam, że jest inaczej.

Ciągle mnie krytykował, nie tylko mój wygląd, ale również to, co mówiłam, co myślałam, a nawet moją ulubioną muzykę. Nieustannie wyzywał mnie od słodkich idiotek. Nic, co robiłam, nie spełniało jego oczekiwań. Dopiero dużo, dużo później uświadomiłam sobie, że jego *modus operandi* była manipulacja emocjonalna. Stał się w niej mistrzem. Powinien był uczyć psychologii zamiast historii. Miał władzę nad naszym związkiem dzięki utrzymywaniu mnie w stanie uczuciowego głodu, dając mi dość „miłości”, bym się nie załamała, ale nigdy tyle, bym czuła się zaspokojona. To tak, jakby miskę psa napełnić wodą tylko do połowy. Nigdy nie czułam, że go zadowalam, i najwyraźniej tak było. Powinnam była od niego odejść, jednak tego nie zrobiłam. Chyba wierzyłam, podobnie jak mój ojciec, że małżeństwo zawiera się na dobre i na złe.

Po trzech latach od naszego ślubu Marcusowi zaproponowano lepiej płatne stanowisko na Uniwersytecie Kolorado w Boulder. Myśl o pozostawieniu taty była dla mnie bardzo przykra, ale dla Marcusa przeniesienie oznaczało upragniony awans. Nie oponowałam. Wierzyłam, że najważniejszą rzeczą jest wspieranie własnego męża. Poza tym Marcus narzekał, że jestem za blisko ze swoim ojcem i że to szkodzi naszemu małżeństwu. Pomyślałam, że oderwanie się od dotychczasowego środowiska i zamieszkanie w obcym mieście pomoże nam się zbliżyć. Nie pomogło.

Pozew o rozwód wniosłam dwa lata później, gdy przeciw Marcusowi wszczęto śledztwo z powodu niemoralnego postępowania na kampusie, o czym być może czytaliście w „Huffington Post”. Nigdy nie zapomnę wieczoru, gdy mi o tym powiedział. O ironio, stało się to akurat w walentynki. Przez cały dzień przygotowywałam dla nas romantyczną kolację przy świecach.

- Dlaczego mnie zdradzałeś? – zapytałam, gdy przestałam płakać.
- Za bardzo do mnie przywarłaś – odparł ze stoickim spokojem. –

Zacząłem się przy tobie dusić. To ty mnie do tego zmusiłaś.

– Zmusiłam cię, żebyś mnie zdradzał?

– Tak, ty. Poza tym monogamia jest wbrew naturze. Wie o tym każdy półgłówek.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam do taty. Słuchając mnie, ani razu nie powiedział: „Ostrzegałem cię”. Chciał zbić Marcusa na kwaśne jabłko i prawdopodobnie by to zrobił, gdyby był na miejscu.

Następnego dnia w naszym mieszkaniu zjawili się dziennikarze. Nie uwierzylibyście, o co mnie pytali.

Dziennikarze: Jak się pani czuje, wiedząc, że mąż utrzymywał kontakty seksualne z sześcioma studentkami?

Ja: Naprawdę mnie o to pytacie?

Dziennikarze: Czy jest pani zła?

Ja: ...

Po naszej separacji Marcus uciekł nie z jedną, ale z dwiema studentkami. Znowu zostałam sama. Przeprowadziłam się do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów Denver. Ojciec chciał, abym wróciła do Las Vegas, ale powstrzymało mnie poczucie wstydu. Nie chciałam wracać do domu jako życiowa nieudacznica, choć rzeczywiście nią byłam.

Dostałam pracę na przedmieściach Denver, w Thornton, w dziale sprzedaży salonu samochodowego Lexusa. I właśnie tam byłam tej zimy, gdy zaczęła się ta historia.

Gdy z perspektywy czasu patrzę na to, jakie było wówczas moje życie, muszę powiedzieć, że nie wyglądało ono tak, jak myślałam, że będzie wyglądać. To jednak może chyba powiedzieć o sobie każdy z nas. Nie było ono takie, jakiego pragnęłam. Chciałam być z kimś, z kim mogłabym zacząć nowe życie, z kimś, kto by o mnie myślał podczas naszej rozłąki. Pragnęłam kogoś, kto by mnie kochał.

Pragnęłam również, aby moje życie było wartościowe. Chciałam być kimś ważnym. I tu dochodzę do punktu, w którym powinniście dowiedzieć się o mnie jeszcze jednej rzeczy. Pomimo katastrofalnego życia uczuciowego bardzo chciałam zostać autorką romansów. Wiem, że to brzmi dziwnie. Ja pisząca romanse to jak weganin piszący o grillowaniu. Mimo to nie chciałam zrezygnować ze swojego marzenia. Tak więc gdy w skrzynce pocztowej zobaczyłam ulotkę reklamującą konferencję dla pisarzy romansów w hotelu Pod Jemiołą, cichy głos wewnętrzny powiedział mi, że to może być moja ostatnia szansa na znalezienie tego, czego poszukuję. Głos miał o wiele więcej racji, niż byłabym w stanie wtedy przewidzieć – tylko nie w sposób, w jaki sobie kiedykolwiek wyobrażałam.

---

<sup>1</sup> Clark Kent to ziemskie nazwisko Supermana, nazywanego również „Człowiekiem ze stali” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

## Rozdział 2

*Mówią, że miłość jest ślepa. Ale to nieprawda. Zauroczenie jest ślepe. Głód uczuć jest ślepy.*

*Miłość widzi niedoskonałości – a także dużo więcej.*

Z dziennika Kimberly Rossi

W Denver panował mróz. Wręcz arktyczny. Był listopad, późne piątkowe popołudnie, gdy do mojego biura zajrzała Rachelle, koleżanka z działu sprzedaży. Była olśniewająco piękna. Przed podjęciem pracy u Lexusa była cheerleaderką Denver Broncos, co powodowało, że większość naszych klientów płci męskiej chciała dokonywać zakupów właśnie u niej. Każdy próbował z nią flirtować, a ona to wykorzystywała. Sprzedawała więcej produktów do pielęgnacji aut niż reszta naszego działu. Gdyby była mniej wybredna wobec mężczyzn, rozbiłaby połowę małżeństw w Denver.

– Hej, Kim – zagadnęła, stając w progu mojego pokoju. – Mogłabyś przyjąć ostatniego klienta? Umówiłam się na wcześniejszą godzinę z facetem gorącym jak lawa wulkaniczna.

– Mówisz tak o każdym, z którym się umawiasz.

– Nic na to nie poradzę, że przyciągam takie gorące ciacha. A ten klient może ci się spodobać.

– Idź na tę randkę – powiedziałam, kręcąc głową.

– Jesteś skarbem! – rzuciła i szybko się oddaliła.

– A ty lalką Barbie – mruknęłam pod nosem.

Mężczyzna, którego skierowała do mnie Rachelle, był pod

sześćdziesiątkę. Pomimo zimy miał na sobie kraciaste spodnie do golfa, jasnożółty sweter i różową koszulkę polo, która opinała jego wydatny brzuch. Nosił również beret, który jednak nie był w stanie zakryć łysiny. Na jego czole perliły się kropelki potu, które ocierał chusteczką. Nie mogłam uwierzyć, że Rachelle uznała, że ten mężczyzna mógłby być w moim guście. Chociaż właściwie nie powinnam się była dziwić. Rachelle uważała, że nie jestem dość atrakcyjna, by mieć wysokie wymagania.

Mężczyzna usiadł na winylowym krześle przed moim biurkiem, a Bart, kolega, który sprzedał samochód klientowi, dokonał prezentacji:

– Kim, to jest pan Craig, dumny właściciel nowego gx 460. – Następnie zwrócił się do sapiącego klienta: – Kimberly to jedna z naszych księgowych. Dobrze się panem zajmie.

– Mam taką nadzieję – powiedział mężczyzna cienkim, zrzędlwym głosem.

– Pobiegnę teraz do serwisu upewnić się, że pański samochód jest gotów do drogi – oświadczył Bart i wyszedł.

– Miło pana poznać, panie Craig – powiedziałam. – Jak tylko spiszę pana dane, będzie pan mógł cieszyć się swoim nowym autem.

Wprowadzałam do systemu informacje dotyczące zakupu, gdy mężczyzna nagle wypalił:

– Tu jest tak gorąco, czy może to... pani?

Podniosłam na niego wzrok. Wpatrywał się we mnie z nijakim uśmiechem.

– Rzeczywiście jest tu trochę ciepło – przyznałam. – Jeśli pan chce, mogę przykręcić ogrzewanie.

– Nie – powiedział, trochę zaskoczony moim brakiem entuzjazmu dla jego odzywki. – Lubię, kiedy jest gorąco. – I zaczął nucić: „Niektórzy lubią, jak jest gorąco, niektórzy się pocą w upale...”.



On z całą pewnością należał do tych, którzy się pocili.

– Okej – powiedziałam. – Mogę prosić o pana numer telefonu?

– Numer mojego telefonu, numer mojego telefonu – powtórzył. Udał, że przeszukuje swoje kieszenie. – Widocznie gdzieś go zawieruszyłem. Mogę prosić o pani numer?

– Słucham?

Nie zareagował, tylko na mnie patrzył.

– Pański numer telefonu? – powtórzyłam.

– 555-445-3989.

Wpisałam jego numer. Miałam nadzieję, że ta drobna utarczka go zniechęci, ale się pomyliłam. Kilka minut później mężczyzna zagadnął mnie ponownie:

– Masz na imię Kimberly?

– Tak.

– Mogę ci mówić Kim?

– Tak – odparłam, nie przerywając pisania.

Sekundę później zapytał:

– O której godzinie?

Podniosłam wzrok.

– O której godzinie... co?

– O której mogę do ciebie zadzwonić, Kim?

Wolno wypuściłam powietrze z płuc.

– Panie Craig...

– Tim.

– Bardzo mi pochlebiasz, Tim, ale nie jestem zainteresowana, więc skieruj te błyskotliwe teksty do jakiejś innej szczęściary.

Trochę się zaczerwienił.

– Przepraszam – bąknął.

– Nie musisz przeproszać – powiedziałam. – A teraz, proszę, podaj informacje dotyczące ubezpieczenia.

W milczeniu wypełnił formularz, po czym zapytał:

– Czy kończysz już pracę?

Oderwałam wzrok od komputera.

– Bo jeśli kończysz – ciągnął – to zabiorę cię na przejażdżkę swoim nowym autem. I może byśmy pojechali na kolację. Albo coś innego.

– Chwileczkę – powiedziałam, wstając. – Może przyniosę ci wody?

– Nie jestem spragniony.

– Abyś mógł się ochłodzić.

– Nie trzeba, czuję się dobrze – odparł.

– W porządku. Zaraz wracam.

Poszłam do pokoju socjalnego i wzięłam piwo imbirowe. Przy stole siedział mój szef, Steve, i pracował na iPadzie. Steve był porządnym facetem i jednym z moich nielicznych przyjaciół w pracy.

– Słuchaj, zabij mnie – powiedziałam. – Proszę.

– Co się stało?

– Pan Beret. Uważa, że do nowo zakupionego samochodu powinna być dołączona kobieta.

– To by zwiększyło sprzedaż – stwierdził Steve. – Ciekawe, czy ktoś już tego próbował.

– Aleś mnie pocieszył!

– Przepraszam. Chodzi o tego gx?

– Tak.

– Nie miała się nim zająć Rachelle?

– Miała. Ale poprosiła mnie o zastępstwo. Szła na gorącą randkę.

– Każda randka Rachelle jest gorąca – stwierdził Steve. – Chcesz, żebym dokończył sprawę za ciebie?

– Nie. Po prostu chciałam się komuś wyzalić.

– Czuj się pocieszona.

– Dzięki.

Gdy ruszyłam w kierunku swojego biura, Steve dodał:

– Może po prostu powiedz mu, że nie jesteś zainteresowana randkami.

– Już mu to powiedziałam.

– I nie podziałało?

– Nie.

Idąc do biura, zaczęłam się zastanawiać: Czy właśnie tak wszyscy o mnie myślą?

## Rozdział 3

*W moim życiu były okresy, gdy spadały na mnie, niczym deszcz, jedno odrzucenie po drugim.*

*I zdarzały się też ataki tajfunu.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Pomimo dużego ruchu na ulicach Denver nie mogłam narzekać na jazdę. Cieszyłam się, że wracam do domu. Wyjątkowo miałam plany na wieczór. Po raz drugi miałam się spotkać z Collinem, którego poznałam w naszym salonie. Nie kupował samochodu – sprzedawał narzędzia naszemu działowi serwisu. Poszłam do poczekalni po butelkę wody, a Collin pił tam kawę. Zagadnął mnie przy ekspresie, a potem zaproponował spotkanie.

Wstąpiłam do Java Hut po kawę, po czym pojechałam do domu. Mieszkałam w niedrogim, lecz przyzwoitym bloku w Thornton, około pół godziny jazdy od salonu. Podchodząc do swojego mieszkania z kawą, torebką i pocztą, usłyszałam brzdąknięcie telefonu sygnalizujące SMS.

Będziesz musiał zaczekać, powiedziałam w myślach. Przekręciłam klucz w zamku i weszłam do środka. Usiadłam z kawą i pocztą i wydobyłam telefon z torebki. Wiadomość przyszła od Collina.

Sorry. Coś mi wypadło. Przełożymy? Zadzwoń.

Nie wątpię, pomyślałam. Westchnęłam. Facet mi się podobał. Przyciągam porażki jak magnes żelazo, skwitowałam w myślach.

Zaczęłam przeglądać listy. Jeden z nich przyszedł z biura władz hrabstwa

Boulder. Rozerwałam kopertę.

Sąd Okręgowy w Boulder,  
Wydział Orzecznictwa Stanu Kolorado  
w hrabstwie i dla hrabstwa Boulder  
Kimberly Rossi, zwana dalej Powódką,  
przeciw  
Marcusowi Y. Stewartowi, zwanemu dalej Pozwanym  
Sprawa nr 4453989  
Orzeczenie rozwodowe

Pozew wpłynął do sądu siódmego października 2012 roku. Jak wynika z przedłożonych dokumentów, przeciwko Pozwanemu zostały wniesione zarzuty.

Dalej następował typowy prawniczy żargon, który zasadniczo stwierdzał, że nie jesteśmy już małżeństwem. Moją uwagę zwrócił ostatni punkt.

3. Zmiana nazwiska. Powódka powróci do swojego panińskiego nazwiska: Rossi.

Dokument był datowany i podpisany przez dwóch sędziów. Nasz rozwód trwał dłużej, niż się spodziewałam, ponieważ Marcus cały czas walczył. Nie o mnie – o pieniądze.

Pismo oficjalnie potwierdziło naszą separację – nie widziałam Marcusa od ponad pół roku. Był kłamcą, zdrajcą i mnie nie kochał. Dlaczego więc zrobiło mi się tak smutno?

Przejrzałam pozostałą korespondencję. Jako dziecko uważałam pocztę za coś magicznego. Przychodziły ręcznie pisane listy, widokówki i kartki z podziękowaniami. Teraz właściwie tylko ulotki i reklamy – fizyczne odpowiedniki elektronicznego spamu.

I wtedy zobaczyłam list od wydawcy.

Proszę, proszę. Rozerwałam kopertę.

poniedziałek, 12 października 2012 roku

Szanowna Autorko,

Nie zwracali się do mnie moim nazwiskiem. Niedobry znak.

dziękujemy za możliwość zapoznania się z Pani książką. Przeczytaliśmy ją z zainteresowaniem. Przyznajemy, że wiele nam się w niej podoba, nie zamierzamy jednak złożyć propozycji publikacji. Uważamy, że nie jesteśmy odpowiednim wydawnictwem dla Pani utworu.

Dziękujemy, że pomyślała Pani o nas, i życzymy sukcesów w znalezieniu wydawcy.

Z poważaniem  
Sharlene Drexell

Trzeci cios. Westchnęłam głośno. A właściwie jęknęłam. Najwyraźniej cały wszechświat sprzysiął się, abym jednocześnie doznała aż tylu porażek. Jak odrętwiała przeczuciłam resztę poczty, bardziej z nawyku niż zainteresowania.

I właśnie wtedy zobaczyłam ulotkę reklamującą konferencję dla pisarzy w hotelu Pod Jemiołą.

## Rozdział 4

*Istnieją ludzie, których nigdy nie poznaliśmy osobiście, a mimo to są nam bliżsi niż ci,  
z którymi stykamy się na co dzień.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Najwyraźniej jestem na jakiejś liście początkujących pisarzy. Sześć lat temu wzięłam udział w zorganizowanym w San Francisco dwudniowym seminarium dla piszących i od tamtej pory co miesiąc dostaję powiadomienia o konferencjach, seminariach oraz warsztatach dla pisarzy – chętnie przerwałabym ten potok powiadomień, gdybym tylko wiedziała, gdzie jest kurek. Jednak najnowsza propozycja wyglądała interesująco.

SZANSA DLA PISARZY  
W HOTELU POD JEMIOŁĄ

Uwaga, początkujący autorzy romansów – przywieźcie swoją najnowszą miłość do hotelu Pod Jemiołą! Skorzystajcie z niepowtarzalnej szansy na podarowanie sobie wyjątkowego prezentu bożonarodzeniowego.

Warsztaty pisarskie. Panele dyskusyjne. Spotkania z agentami literackimi. Czytanie do mikrofonu.

Oraz wyjątkowy prelegent

E.T. COWELL

10–17 grudnia 2012 roku

Cena 2199\$ obejmuje koszt pokoju/śniadania  
i codziennego lunchu.

Tym, co zwróciło moją szczególną uwagę, było nazwisko E.T. Cowella – i to nie tylko dlatego, że wydrukowano je pismem dwa razy większym niż

reszta informacji. Cowell zasłużył na pismo w rozmiarze dwadzieścia dwa. Pewnie kojarzycie go albo przynajmniej jego nazwisko. Swego czasu był najlepiej sprzedającym się autorem romansów w Stanach Zjednoczonych.

Prawdę mówiąc, był jednym z najlepiej sprzedających się autorów wszystkich gatunków literackich. Swojego gatunku nie zdominował. On go zdefiniował. To, co Stephen King zrobił dla horroru, Cowell zrobił dla romansu. Właśnie dzięki temu pisarzowi zapragnęłam zostać pisarką. Przez lata czytałam wszystko, co napisał. A potem, podobnie jak inni mężczyźni w moim życiu, Cowell zniknął. Różnica polegała tylko na tym, że nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Cowell, który był odludkiem – w żadnej z jego książek nie ma jego fotografii – stał się jedną z zagadek świata literatury, podobnie jak J.D. Salinger i E.M. Forster, którzy będąc u szczytu sławy, rozplynęli się we mgliczym literackim odpowiedniku Amelii Earhart.

Jak można się było spodziewać, zniknięcie Cowella jeszcze bardziej podsyciło zainteresowanie czytelników. Tak się złożyło, że mój ulubiony autor przestał pisać w roku, w którym opuścił mnie Danny. Myślę, że w pewnym sensie zakochałam się w E.T. Cowellu. A przynajmniej w swoim wyobrażeniu na jego temat. Nie mogłam uwierzyć, że po tak długim czasie zdecydował się wystąpić publicznie.

Przeczytawszy całą ulotkę, odłożyłam ją na bok. Impreza była droga, przynajmniej dla mnie, zapewniała jednak, tak jak reklamowano, niepowtarzalne przeżycia. To było coś, czego potrzebowałam w tamtej chwili. Potrzebowałam czegoś, na co mogłabym czekać. Szczerze mówiąc, potrzebowałam celu, dla którego mogłabym żyć. Jeszcze raz sięgnęłam po ulotkę:

Aby zarezerwować miejsce, zadzwoń pod  
555-2127. Albo zarejestruj się na stronie internetowej.



Na obiad zrobiłam sobie ramen i włączyłam *Kawalera do wzięcia*. W tym momencie zadzwonił telefon. Mój ojciec.

– Cześć, tato.

– *Ciao, bella*. Co u ciebie?

– W porządku – odparłam. – A u ciebie?

– *Bene, bene*. – Miał zmęczony głos. – Chciałem się tylko upewnić, że przyjedziesz na Święto Dziękczynienia.

– Oczywiście.

– A na Boże Narodzenie?

– Też.

– Wiesz już, którego dnia przyjedziesz?

– Na Dziękczynienie w środę po południu. Nie wiem jeszcze, jak z Bożym Narodzeniem. W jakim dniu tygodnia przypada w tym roku?

– We wtorek.

– To prawdopodobnie w niedzielę przed świętami, jeśli ci to pasuje.

– Wspaniale, ale chyba będziesz musiała przyjechać z lotniska taksówką.

Wygląda na to, że wrócę do domu dopiero w niedzielę późnym wieczorem.

– A dokąd wyjeżdżasz?

– Nasza grupa harleyowców jedzie do Albuquerque.

– Brzmi atrakcyjnie. Tylko uważaj na siebie.

– Jak zawsze.

– Ale wiesz, harley ma dwa siedzenia.

– Wpraszasz się?

– Chodziło mi o to, że mógłbyś zabrać kogoś ze sobą. Przyjaciółkę.

– Hm, tylko nie zemdlej, ale już kogoś zaprosiłem. Czekam teraz na jej odpowiedź.

A to nowina!

- Czy ona ma jakieś imię? – zapytałam.
- Alice. Pracuje w szpitalu dla weteranów. Spotykamy się od jakiegoś czasu.
- Najwyższa pora.
- To nic poważnego – szybko dodał tata. – Nie szukam niczego poza towarzystwem.
- Dobry początek.
- A ty? – zapytał. – Jacyś nowi znajomi?
- Nikt szczególny.
- Nie ma sensu się spieszyć. Bardzo się cieszę, że przyjedziesz. Spędzimy cudowne, odprężające chwile.
- Brzmi pięknie – powiedziałam. – Nic nie ogrzewa kości lepiej niż suche, pustynne powietrze. Zwłaszcza w Boże Narodzenie.
- A właśnie. Co chcesz pod choinkę?
- Niczego nie potrzebuję – odparłam.
- Nie pytam o to, czego potrzebujesz, tylko co chcesz. Poza tym i tak wydam część twojego spadku. Chcesz go teraz czy dopiero po tym, jak się odmelduję i podatki będą wyższe?
- Wolalabym, abyś nie mówił o odmeldowywaniu się. Będziesz żył wiecznie.
- Aha, wyparcie. – Milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho: – Kiedyś wszyscy się odmeldujemy, dziecinko.
- Czy możemy o tym nie rozmawiać?
- Wybacz. Ale proszę cię o pomoc. Co mogę dać ci pod choinkę? Moje fundusze wzajemne mają się świetnie w tym roku. Chciałbym zrobić coś sensownego.
- Zawahałam się na chwilę, po czym powiedziałam:

– Właściwie to jest coś.

– Powiedz co.

– Nie proszę cię o całą kwotę, ale może mógłbyś mnie wspomóc częściowo. W Vermoncie organizują konferencję dla pisarzy romansów i chciałabym wziąć w niej udział.

– Nie porzuciłaś tego marzenia?

– Jeszcze nie.

– To bardzo się cieszę. Jesteś utalentowaną pisarką. Nie rezygnuj. Bez marzeń życie jest jak pustynia.

– Z moimi doświadczeniami uczuciowymi powinnam pisać horrory, a nie romanse.

– Jesteśmy Włochami. Wynaleźliśmy słowo „romans”. Więc nie rezygnuj ze swego marzenia, dopóki się nie spełni. Dzięki marzeniom wstajemy rano z łóżka.

Westchnęłam.

– A ty o czym marzysz?

– O swojej córce – odparł bez wahania. – Przede wszystkim. Oraz o jej następnych odwiedzinach. Już nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Ja też marzę, aby cię zobaczyć, tato. Kocham cię.

– Ja ciebie też, córeczko.

## Rozdział 5

*Pełne serce łatwo przekłuć, podobnie jak nadmuchany balon.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Czas płynął wolno. Nad miastem przeszło kilka intensywnych burz śniegowych i ruch w interesach zmałał. Sprzedaż samochodów rządu przewidywalny mechanizm: ludzie nie lubią kupować aut, gdy jest śnieg. Chyba że śniegu jest bardzo dużo i wtedy nagle czują, że przydałby im się pojazd z napędem na cztery koła.

Bardzo się cieszyłam na Święto Dziękczynienia. W środowe popołudnie wyszłam z pracy wcześniej i pojechałam swoim samochodem na lotnisko, skąd wyleciałam do Vegas.

Wiele się mówi o lotnisku w Denver, bo rzeczywiście jest wiele ku temu powodów. Istnieją grupy wyznawców spiskowych teorii, którzy wierzą, że lotnisko w Denver jest tajną kwaterą iluminatów, Nowego Porządku Świata albo partii neonazistowskiej, czego dowodem ma rzekomo być fakt, że z powietrza lotnisko wygląda jak olbrzymia swastyka.

Moja ulubiona teoria mówi, że lotnisko jest ziemską bazą dla przybyszów z kosmosu. Myślę jednak, że gdyby lotnisko było zarządzane przez kosmitów, działałoby znacznie sprawniej. Technologicznie zaawansowana cywilizacja, która potrafi przemieszczać się z prędkością światła, powinna, na przykład, poradzić sobie ze zwrotem bagażu.

No i jest jeszcze Blucifer, mierząca prawie dziesięć metrów wysokości

słynna rzeźba konia o doskonałym pod względem anatomii ciele. Koń błyska na czerwono oczami i sprawia wrażenie szalonego, przez co potrafi wzbudzić strach nawet u doświadczonych pasażerów. Jego reputację pogarsza jeszcze fakt, że w iście frankensteinowski sposób rzeźba zabiła swojego twórcę. Luis Jiménez zginął zmiażdżony potężnym fragmentem końskiego łba, który odpadł od całości.

Jak można się było spodziewać, z powodu Święta Dziękczynienia na lotnisku kłębiły się tłumy pasażerów i czekający do kontroli bezpieczeństwa bardziej przypominali uczestników Maratonu Bostońskiego na starcie niż jakąkolwiek cywilizowaną kolejkę. Szaleństwo to wcale nie osłabło za punktem kontroli bezpieczeństwa, bo w każdym punkcie informacyjnym tłoczyli się podróżni.

Gdy byłam przy punkcie informacyjnym swojej linii lotniczej, sprawdzając, czy mogłabym zamienić swoje miejsce na lepsze, stanął obok mnie zdyszany młody ojciec.

– Zaszła pomyłka – powiedział do sprzedawcy biletów, kładąc przed nim na kontuarze plik kart pokładowych. – Przydzielono nam miejsca w całym samolocie.

Pracownik, który wyglądał, jakby to nie był jego najlepszy dzień, spojrzał przelotnie na karty.

– Przykro mi – burknął. – Ale na ten lot sprzedano zbyt dużo biletów. Teraz już nic nie mogę zrobić.

– Ale mamy czworo dzieci – wyjaśniał młody mężczyzna. – Troje z nich ma poniżej czterech lat. Nasz lot już ma trzy godziny opóźnienia. Dzieci wariują.

– Trzeba było o tym pomyśleć przy rezerwacji biletów.

– To może powinienem był też przewidzieć, że samolot będzie miał trzy godziny opóźnienia? – zapytał mężczyzna.

– Opóźnienie może się zawsze zdarzyć, proszę pana. Miałem na myśli to, że powinien był pan zarezerwować wszystkie miejsca przy sobie.

– Wszystkie zostały zarezerwowane jednocześnie sześć tygodni temu. Nie było powodu, by przypuszczać, że je rozdzielicie.

– Nie odpowiadam za państwa miejsca – bronił się pracownik. – To nie moja działka. Nic nie mogę zrobić.

Spojrzałam ze współczuciem na sfrustrowanego ojca, zastanawiając się, co teraz zrobi.

– Mogę rozmawiać z kierownikiem? – zapytał, starając się ze wszystkich sił zachowywać uprzejmie.

– Pani kierownik w tej chwili nie ma – odpowiedział pracownik. – Mamy sporo pracy. – Zgarnął wszystkie karty i oddał mężczyźnie. – Przywołam pana, gdy będzie mogła rozmawiać. Ale jak już mówiłem, na ten lot zarezerwowano za dużo biletów. Wątpię, aby pani kierownik była w stanie coś zrobić.

Mężczyzna odebrał karty i wrócił na miejsce obok swojej żony, która wyglądała na równie zdenerwowaną – i zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy mąż powtórzył jej to, czego się dowiedział.

Powiedziano mi, że wszyscy pasażerowie pierwszej klasy przeszli już odprawę, zajęłam więc miejsce dokładnie na wprost młodego człowieka i jego rodziny. Widziałam, jak dzieci stają się coraz bardziej marudne, a ich rodzice są coraz bardziej rozdrażnieni. Po czterdziestu pięciu minutach oczekiwania na wezwanie młody mężczyzna ponownie podszedł do kontuaru. Usłyszałam, jak pracownik reaguje oschle:

– Przecież powiedziałem, że pana wezwę, gdy kierowniczką będzie miała czas.

Mężczyzna wrócił na swoje miejsce. Zajęty czy nie, to jeszcze nie powód, aby pracownik zachowywał się tak grubiańsko, pomyślałam.

Po kolejnych trzydziestu minutach mężczyzna wstał i ponownie podszedł do kontuaru. Na jego widok pracownik zeszywniał, a ja czekałam na gwałtowną konfrontację. Tymczasem młody ojciec powiedział:

– Ja w sprawie swojej prośby. Niech się pan nią nie przejmuje.

Pracownik wpatrywał się w niego zaskoczony.

– Co takiego?

– Wszystko w porządku, naprawdę. Jest pan zajęty, więc proszę się tym nie martwić. Radzimy sobie.

Pracownik lotniska wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego.

– Że co?

– Niech pan posłucha – zaczął spokojnie młody mężczyzna. – Po czterech godzinach siedzenia na tym lotnisku z dziećmi jesteśmy wykończeni. Jeśli zaproponujecie darmową opiekę nad dziećmi, bardzo chętnie z niej skorzystamy. Niech się dają we znaki komuś innemu.

Odwrócił się i poszedł na swoje miejsce, a pracownik stał jak oniemiały. Nie minęło dziesięć minut, a pracownik wezwał młodego ojca przez interkom i bez słowa podał mu plik kart pokładowych, najpewniej wszystkie obok siebie.

Sprytne zagranie, pomyślałam. Sprytne zagranie.

\*

Samolot wylądował w Vegas około piątej. Jak można się było spodziewać, na tamtejszym lotnisku panował jeszcze większy tłok niż w Denver. Odebrałam bagaż z taśmociągu i zadzwoniłam do taty.

– Już przyleciałam.

– Jestem na parkingu dla oczekujących. Zaraz podjeżdżam.

Kilka minut po tym, jak wyszłam przed budynek lotniska, ojciec

podjechał swoim metalicznie niebieskim fordem taurusem 2004. Wsiadł, aby się ze mną przywitać. Po dłuższym niewidzeniu zawsze zauważałam, że wygląda starzej. Tym razem jednak był też szczuplejszy. Mimo to cudownie było go zobaczyć. Objęliśmy się, a tata całował mnie po twarzy, aż zaczęłam się śmiać – tak samo robił, gdy byłam małą dziewczynką.

– Tak miło cię widzieć, skarbie.

– Ciebie też, tato. Widzę, że schudłeś.

– To się zdarza – odparł.

– Szkoda, że nie mnie.

– Nie musisz chudnąć. Wyglądasz idealnie. – Chwycił moją torbę i wrzucił ją na tylne siedzenie samochodu. – Jesteś głodna?

– Umieram z głodu.

– To dobrze. Pomyślałem, że w drodze do domu wpadniemy do Salvatore’a. – Gdy wjechaliśmy na autostradę, zapytał: – Jaką miałaś podróż?

– W tłoku. Wszyscy narzekali.

– W tłoku ludzie stają się marudni. Nic tak nie psuje niektórym humoru jak jazda przed świętami.

– Ale nie tobie – powiedziałam.

Uśmiechnął się.

– Nie, nie mnie. Ja się cieszę, że zobaczę córkę.

Zatrzymaliśmy się przed ulubioną włoską restauracją taty, Cucina Salvatore. Nie byłam w niej od lat, odkąd przeniosłam się do Kolorado. Gdy weszliśmy, właściciel, Salvatore, głośno nas powitał.

– Roberto! Minęło dużo czasu.

– Mówisz to za każdym razem – powiedział mój ojciec. – Byłem tu w zeszłym tygodniu.

– Jesteś *famiglia*. Zawsze mija za dużo czasu. *Sempre troppo tempo*.



– Mówi tak do każdego – wyjaśnił mi ojciec.

Salvatore wskazał na mnie.

– Jak to się dzieje, że zawsze są przy tobie piękne kobiety?

– O, naprawdę? – zaciekałam się.

– To moja córka – przedstawił mnie ojciec.

– *Questa bella donna è la tua figlia? No!* – Salvatore dotknął dłońmi moich policzków i mnie ucałował. – Za szybko rosną.

Salvatore zaprowadził nas do stolika w rogu.

– Dla rodziny najlepszy stolik w restauracji – oświadczył. – *Buon appetito.*

Po jego odejściu tata się uśmiechnął i powiedział:

– Zawsze najlepszy stolik w restauracji. O dwóch innych stolikach mówił dokładnie to samo.

Na przystawkę zamówiliśmy bruschettę z pieczonym czosnkiem, suszone pomidory i ser kozi, po czym zjedliśmy sałatkę caprese. Na *primi piatti* ja zamówiłam risotto z przegrzebkami, a tata gnocchi z grzybami. Na drugie tata zamówił befsztyk na sposób florencki, a ja panierowanego kurczaka z sosem cacciatore.

Gdy przyniesiono nam zamówione dania, ojciec zapytał:

– Jak twoja praca?

– Jak w bajce – odparłam z sarkazmem.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Zjadł kęs befsztyku, po czym powiedział:

– Opowiedz mi o tej konferencji dla pisarzy.

– Mała impreza. Kameralna. Z tego, co czytałam, wynika, że to coś więcej niż konferencja. Raczej tygodniowy pobyt z codziennymi warsztatami, na których mogłabym dopracować swoją książkę. I przyjadą

tam prawdziwi agenci, którym będę mogła pokazać swoją powieść. Ale największą atrakcją jest wystąpienie mojego ulubionego pisarza wszech czasów, E.T. Cowella.

– Chyba go nie znam – powiedział tata. – Co napisał?

– Nic, co zechciałbyś przeczytać. Romanse.

– Mama go czytała? – zapytał tata. – Uwielbiała romanse.

Pytanie zbiło mnie z tropu.

– Nie. Zaczął pisać, gdy jej już nie było.

Zdaje się, że tata wyczuł moje zakłopotanie, bo zmienił temat.

– Pokazałaś już kiedyś swoją książkę jakiemuś agentowi?

– Nie. Wysłałam ją do kilku wydawnictw, ale dostałam odmowne odpowiedzi. – Upiłam łyk wina. – Może nie jest wystarczająco dobra. Może ja nie jestem wystarczająco dobra.

– Przestań. Wszyscy wielcy artyści dostawali odmowne odpowiedzi. To ich częściowo określa. Decca Records odmówili Beatlesom.

– Nie jestem Beatlesami. Ani wielką artystką.

– Dlaczego? Bo znasz swoje pisarstwo? Trudno jest być prorokiem we własnym kraju, ale jeszcze trudniej na swój temat.

– Prorokiem też nie jestem.

– Ale może zostaniesz wielką pisarką. Wiem, że pewno nią będziesz. – Tata pochylił się nad stołem. – Zostawiając pisanie i pracę, powiedz, jak się czujesz? Jak znosisz rozwód?

– Dobrze. Czuję się naprawdę dobrze.

Przez chwilę ojciec patrzył mi głęboko w oczy, po czym powiedział:

– Pamiętasz, jak byłaś nastolatką i powiedziałaś, że nie wzięłaś mojego buicka na przejażdżkę z przyjaciółmi?

Nie bardzo wiedziałam, dlaczego tata wybrał właśnie to mało przyjemne

wspomnienie.

– Pamiętam.

– Nie jesteś teraz lepszym kłamcą niż wtedy.

Do oczu napłynęły mi łzy. Pochyliłam głowę i zaczęłam płakać. Tata wyciągnął rękę i chwycił moją dłoń.

– Przykro mi – powiedział.

Wytarłam oczy serwetką i spojrzałam na tatę.

– Dlaczego nikt mnie nie chce? Co jest ze mną nie tak?

Na twarzy taty odmalował się ból.

– Kochanie, wszystko jest z tobą w porządku.

Nadal ocierałam łzy.

– Nie podobał ci się żaden chłopak, z którym się umawiałam – przypomniałam mu.

– Podobał mi się ten Bryt. Student medycyny.

– To trwało tylko cztery tygodnie. Widziałam go potem na Facebooku. Jest żonaty, ma dwoje dzieci i własną praktykę. Dobrze mu się powodzi.

Zapadła cisza. Podszedł nasz kelner, Mario, i ponownie napełnił nasze szklanki wodą z karafki. Kiedy odszedł, powiedziałam:

– Marcus ci się nie podobał.

– Nie. – Tata nie krył złości, jaką wywołało u niego imię mojego byłego męża. – To był pięciogwiazdkowy palant. Z daleka widziałem, że to nicpoń.

Wolno pokręciłam głową.

– Ale dlaczego ja tego nie widziałam?

Tata patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

– Może kiedy to zrozumiesz, przestaniesz być samotna.

Zmarszczyłam czoło.

– Może. – Oboje wróciliśmy do jedzenia. Po kilku minutach

powiedziałam: – Ale przynajmniej mam ciebie.

Ojciec przerwał jedzenie i spojrzał na mnie z namysłem.

– W ten sposób dochodzimy do pewnego tematu – powiedział wolno. Ściągnął brwi. – Pamiętasz, jak podczas naszej rozmowy telefonicznej powiedziałaś, że będę żył wiecznie? – Wpatrywałam się w niego bez słowa. Wyglądał na skrepowanego. – Trzy tygodnie temu poszedłem na kolonoskopię. Wykryli, ee... – Zawahał się, patrząc w moje przerażone oczy. – Wykryli u mnie guza.

Odłożyłam widelec.

– Ale jest łagodny...?

Ojciec wydał z siebie niemal niesłyszalny jęk.

– Mam raka jelita grubego.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

– Niestety, został wykryty późno, więc się rozrósł. Nazywają to stadium 3A.

Do oczu napłynęły mi łzy.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Ale nie załamuj się, nie jest aż tak źle. Wiem, że trzecie stadium brzmi tak, jakbym był już jedną nogą w grobie, ale tak nie jest. Wskaźnik przeżycia wynosi prawie 70 procent. Będę pamiętał o tej szansie każdego dnia. Do licha, narażam się na o wiele większe ryzyko, wyjeżdżając harleyem na trasę.

– Gdzie się leczysz?

– W VA.

– W szpitalu dla weteranów? Równie dobrze możesz się powiesić.

– Dramatyzujesz. Nie jest tak, jak myślisz.

Wybuchłam płaczem. Tata wziął mnie za rękę. Gdy byłam w stanie mówić, zapytałam:

– Możemy już jechać do domu?

Tata pochylił się nad stołem i pocałował mnie w czoło.

– Co tylko sobie życzysz, kochanie. Co tylko sobie życzysz.

## Rozdział 6

*Jakże inaczej wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy wiedzieli, jak niewiele go nam zostało.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Dom mojego ojca był zwyczajny, lecz piękny – typowy dla Las Vegas budynek pokryty kamienną okładziną i białym tynkiem, stojący w otoczeniu palm. Parterowy i niezbyt duży – trzy sypialnie, dwie łazienki – było w nim jednak mnóstwo miejsca dla nas dwojga.

Pomimo zranionego serca, a może właśnie z jego powodu, wyjątkowo cieszyłam się z przyjazdu do domu. Po tak długim czasie nadal czułam się w nim jak u siebie.

Ojciec dał mi klucze do domu, a sam wziął moją walizkę i ruszył za mną. W holu stało duże, podświetlone akwarium z pięknymi, kolorowymi egzotycznymi rybkami. To było najnowsze hobby taty.

– Jak twoje rybki? – zapytałam.

– A, rybki – mruknął, trochę poirytowany. – W zeszłym tygodniu miałem wypadek. Kupiłem rogatnicę, a ona zaczęła zjadać inne rybki łącznie z wartym sto dolarów cherubinkiem złotogłowym.

– Drogie hobby – zauważyłam.

– Za drogie na mój budżet. Nigdy nie powinienem był się do niego zabierać.

Wniósł mój bagaż do mojego dawnego pokoju i postawił obok łóżka.

– Wyprałem pościel i wszystko.

– Dzięki, tato. – Zapadła niezręczna cisza, jakby tata nie był pewien, czy zostawić mnie samą. Po chwili zapytałam: – Jesteś gotowy na jutro?

– Prawie. Rano przygotowałem zapiekanki.

– Słucham? – zapytałam zaskoczona.

– To coś dla mnie nowego – przyznał. – Przepisy znalazłem w Internecie. I miałem asystentkę. Tę panią, o której ci mówiłem, tę ze szpitala weteranów. Przyjechała mi pomóc.

– Mówisz o Alice?

Uśmiechnął się szeroko.

– Alice. Jak w *Alice's Restaurant*<sup>2</sup>.

– Niech i tak będzie.

– Więc zrobiłem jedną zapiekankę z dynią i drugą z orzechami pekan. Ta z orzechami była trochę trudna, ale wyszła bardzo dobrze.

– Cieszę się, że Alice tu przyjechała – powiedziałam. – Nie chciałabym, abyś cały czas był sam.

– Nie jestem sam. Mam rybki.

– Jeśli akurat nie zjadają się nawzajem.

Tata na pewno domyślił się, że prowadzę błąhą rozmowę, aby tylko nie poruszać tematu raka, ponieważ usiadł na łóżku obok mnie i objął mnie ramieniem.

– Coś ci opowiem. Kiedy byłem w Namie, służyłem z facetem o nazwisku Gordie Ewell. Zawodowy żołnierz piechoty, cztery lata spędził na polu walki. Był niezniszczalny. Brał udział w najbardziej zaciętych bitwach tamtej wojny: Hamburger Hill, Khe Sanh i Cu Chi. Wyszedł cało z zestrzelonego helikoptera, który roztrzaskał się o ziemię, jeep, którym jechał, wybuchł na minie lądowej, w okopie dostał odłamkiem granatu,

ukąsiła go żmija i dwa razy został postrzelony. Nic go nie zmogło. Żołnierze nadali mu ksywkę Bumerang, bo zawsze wracał cało.

Po zwolnieniu z wojska dostał trzy medale Purpurowe Serce. Wrócił do domu w Brooklynie w czerwcu siedemdziesiątego trzeciego, mniej więcej w tym samym czasie, w którym wojna dobiegała już końca.

Jakiś miesiąc później poszedł do dentysty, żeby usunąć ząb mądrości. Dostał zbyt dużą dawkę znieczulenia i zmarł na fotelu dentystycznym.

Przyjrzałam się tacie.

– Która część tej historii miała mnie podnieść na duchu?

– Chcę tylko powiedzieć, że kiedy przychodzi na człowieka czas, to przychodzi, i koniec. Wiem, że to może brzmieć złowieszczo, ale ja w tym upatruję nadziei. – Objął dłońmi moją twarz. – Nie wierzę, że przyszedł mój czas, córeczko. Wciąż mamy wiele dobrych lat przed sobą, ty i ja. – Pocałował mnie w czoło, po czym wstał. – A teraz się kładź. Jutro czeka nas mnóstwo pracy.

– Dobranoc, tato.

– Dobranoc, kochanie. – Podeszedł do drzwi i się obrócił. – Nasze najlepsze lata są wciąż przed nami. Nie zapominaj o tym.

– Obyś miał rację.

– Wiem, że mam – powiedział, uderzając się pięścią w serce. – Wiem. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Rozebrałam się, zgasiłam światło i położyłam się do łóżka. Płakałam tak długo, aż zmorzył mnie sen.

---

<sup>2</sup> Aluzja do debiutanckiego albumu Arlo Guthrie'ego (wyd. w 1967 roku), który był wyrazem sprzeciwu piosenkarza wobec obowiązkowego poboru podczas wojny w Wietnamie.



## Rozdział 7

*Czasami najzdrowsi są ci, którzy mają za sobą najtrudniejsze doświadczenia.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Jak można było się spodziewać, nie spałam dobrze. Myśli o raku ojca prześladowały mnie niczym zła piosenka, od której nie można się uwolnić. W środku nocy obudziłam się gwałtownie i usiadłam wyprostowana, gdy przyśniło mi się, że jestem na pogrzebie taty.

Pomimo niewyspania wstałam na tyle wcześnie, by móc obejrzeć wschód słońca nad River Mountains. Na dworze było chłodno, prawdopodobnie około 15 stopni Celsjusza, ale i tak gorąco w porównaniu z zimnem, które panowało w Denver.

Włożyłam sportowe buty, spodnie dresowe oraz bluzę z logo Denver Broncos. Przeszłam około dziesięciu kilometrów, próbując trochę oczyścić umysł przed powrotem do domu. Liczyłam, że dzięki spacerowi poczuję się lepiej, ale tylko jeszcze więcej myślałam o raku taty. Dwa razy zalałam się łzami – raz, kiedy byłam już blisko domu, więc nadłożyłam jeszcze półtora kilometra. Nie chciałam, aby tata widział, że płakałam – co i tak nie było możliwe do ukrycia, bo miałam zaczerwienione i zapuchnięte oczy. Gdy weszłam, tata był w kuchni i przygotowywał śniadanie.

– Zrobiłem ci owsiankę.

Nie skomentował moich zapuchniętych oczu, za co byłam mu wdzięczna. Objął mnie, po czym podał mi miseczkę.

– Zrobiłem ją tak, jak lubisz, ze śmietanką, orzechami włoskimi, rodzynkami i mnóstwem brązowego cukru. Zbyt dużą ilością brązowego cukru.

– Dzięki, tato. – Usiadłam i zabrałam się do jedzenia.

– Jak twój spacer?

– W porządku – odparłam.

Tata polał swoją owsiankę śmietanką i usiadł naprzeciwko mnie.

– Jak spałaś?

– Miło jest znowu być w domu – powiedziałam, ignorując jego pytanie.

– Zawsze jest miło, gdy przyjeżdżasz. Nie musisz mieszkać w Kolorado.

– Wiem.

Gdy zjedliśmy, zgodnie z naszą tradycją tata włączył świąteczny album rodzeństwa Carpenters i dom wypełnił dźwięczny głos Karen.

Mieliśmy mnóstwo gotowania, co mi bardzo odpowiadało. Potrzebowałam czegoś, czym mogłam zająć myśli. Do mnie należało upieczenie dwóch zapiekank: ze słodkich ziemniaków posypanych orzechami pekan oraz z mąki kukurydzianej.

Zauważyłam, że tata postawił na stole dwa dodatkowe nakrycia.

– Będziemy mieć gości?

– Zaprosiłem dwóch znajomych ze szpitala. Chucka i Joela. Nie mają w pobliżu żadnej rodziny. Nie masz nic przeciwko?

– Jasne, że nie. A co z Alice?

– Jest w Utah u swoich dzieci. Jej syn ma tam firmę internetową.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Ponownie ogarnął mnie smutek i odwróciłam się od ojca, wycierając co jakiś czas policzki serwetką lub ściereczką do naczyń. Siekałam orzechy pekan, gdy podszedł tata.

– Co się dzieje?

Nie przerwałam siekania.

– Oprócz tego, że umrzesz? – zapytałam, nie patrząc mu w oczy.

Położył rękę na mojej dłoni, abym przestała siekać.

– Już ci mówiłem, że nie umrę.

– Zdanie się na opiekę w szpitalu dla weteranów nie napełnia mnie optymizmem. Las Vegas ma jeden z najlepszych ośrodków onkologicznych w Stanach. Może byś się udał do niego?

– Dlaczego mam korzystać z lepszego leczenia niż inni?

– Bo powinieneś korzystać z najlepszego leczenia, jakie jest dostępne.

– I tak robię. Szpital dla weteranów jest dostępny. Nie stać mnie na kosztowny ośrodek onkologiczny.

– Ale twoje ubezpieczenie...

– Medicovert pokrywa leczenie w szpitalu dla weteranów.

Pokręciłam głową.

– Musimy znaleźć jakiś inny sposób, by zapłacić za lepszą opiekę.

Tata tego nie skomentował.

Po chwili podjęłam:

– Wiesz, co jest jeszcze gorsze, jeśli to w ogóle możliwe? Że mówimy o tym w Święto Dziękczynienia. Tracę kolejne święto po Bożym Narodzeniu zepsutym przez mamę i po walentynkach zepsutych przez Marcusa. Teraz brakuje mi już tylko jakiejś tragedii w Halloween albo Wielkanoc.

– Przykro mi. Nie powinienem był ci mówić.

– Ależ oczywiście, że powinieneś był mi powiedzieć.

– W takim razie musisz mi uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.

– A co to znaczy „dobrze”? Że umrzeć jest „dobrze”?

Po chwili milczenia odpowiedział:

– Jeśli do tego dojdzie.

– Jeśli do tego dojdzie? Dlaczego tak spokojnie podchodzisz do swojej śmierci?

– A dlaczego miałbym podchodzić niespokojnie? Każdy musi umrzeć.

Patrzyłam na niego, powstrzymując łzy.

– Ale nie ty.

– Dlaczego nie ja?

– Bo jesteś wszystkim, co mam. – Rozpłakałam się. – Wszystkim, co kiedykolwiek miałam w życiu.

Objął mnie i mocno przytulił, gładząc mnie po głowie.

– Masz rację. To z mojej strony nie fair, prawda? Ty też jesteś wszystkim, co mam.

Przez kilka minut szlochałam w jego ramionach. Po chwili się uspokołam.

– Gdy powiedziałem, że to jeszcze nie moja pora, naprawdę tak myślałem. Ale jeśli, Boże broń, jest inaczej, pamiętaj, że śmierć jest jak znak interpunkcyjny na końcu zdania. Tylko od nas zależy, czy będzie to kropka, czy wykrzyknik.

– Albo znak zapytania.

– Czasami bywa i tak. Ale jeśli to koniec, choć ja tak nie uważam, to czy chcemy pozostawić nasze zdanie nieskończone? Czy raczej postaramy się o najlepsze z możliwych zakończeń? – Gdy nie odpowiedziałam, tata pochylił się w moim kierunku.

– Więc jak postąpimy? – zapytał.

– Postaramy się o najlepsze z możliwych zakończeń.

Uśmiechnął się.

– Dobra dziewczynka. Miej trochę wiary, że wszystko się dobrze skończy. Poza tym jest mnóstwo rzeczy, za które powinniśmy być wdzięczni.

Nic takiego nie przyszło mi do głowy.

– Na przykład? – zapytałam.

– Na przykład ta chwila. Właśnie teraz.

Gdy ocierałam łzy, rozległ się dźwięk timera w piekarniku.

– To bułki – wyjaśnił tata. – Wiem, że bardzo je lubisz i jesteś za nie wdzięczna. – Włożył rękawice kuchenne i otworzył piekarnik. – Idealne. – Tata robił najlepsze pod słońcem bułki Parker House. – Posmarował je stopionym masłem i ponownie zamknął piekarnik.

– A jak tam u ciebie? – zapytał.

– Prawie gotowe.

– To dobrze. Nasi znajomi będą za pół godziny.

\*

Tata kroił upieczonego indyka nożem elektrycznym, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

– To na pewno Chuck i Joel. Mogłabyś?

– Jasne.

Otworzyłam drzwi frontowe. Stojący na progu mężczyźni wyglądali inaczej, niż ich sobie wyobrażałam. Myślałam, że będą to dwaj kumple mojego ojca z Wietnamu. Ci panowie na pewno nimi nie byli. Jeden z nich wyglądał na znacznie starszego od mojego taty. Był niski i miał wydatny brzuch. Był też niewidomy, co poznałam po jego zmętniałych oczach. Drugi mężczyzna był w podobnym do mnie wieku, może kilka lat młodszy. Atrakcyjny, o gęstych, kręconych ciemnych włosach i z mocno zarysowaną kwadratową szczęką typową dla żołnierzy marines. Wspierał się na kuli, ponieważ nie miał prawej nogi i lewego przedramienia.

– Szczęśliwego Świąta Dziękczynienia – powitałam ich. – Proszę wejść.

- Dzięki – powiedział młodszy z mężczyzn.
- Panowie! – zawołał tata z kuchni. – Wchodźcie!
- Coś ci się chyba pomyliło – stwierdził starszy z gości, śmiejąc się. – Tu nie ma żadnych panów.
- Tata wyszedł z kuchni, aby się z nimi przywitać.
- Przepraszam, ale właśnie kroję indyka. Wchodźcie do środka.
- Starszy z mężczyzn chwycił kikut ręki swojego młodszego kolegi i obaj weszli do domu.
- Pachnie bosko – zachwycił się starszy z nich.
- Na pewno nie wyjdziecie stąd głodni – zapewnił ich tata.
- Kim jest ta śliczna młoda kobieta, która otworzyła nam drzwi? – zapytał starszy.
- A ja cały czas myślałem, że jesteś niewidomy – powiedział tata.
- Nie widzę. Ale nie jestem ślepy – odparł mężczyzna i zwrócił się do mnie: – Jestem Chuck, młoda damo. – Wyciągnął rękę i podałam mu swoją dłoń. Ujął ją i pocałował. – Dziękuję za wpuszczenie starca na wasze przyjęcie.
- Cała przyjemność po naszej stronie.
- Joel – przedstawił się drugi gość, wyciągając rękę. – Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie. Od jakiegoś czasu tkwię w szpitalu na rehabilitacji. Fajnie jest wyjść na świąteczną przepustkę.
- Proszę, siadajcie – powiedziałam. – Właśnie kończymy. Siadajcie, gdzie chcecie.
- Pokaż mi gdzie – poprosił Chuck.
- Przepraszam. – Odsunęłam krzesło i naprowadziłam jego rękę na oparcie. – Proszę, tutaj.
- Dziękuję, młoda damo.

– Napijecie się czegoś? – zapytał tata. – Wina? Piwa?

– Poproszę o trochę wina – powiedział Joel.

– Nie dla mnie takie luksusy – powiedział Chuck. – Poproszę o puszkę buda, jeśli masz.

Tata przyniósł puszkę piwa i kieliszek białego wina.

– Zdaje się, że Włoch popełnia grzech, gdy nie serwuje chianti, ale popieram miejscową produkcję. To wino nazywa się Serenity i pochodzi z winiarni Sanders w Pahrump.

Joel upił łyk.

– Dobrze. Dziękuję.

– Ma nutę gruszki i jaśminu – wyjaśnił ojciec, wracając do kuchni. – Bardzo mi smakuje.

– No i przekonałeś mnie – stwierdził Chuck. – Mógłbyś pracować jako reprezentant handlowy tej winiarni. Chętnie spróbuję wina.

– A ty, słonko? – zapytał mnie tata. – Nalać ci trochę wina?

– Kieliszek. – Albo całą butelkę, pomyślałam.

Tata napełnił dwa kieliszki i przyniósł je do stołu, po czym wrócił po wyłożony serwetką koszyczek z bułkami i również postawił go na stole.

– Prosto z pieca. Mamy wszystko oprócz indyka.

– Nie ociągaj się z ptakiem – zażartował Chuck. – Bez ptaka nie ma Święta Dziękczynienia.

Gdy tata wszedł z półmiskiem, Chuck uniósł nos i wciągnął zapach.

– Jak w niebie – powiedział. – Ślinię się jak pies starego Pawłowa. Bierzmy się do jedzenia.

– Najpierw podziękowania – powiedział tata. Jedną ręką chwycił moją dłoń, a drugą ramię Joela. Wszyscy chwyciliśmy dłonie swoich sąsiadów. – Kim, zechcesz odmówić modlitwę?

– Tak, dziękuję. – Pochyliłam głowę. – Panie, jesteśmy wdzięczni za ten dzień, w którym możemy docenić wszystkie zesłane nam łaski. Jesteśmy wdzięczni za to jedzenie i jego obfitość. Dziękujemy za to, że jesteśmy razem... – Nagle poczułam, jak wzruszenie ściska mi gardło. – Daj nam zdrowie. Amen.

– Amen – powtórzyli mężczyźni.

– Zabierajmy się do jedzenia – zachęcił tata. – Chuck, białe mięso jest bliżej ciebie, a ciemne po drugiej stronie półmiska.

– Lubię oba rodzaje – przyznał Chuck i zwrócił się do mnie: – Mogłabyś mi nałożyć, moja droga?

– Oczywiście. Czego sobie życzysz?

– Po trosze wszystkiego. Na początek.

Gdy postawiłam przed nim pełny talerz, Chuck głęboko nabrał powietrza.

– Umarłem i trafiłem do nieba. To prawdziwe tłuczone ziemniaki, prawda? Nie te sztuczne, perłowe.

– Sama je utłukłam.

– A ta kukurydza. Ręcznie łuskana?

– Słucham?

– To cytat z filmu z Billem Murrayem<sup>3</sup> – wyjaśnił Joel, uśmiechając się.  
– Nie odpowiadaj. To go tylko zachęci.

– A ten boski zapach to od zapiekanki ze słodkich ziemniaków z orzechami pekan?

– Czujesz ją?

– O tak. Kiedy moje oczy osłabły, nos się wzmocnił. Prawie potrafię czytać nosem.

– Chuck przebywa w szpitalu dla weteranów od prawie trzech miesięcy – odezwał się tata. – Czeka na przeszczep wątroby.



– Dlatego mam taki śmieszny bęben – powiedział Chuck, głaszcząc swój brzuch. – To się nazywa wodobrzusze. Powstaje od nagromadzenia płynów w jamie brzusznej. Odciągają je, ale po tygodniu znowu nachodzą. Wiecie co, pewnego dnia przyszło mi do głowy, że chyba w końcu się starzeję.

– Masz tyle lat, na ile się czujesz – powiedział tata.

– To mam czterysta.

– Kiedy spodziewasz się operacji? – zapytałam.

– Pewnie miesiąc po swojej śmierci. W moim wieku nie jestem na czele listy biorców. No i to jest szpital dla weteranów.

Jego ostatnie stwierdzenie szczególnie mnie zaniepokoiło.

– A co z twoją rodziną? – zapytałam i od razu tego pożałowałam, bo na twarzy Chucka odmalował się ból.

– Nie chcę mieć do czynienia z takim starcem jak ja – odparł.

Zapadła niezręczna cisza. Upiłam łyk wina i powiedziałam:

– Tata powiedział, że służyłeś podczas wojny w Korei.

– Nie. To nie była wojna. To była akcja policyjna. Truman tak ją nazwał.

– Ale służyłeś w Korei – powiedział tata.

– Tak jest.

Zwróciłam się do Joela.

– A ty służyłeś w Iraku?

– Tak. W Iraku i Afganistanie. I właśnie w Afganistanie wojna się dla mnie skończyła. Nasz humvee<sup>4</sup> wjechał na minę lądową. Mnie się akurat poszczęściło. Straciłem część ciała, ale pozostali stracili życie.

„Szczęście” nie przyszłoby mi do głowy w tym kontekście.

– Jesteś z Vegas?

– Właściwie z Huntsville. Ale z żoną i jej matką mieszkaliśmy w Vegas, zanim wyjechałem do Iraku. – Twarz mu posmutniała. – Rozwódzimy się. –

Widziałam, jaki ból wywołały u niego te słowa. – Żona wniosła o rozwód, gdy stwierdziła, że tylko część jej męża wróciła z wojny.

– To przykre.

– To znaczy rozumiem, że to może być dla niej trudne. Straciłem więcej niż tylko kończyny. – Zawahał się. – Nie na to się pisała.

– Jesteś dla niej zbyt dobry – stwierdziłam.

Spojrzał mi w oczy.

– Widziałem wiele bólu na tym świecie. Czy można być zbyt dobrym?

Nie potrafiłam na to odpowiedzieć.

Joel głęboko zaczerpnął powietrza.

– W każdym razie cieszę się, że nie mieliśmy dzieci, zanim wyjechałem. Też by ucierpiały, rozumiesz? Do domu wróciła połowa ojca.

– Bardzo ci współczuję.

Zmusił się do uśmiechu.

– Ojciec mówił, że nie mieszkasz w Las Vegas.

– Od trzech i pół roku mieszkam w Denver – odparłam.

– W Denver jest za zimno – odezwał się Chuck. – Dlatego mówią o nim „Miasto wysokie na milę”.

– Mówią tak, ale dlatego, że leży wysoko nad poziomem morza – wyjaśnił tata.

– To też.

– Czytałam, że wczoraj w Denver było minus czternaście stopni Celsjusza – powiedziałam. – I utworzyły się półtorametrowe zaspasy.

– Nieludzkie warunki – stwierdził Chuck. – Jak w latach pięćdziesiątych w Pusan. Ziemia była tak zmarznięta, że musieliśmy ją ogrzewać racami, żeby wbić śledzie do namiotów. Mogę prosić o dokładkę tej zapiekanki ze słodkich ziemniaków? I trochę tej z mąki kukurydzianej?

– Oczywiście – powiedziałam, biorąc jego talerz. Gdy go stawiałam przed Chuckiem, Joel powiedział:

– Od twojego ojca wiemy, że jesteś pisarką.

– Początkującą – zaznaczyłam. – Na co dzień zarabiam na życie w dziale sprzedaży salonu samochodowego.

– Jakiego? – zaciekawiał się Chuck.

– Lexusa.

– Lexus robi dobre auta – przyznał Chuck. – Zawsze chciałem mieć jeden z ich sportowych samochodów, ale jakoś nigdy nie doprowadziłem sprawy do końca.

Joel ciągnął temat:

– Napisałaś jakieś książki?

– Jedną. Musi jeszcze przejść redakcję. Próbuję znaleźć wydawcę albo agenta, ale na razie dostaję odmowy.

– Słyszałem, że to spotyka wszystkich pisarzy – powiedział Joel litościwie. – Kilka tygodni temu widziałem pewnego pisarza w PBS. Opowiadał, że ma kolekcję tuzina listów odmownych. Gdy sprzedał pierwszy milion swoich książek, wysłał do każdego z wydawnictw, którego go odrzuciły, kopię listy bestsellerów „New York Timesa”, na której zajmował pierwsze miejsce, i napisał, ile pieniędzy dotąd stracili. A potem oprawił w ramki wszystkie listy odmowne.

– Jestem dopiero na etapie tworzenia swojej kolekcji – powiedziałam.

– O czym jest twoja książka?

– To opowieść o samotnej kobiecie, która poznaje mężczyznę, który nie chciałby chodzić sam na te wszystkie świąteczne imprezy, więc proponuje jej, aby udawali, że są parą.

– Aby udawali? – zdziwił się Chuck.

– Tak. Tylko oni wiedzą, że ich związek nie jest prawdziwy.

– I zakochują się w sobie? – dopytywał Chuck.

– To romans – powiedział ojciec. – Oczywiście, że się zakochują. Gdyby to był thriller, toby się zastrzelili.

– Zapowiada się ciekawie – stwierdził Joel. – Chętnie bym ją przeczytał.

– Przeczytałbyś romans? – zdziwiłam się. – Widzę cię raczej jako czytelnika Brada Thora i Lee Childa.

Uśmiechnął się.

– Rzeczywiście lubię dobry thriller, ale jestem otwarty na inne gatunki. Jeśli pisarz ma dobry styl.

– Kim ma dobry – zapewnił tata. – Za kilka tygodni jedzie na konferencję dla pisarzy. Ma tam szansę poznać agentów i może sprzedać swoją książkę.

– To świetnie – ucieszył się Joel. – Mam nadzieję, że wszystko pomyślnie się ułoży.

– Jeszcze nie wiem, czy pojedę – powiedziałam. – To znaczy jestem zainteresowana, ale to impreza nie na moją kieszeń.

– Pojedziesz – uciął tata.

Nie skomentowałam tego.

– To świetnie – ucieszył się Joel. – Kiedy będziesz po raz pierwszy podpisywać swoje książki, ustawię się pierwszy w kolejce.

– To bardzo miłe – powiedziałam.

– Prawdę mówiąc, mogłabyś sprzedawać swoje książki dzięki swojej fotografii na okładce. Jesteś bardzo ładna.

Trochę się spieszyłam.

– Dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza. Joel się zarumienił i powiedział:

– Przepraszam. Nie chciałem wprowadzić cię w zakłopotanie.

– Skądże. To było bardzo miłe.

Joel nadal wyglądał na skrepowanego.

– Nie wiem, jak mogłem chlapnąć coś takiego, zamiast zajadać się tym pysznym jedzeniem.

– Czego ci nałożyć? – zapytałam.

– Oddałbym rękę i nogę za dokładkę tej zapiekanki ze słodkich ziemniaków.

Przy stole zapadła cisza. Nagle Joel wybuchnął śmiechem.

– Chwileczkę, przecież już ich nie mam!

Jaki piękny mężczyzna, pomyślałam.

\*

– Najlepszy obiad z okazji Święta Dziękczynienia, jaki jadłem w życiu – oznajmił Chuck, gładząc się po brzuchu.

– Jesteś bardzo uprzejmy – przyznał tata.

– A czy to źle? Znasz mnie, jestem wystarczająco stary, żeby mówić prawdę. Moja pierwsza żona była okropną kucharką. Druga nie chciała gotować. Nie wiem, która była gorsza.

Joel i ja uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Przyniosę kawy – oznajmił tata. – Jacyś chętni?

– Ja – zgłosił się Joel. – Poproszę z odrobiną mleka.

– Ja też – powiedziałam.

Gdy tata przygotowywał kawę, podałam na stół tarty.

– A co tu mamy? – zapytał Chuck. – Pachnie jak tarty.

– Znowu zgadłeś. Z dynią i orzechami pekan.

– Poproszę po kawałku obu.

Zwróciłam się do Joela:

- A ty?
- Mogę prosić o kawałek z pekanami?
- Oczywiście. Chciałbyś ją *à la mode*?
- Poproszę.
- Podgrzaną?
- Nie, zimna jest lepsza. Nie lubię roztopionych lodów.
- To tak jak ja – powiedziałam.
- Kiedy się znajdzie w żołądku, to i tak bez różnicy – zauważył Chuck.
- Nie pojmuję, dlaczego ludzie tak mówią – stwierdził ojciec.

Podaliśmy ciasto obu naszym gościom, po czym ukroiłam sobie po plasterku obu tart. Po kawie panowie oglądali mecz Dallas Cowboys kontra Washington Redskins, a ja sprzątnęłam ze stołu i pozmywałam naczynia. Nie znaczy to, że zostawili mnie samą z całą robotą – każdy zaoferował pomoc, zwłaszcza Joel, którego właściwie musiałam wypchnąć z kuchni. Tatę było jeszcze trudniej odwieść od tego pomysłu. Pozbyłam się go, dopiero gdy powiedziałam, że byłoby niegrzecznie zostawić gości samych w salonie.

- Oglądają mecz – powiedział tata. – Nie jestem im potrzebny.
- Idź – powiedziałam. – Zawsze oglądasz mecz piłkarski w Święto Dziękczynienia. Poza tym nie chcę nikogo w kuchni.

Gdy w końcu zrozumiał, że nie ustąpię, wziął piwo i wyszedł, mruczając:

- To moja kuchnia.

Prawda była taka, że chciałam być sama. I chciałam, aby panowie dobrze się bawili. Wszyscy trzej wycierpieli więcej niż ja. I chyba to uświadomiło mi, że jednak mam za co być wdzięczna.

---

4 High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle, wielozadaniowy pojazd kołowy o wysokiej mobilności.

## Rozdział 8

*Znowu w Kolorado. Najpewniejsze są powroty dobrowolnych emigrantów.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Szpitalny mikrobus przyjechał po Chucka i Joela tuż po wpół do ósmej. Tata namówił kierowcę, aby wszedł na poczęstunek, a potem zapakował tartę dyniową i wręczył Chuckowi, by zawiózł ją do szpitala. Przed wyjazdem Joel uścisnął mi rękę.

– Dziękuję za wszystko. Myślałem, że to będzie okropny dzień, ale okazało się zupełnie inaczej. Wyśmienite jedzenie i jeszcze lepsze towarzystwo. Naprawdę było mi przyjemnie cię poznać. Może wyskoczmy na kawę, gdy tu znowu przyjedziesz.

– Bardzo chętnie. I dziękuję.

– Za co?

– Za poświęcenie dla naszej ojczyzny. Dla nas.

– To był dla mnie zaszczyt.

Ukradkiem spojrzałam na jego okaleczone ciało.

– Wszystkiego dobrego – powiedziałam.

\*

Po ich wyjeździe tata przyszedł do kuchni i nałożył resztkę indyka na bułkę, podgrzewając w kuchence mikrofalowej sos pieczeniowy do maczania swojej



kanapki. Potem usiadł obok mnie przy stole.

– Najlepsza część Dziękczynienia – powiedział. – Resztki.

– Chyba przeżyjemy na nich aż do Bożego Narodzenia. – Spojrzałam na niego. – Twój znajomi byli bardzo mili.

– Tak. Chuck bywa zrzędlawy, ale to z powodu wieku i bólu. Jest dobrym człowiekiem. I umiera. Zauważyłaś, że ma żółtą skórę?

– Tak.

– To z powodu niewydolności wątroby.

– Ale powiedział, że dostanie przeszczep?

Tata pokręcił głową.

– Tak mówi, ale jest za stary na przeszczep. Nie zmarnują organu. Poza tym Chuck nie przeżyłby operacji.

– Ile mu zostało?

– Parę tygodni temu spytałem o to lekarza. Powiedział, że nie ma kryształowej kuli, ale byłby zdziwiony, gdyby Chuck dożył Bożego Narodzenia.

– Więc to było jego ostatnie Święto Dziękczynienia?

Tata pokiwał głową.

– Dlatego go zaprosiłem.

– A Joel? Nie mogę uwierzyć, że nie znienawidził swojej żony. Nie znam jej, ale jej nienawidzę.

– Nie wydawaj pospiesznych sądów – powiedział tata. – Każdy z nas przeżywa stratę na swój sposób. Ale co do Joela masz rację. To wspaniały młody człowiek. – Przyglądał mi się przez chwilę. – I zdaje się, że zrobiłaś na nim wrażenie.

– Na pewno jest samotny.

– Na pewno brakuje mu kobiecego towarzystwa.

– Może umówimy się na kawę. Chociaż tyle mogę dla niego zrobić.

Tata pokręcił głową.

– Nie, nie umawiaj się z nim z litości. To nie byłoby w porządku.

– A z przyjaźni?

– Przyjaźń jest w porządku. Tylko że jeśli go pociągasz, może sobie z tym nie poradzić. Ale niech sam zadecyduje. Poza tym nigdy nie wiesz, jak to się rozwinie.

– On ci się podoba?

– O tak. Nawet okaleczony jest bardziej mężczyzną niż większość znanych mi facetów.

– Albo tych, z którymi się związałam?

– Joel jest dziesięć razy lepszym mężczyzną, niż był Marcus. Niż jest Marcus. Ale to nisko ustawiona poprzeczka.

– Z tym trudno mi polemizować – przyznałam. – Cieszę się, że ich zaprosiłeś. Rano nie przychodziła mi do głowy ani jedna rzecz, za którą powinnam dziękować. Teraz mogłabym ułożyć listę.

– To dobrze. Istnieją problemy większe od naszych.

– Rak to duży problem.

– Może być – powiedział tata. – Ale sobie z nim poradzę. I na pewno nie zamieniłbym się problemami z żadnym z naszych gości.

Wolno pokiwałam głową.

– A wracając do tej konferencji dla pisarzy, nie jadę.

– Oczywiście, że jedziesz.

– Nie, nie jadę. Jest zbyt droga. A nie zamierzam wziąć od ciebie ani centa.

– To nie ty decydujesz.

Roześmiałam się.

– Jak to nie ja, skoro chodzi o to, czy pojedę, czy nie?  
– Ale to ja decyduję, czy dam ci pieniądze, czy nie.  
– Co takiego? Chcesz mnie zmusić, żebym pojechała?  
– Nie, ale już zapłaciłem za tę konferencję. Łącznie ze spotkaniem z agentem. Załatwiłem ci dwóch, na wypadek gdyby jeden z nich ci się nie spodobał.

Stałam jak ogłuszona.

– Zapisaleś mnie na tę konferencję?  
– Powiedziałaś, że chcesz pojechać, więc zarezerwowałem ci miejsce w ramach prezentu gwiazdkowego.

– Skąd wiedziałeś, gdzie ją znaleźć?  
– To nie Święty Graal. Szukałem imprezy dla pisarzy w hotelu Pod Jemiołą z udziałem E.T. Cowella. – Tata wyglądał na dumnego z siebie. – Zapłaciłem kartą kredytową i opłata nie podlega zwrotowi. Więc nie, nie musisz jechać, ale przypadnie sporo pieniędzy, jeśli tak zrobisz.

– Tato, musisz wycofać te pieniądze.  
– Bardzo wyraźnie zaznaczono, że nie będzie żadnych zwrotów.  
Zabrakło mi słów.  
– To nie fair – powiedziałam w końcu.  
– Co jest nie fair? To moje pieniądze i mogę z nimi zrobić, co chcę. A chcę, aby moja córka zrealizowała swoje marzenie.

– Tato... – Urwałam pod wpływem wzruszenia. – Nie powinieneś był tego robić.

– Posłuchaj, jeśli rzeczywiście chcesz mnie zdołować, to przestań marzyć. Wtedy zapragnę umrzeć. Pamiętaj, chodzi o znaki przestankowe.  
– Mówisz jak moja nauczycielka angielskiego z liceum.  
– Liczy się skutek – skwitował tata.

\*

Następne dwa dni spędziłam, udając, że wszystko jest w porządku. Przyjemnie było żyć fikcją i czułam się szczęśliwa aż do wylotu do Denver w niedzielny poranek. Wtedy powróciła rzeczywistość. W drodze na lotnisko zaczęłam płakać. Tata nie skomentował moich łez, ale ujął mnie za rękę.

Na lotnisku wysiadł z samochodu i mnie objął.

– Pamiętaj, najlepsze lata naszego życia są wciąż przed nami. I najwyższa pora, abyś zrealizowała swoje marzenie. Świat na ciebie czeka.

– Dzięki, tato. – Gdy wyswobodziliśmy się z objęć, powiedziałam: – Dbaj o siebie.

– Zawsze dbam.

Gdy tylko weszłam do terminalu, zalałam się łzami.

## Rozdział 9

*Jak to się dzieje, że bardzo często ci, którzy mają najmniej, najchętniej dzielą się z innymi?*

Z dziennika Kimberly Rossi

Przez następne kilka tygodni większość wolnego czasu poświęcałam na poprawianie swojej powieści, ale w końcu doszłam do etapu, gdy wszystkie słowa zaczynały wyglądać tak samo. To prosty mechanizm psychologiczny. Jeśli przejechało się tą samą trasą tysiąc razy, przestaje się zwracać uwagę na krajobraz. Tata miał rację, wyjazd mógłby mi pomóc. Ciężko mi jednak świadomość tego, jak wiele dla mnie poświęcił, abym mogła wziąć udział w tej konferencji. A jeśli to nic nie da? Jak powiem tacie, że nikt nie chciał mojej książki?

Jakby tego było mało, Rachele zamierzała wyjść za swojego nowego chłopaka i nagle stałam się jej powiernicą. Najwyraźniej czerpała sadystyczną przyjemność z opowiadania mi, jaka jest szczęśliwa, i dobijając mnie pocieszeniem, że ja też w końcu na pewno kogoś sobie znajdę, a swój protekcjonalny ton nieudolnie maskowała fałszywą życzliwością.

Przez cały czas tkwiła w moich myślach choroba ojca, czając się jak stalker w mroku. Poczułam ulgę, gdy tydzień po moim powrocie do domu tata pojechał na pierwsze spotkanie z onkologiem w szpitalu dla weteranów. Zadzwoił do mnie tego samego dnia wieczorem.

– Co powiedział lekarz? – zapytałam.

– Właściwie to był zespół opieki onkologicznej – odparł tata. – I, mówiąc

ogólnie, byli nastawieni pozytywnie. Nie licząc raka, jestem zdrowy, więc operacja wchodzi w grę. Zaproponowali mi częściową kolektomię, a po niej chemioterapię.

– Kiedy będą cię operować?

Tata zawahał się.

– W przyszłym roku. Może w lutym.

– Może w lutym? – powtórzyłam zaskoczona. – Każą ci czekać?

– Nic nie da się zrobić. W kolejce czeka wielu pacjentów.

– To zbyt długo – stwierdziłam. – Rak może dać przerzuty. Musi być jakiś sposób, abyś był operowany wcześniej. Trzeba z kimś porozmawiać.

– Nie ma potrzeby tak się denerwować. Gdyby to było coś pilnego, na pewno wyznaczyliby mi wcześniejszy termin. Przecież nie narażaliby życia pacjenta.

– Tego nie wiesz. Biurokracja zabija ludzi. To nie w porządku. Zadzwoń do kilku osób. Porozmawiam z twoim onkologiem.

– Już z nim rozmawiałem. Powiedział, że oferują mi tyle, ile mogą.

– Ale czy nie powinni więcej?

– Powiedział, że dołoży wszelkich starań. Nie może złamać przepisów, ale czasami może je nagiąć. Więc przestań się o mnie martwić. Wszystko będzie dobrze. Przed tobą wyjazd na konferencję. Musisz się skupić.

– Jak mam się skupić, kiedy się o ciebie martwię?

– Skup się na tym, aby ich na tej konferencji powalić na kolana. Tego pragnę.

Westchnęłam.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też, tato. – Odkładając telefon, żałowałam, że powiedziałam

tacie o tej imprezie dla pisarzy.

## Rozdział 10

*Czasami lęk oddziela od ekscytacji tylko cienka linia.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Rano 10 grudnia zostawiłam swój samochód na długoterminowym parkingu przy lotnisku w Denver i pojechałam autobusem wahadłowym do terminalu. Nie było bezpośredniego lotu z Denver do Burlington w Vermoncie, miałam więc trzygodzinną przerwę w Detroit, podczas której zjadłam lunch i pochodziłam po lotnisku. W kiosku z prasą przypatrywałam się ludziom przeglądającym książki. Jak by to było? – zastanowiłam się. Mieć swoją książkę na jednej z tych półek?

Było już ciemno, gdy taksówka wiozła mnie wysadzaną drzewami aleją do hotelu Pod Jemiołą. Na każdym drzewie jarzyły się białe bożonarodzeniowe lampki.

– Nastrojowo tu – zauważyłam.

– Owszem – zgodził się szofer. – Rzeczywiście przyjemne miejsce. Takie bardziej luksusowe.

Hotel przyozdobiono świątecznie: na całej ścianie frontowej wisiały migoczące girlandy, wyraźnie widoczne w granatowym mroku śnieżnego wieczoru.

Gdy wysiadałam z taksówki, podszedł do mnie młody mężczyzna w długim płaszczu z niebieskiej wełny z czarną lamówką i w czarnym filcowym kapeluszu.



- Życzy pani sobie pomocy przy wnoszeniu bagażu?
- Nie, dziękuję. Mam tylko jedną walizkę. Nie jest ciężka.
- Okej, w takim razie przytrzymam drzwi.

Minąwszy boya, weszłam do środka. Elegancki hol powitał mnie ciepłem i świąteczną atmosferą. Słychać było ciche dźwięki granej na klawesynie *Greensleeves*. Wszędzie stały czerwone migoczące świece, a powietrze wypełniała przyjemna kombinacja zapachów cynamonu, goździków i sosny.

Obok recepcji stała duża choinka obwieszona czerwonymi bombkami, srebrnymi soplami i maleńkimi błyskającymi światełkami. Ściany holu były wyłożone ciemną boazerią, a z sufitu zwisały lampy powozowe z ciemnego metalu.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się ogromny kominek, w którym żywo palił się ogień. Gładką sosnową półkę nad paleniskiem zdobiła girlanda przewiązana wstążeczkami z czerwonego aksamitu.

Przed kominkiem stały dwie skórzane kanapy i dwa fotele obciągnięte czerwonym pluszem, ustawione pod ogromnym żyrandolem z rogów jelenia. Kanapy były zajęte przez starszą parę oraz dwie młodsze kobiety i wszyscy trzymali kieliszki z winem.

Na połączonych sztalugach nieopodal drzwi wisiał plakat następującej treści:

#### REJESTRACJA UCZESTNIKÓW KONFERENCJI DLA PISARZY



Strzałka, która wyglądała jak stalówka wiecznego pióra, wskazywała stół na prawo od recepcji. Siedziała przy nim kobieta mniej więcej czterdziestoletnia w okularach o grubych oprawkach i o krótkich kasztanowych włosach. Ponieważ przed biurkiem recepcji hotelu stała

niewielka kolejka, podeszłam do rejestracji. Na mój widok kobieta się uśmiechnęła.

– Dzień dobry – przywitała mnie serdecznie. – Przyjechała pani na konferencję?

– Tak – potwierdziłam, stawiając walizkę na podłodze. – Jestem Kim Rossi.

– Rossi, zaraz sprawdzę. – Wzięła do ręki liczącą dwie strony listę i zaczęła przesuwać palcem wskazującym w dół. Zatrzymała się w połowie drugiej strony. – Rossi – powiedziała. – Kimberly.

– To ja.

– Przyjechała pani aż z Kolorado. Jaki miała pani lot?

– Dobry.

– Świetnie, świetnie. Teraz powitamy panią oficjalnie. – Podała mi szarą kopertę, na której widniało moje nazwisko ręcznie wypisane fioletowym markerem. – To pani pakiet konferencyjny. Są w nim dokumenty potwierdzające pani tożsamość, lista paneli i wykładów oraz dodatkowe informacje. – Następnie z podłogi za swoim krzesłem podniosła torbę z białego płótna. – A to jest powitalny podarunek od Towarzystwa Turystycznego stanu Vermont. Jest tam kilka kuponów oraz lista propozycji spędzenia wolnego czasu w okolicy. Jest też syrop klonowy miejscowej produkcji oraz cukierki klonowe. Muszę panią ostrzec, że batoniki klonowe z orzechami są uzależniające.

– Dziękuję – powiedziałam, zabierając swoje rzeczy. – Będę uważać na słodyczne.

– Proszę nie zapomnieć: przyjęcie inauguracyjne naszą konferencję rozpoczyna się dzisiaj o dziewiętnastej w wielkiej sali balowej. Na pewno nie chciałaby pani go przeoczyć.

– Ile osób zgłosiło się na konferencję?

– Ponad sto.

Głos za moimi plecami zapytał:

– A jaki jest stosunek liczbowy mężczyzn do kobiet?

Obróciłam się. Za mną stała piękna kobieta mniej więcej mojego wzrostu i rok lub dwa ode mnie młodsza. Miała długie rude włosy spływające poniżej ramion, piegami na policzkach i zielone, niezwykle błyszczące oczy.

– Niestety, los jest łaskawszy dla panów – padła odpowiedź. – Zapisano się ich tylko siedmiu.

– Niech los zawsze ci sprzyja – powiedziałam do rudowłosej kobiety.

Przyjrzała mi się.

– To z... Chwileczkę, znam to.

– *Igrzyska śmierci* – podpowiedziałam.

Kobieta klasnęła w dłonie.

– Tak! Jesteś Suzanne Collins?

Spojrzałam na nią w osłupieniu.

– Niestety nie.

– Ja również nie. – Wyciągnęła do mnie dłoń. – Mam na imię Samantha.

Uścisnęłam jej rękę, nadal nie wiedząc, co myśleć o nowej znajomej.

– Kim Rossi – przedstawiłam się.

– Jakiego pochodzenia jest twoje nazwisko? – zapytała Samantha.

– Włoskiego.

– Uwielbiam język włoski.

– Pani Samantha – odezwała się kobieta przy stoliku. – Chciałabym znaleźć pani ogłoszenie. Mogę prosić o nazwisko?

– McDonald.

– Samantha McDonald. – Przejrzała kartki. – Proszę – powiedziała,

wręczając Samancie jej pakiet i płócienną torbę, recytując przy tym ten sam tekst, który wygłosiła do mnie. Na koniec dodała: – Przyjęcie otwierające konferencję zaczyna się dziś wieczorem w wielkiej sali balowej. Udanej konferencji.

Jeszcze raz jej podziękowałam i podeszłam do recepcji. Kolejka już się skróciła i przede mną stało już tylko dwoje ludzi. Wkrótce Samantha stanęła za mną.

– To twoja pierwsza konferencja dla pisarzy? – zapytała.

– Nie. Ale tutaj jestem po raz pierwszy.

– Dla mnie pierwsza. Trochę się denerwuję.

– Niepotrzebnie – powiedziałam. – Fajnie jest znaleźć się w gronie innych pisarzy. Są w takiej samej sytuacji jak my.

– Jesteś z Vermontu?

– Nie. Z Kolorado.

– O, to jesteśmy sąsiadkami. Jestem z Montany.

– W Montanie jest wielu pisarzy?

– Całe tabuny. To Montana. Co innego można tam robić?

– Następny, proszę! – zawołał recepcjonista.

– Przepraszam – powiedziałam do Samantha.

Dostałam klucz do swojego pokoju i zamierzałam odejść, ale zatrzymała mnie moja nowa znajoma:

– Idziesz na to wieczorne przyjęcie?

– Mam taki zamiar.

– Może pójdziemy razem?

– Jasne – odparłam. – Spotkajmy się tutaj o dziewiętnastej.

– Będę razem z biciem dzwonów – zażartowała.

Sama nie wiem, dlaczego tak szybko zgodziłam się na jej propozycję.

Wydawała się trochę szalona. Ale mogła się również okazać fajną towarzyszką. Poza tym nie znosiłam sama chodzić na imprezy.

\*

Mój pokój był przyjemny – dobrze zaprojektowany, nowoczesny, choć ze staroświeckimi elementami. Pośrodku stało wysokie, ogromne łóżko ze staromodnym dębowym zagłówkiem obciągniętym ciemnobrązową pikowaną skórą. Na łóżku leżała gruba oliwkowa narzuta, dopasowane do niej kolorystycznie poduszki w ozdobnych poszewkach oraz kilka mniejszych poduszczyków.

Na ścianie naprzeciwko łóżka wisiało duże prostokątne lustro w misternej drewnianej ramie. Dzięki niemu pokój wydawał się większy.

Usiadłam w nogach łóżka i otworzyłam swój pakiet konferencyjny. Obok kilku luźnych formularzy i dokumentów rejestracyjnych były tam spięte zszywaczem kartki z planem zajęć. Sięgnęłam po leżący przy telefonie długopis i zaczęłam czytać listę, odhaczając lub zakreślając te wydarzenia, które mnie interesowały.

#### LISTA SPOTKAŃ I ZAJĘĆ

##### WIECZÓR ZAPOZNAWCZY

Poniedziałek: 19.00, Wielka Sala Balowa. Wymagane dokumenty potwierdzające tożsamość.

#### Odhaczone.

##### OTWARCIE

Wtorek: 9.00–9.45. Prowadząca: Jill Tanner, Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego Konferencji dla Pisarzy w hotelu Pod Jemiołą oraz Kathryn Nebeker, tegoroczna wiceprzewodnicząca programowa.

#### Odhaczone.

##### CODZIENNE ZAJĘCIA GRUPOWE

Wtorek: 10.00–10.45

Środa–sobota: 9.00–9.45

Ważna uwaga: Codziennie spotka się Pani ze swoją grupą. Została Pani przydzielona do dziesięcioosobowej grupy pisarzy. W pakiecie znajduje się żółta kartka z literą określającą przydzieloną Pani grupę.

Odhaczone. Z koperty wyjęłam kartkę o wymiarach 22 × 14 centymetrów. Wydrukowano na niej literę C oraz informację, że grupa będzie się spotykać w Sali Klonowej. Wróciłam do listy.

TWITTER I FACEBOOK

Budowanie społeczności czytelników w mediach społecznościowych.

Może. Postawiłam haczyk.

JAK NIE ZDOBYĆ AGENTA

Znana nowojorska agentka literacka Laurie Liss omówi pięć rzeczy, których nie należy robić, gdy chce się zdobyć agenta.

Zdecydowanie. Zakreśliłam.

UBRAĆ CZY ROZEBRAĆ?

Ubieranie (oraz rozbieranie) postaci a sukces książki.

Może nie. Może tak. Postawiłam haczyk.

ZMIENIAJĄCE SIĘ OBLICZE ROMANSU

Od *Romea i Julii* poprzez *Love Story* i *Co się wydarzyło w Madison County* po *Pięćdziesiąt twarzy Greya*: dokąd zmierza świat romansu.

Zapowiada się ciekawie. Zakreśliłam.

KAŻDY ROMANS PROWADZI DO ROMY

Tworzenie idealnego włoskiego tła dla włoskiej historii miłosnej.

Nie. Jestem Włoszką, ale akcja mojej książki nie rozgrywa się we Włoszech.

PIĘCIOGWIAZDKOWY STYL ŻYCIA AUTORKI BESTSELLERÓW

(Tylko w środę) Megabestsellerowa autorka Catherine McCullin opowie o swojej karierze najślawniejszej autorki romansów.

Oczywiście. Zakreśliłam.

SZYBKĄ RANDKĄ Z AGENTEM

Piętnaście minut na przekonanie do swej książki prawdziwego agenta literackiego. (Wymagana

dodatkowa opłata). Rezerwacji należy dokonać najpóźniej do 13.00 we wtorek. Sesje odbędą się tylko w środę, czwartek i piątek. Formularz rezerwacji znajduje się w pakiecie. Kto pierwszy, ten lepszy.

Tata opłacił mi dwie rozmowy. Zakreśliłam.

OD WALMARTU DO HOLLYWOOD

Bestsellerowa autorka Deborah Mackey opowie o swojej błyskotliwej karierze od ekspedientki w sklepie do bestsellerowej pisarki o międzynarodowej sławie (przez Skype'a).

Może. Nie podoba mi się wykorzystywanie Skype'a. Brzmi, jakby autorka dzwoniła do swoich potencjalnych czytelników.

BICZE I ŁAŃCUCHY

(Spokojnie, nic z „tych rzeczy”). Jak znosić stres i presję ze strony wydawcy wyzyskiwacza.

Chyba nie.

NUDNA INTERPUNKCJA!

Jak używać (i nie używać) znaków interpunkcyjnych, aby ożywić swoje teksty.

Rzeczywiście nuda.

WAMPY I WAMPIRY

Wskazówki przydatne przy pisaniu pikantnych romansów z udziałem zjawisk paranormalnych.

Wampiry mnie nie interesują. Do niedawna jeden z nich był moim mężem.

BOSO I W POWOZIKU

Jak napisać historię miłosną dziejącą się w środowisku amiszów.

Tak samo jak z wampirami. Ciekawe, czy ktoś napisał romans z udziałem wampirów i amiszów. Jeśli nie, to tylko kwestia czasu.

SPEŁNIONE MARZENIE

Pisarz David Bready wyjawia sekret, jak wyważyć drzwi do świata wydawnictw.

Brzmi ciekawie. Chociaż nigdy nie słyszałam o Breadym. Ale wydaje książki...

GOŁYM OKIEM

Mimika, która mówi więcej niż słowa.

To mi się może przydać.

E-LEKTRYCZNIE

Jak rozpalić Internet swoim e-bookiem.

Tak.

JAK ZAROBIC SZEŚCIOCYFROWE HONORARIUM PRZY CZTEROCYFROWYCH WYNIKACH SPRZEDAŻY

Jak prowadzić luksusowe życie, nie będąc autorem z czołówki list bestsellerów.

Rzucić pracę w salonie samochodowym dla pisania książek? Okej.

JAK PRZYWOŁAĆ WENĘ

Jak nie przestać pisać, gdy słowa przestają napływać.

Zdecydowanie coś dla mnie.

WYKŁAD KOŃCZĄCY KONFERENCJĘ:

DLACZEGO PRZESTAŁEM PISAĆ

E.T. Cowell

Tę pozycję zakreśliłam wielokrotnie. Dopiero teraz zobaczyłam, na jaki temat zamierza mówić Cowell. Właśnie tego chciałam się dowiedzieć. Możliwe, że na to wyznanie czekał cały świat.

Odłożyłam materiały konferencyjne na stolik przy łóżku i postawiłam walizkę na stojaku na bagaż. Rozsunęłam zamek i wyjęłam wydruk swojej powieści. Popatrzyłam na niego, po czym ponownie włożyłam do walizki. Inauguracja konferencji miała się zacząć za nieco ponad godzinę. Nastawiłam więc budzik, by zadzwonił za kwadrans, i położyłam się na łóżku. Gdy zamknęłam oczy, rozległ się dzwonek mojej komórki. Ojciec.

- Cześć, tato. Jak się dzisiaj czujesz?
- Dobrze. Więc jesteś już na miejscu? W hotelu?
- Tak. W swoim pokoju.
- Jak tam jest?
- Pięknie. Cały hotel jest piękny.



– Cały Vermont jest piękny – powiedział tata. – Zawsze uważałem go za jeden z najpiękniejszych stanów. Zwłaszcza gdy liście zmieniają kolory.

– Nie wiedziałam, że tu byłeś.

– Spędziliśmy tam z mamą miesiąc miodowy. Wybraliśmy się na jedną z tych jesiennych wycieczek. Niezapomniane przeżycie.

Nie spodobało mi się, że mama tu była. To jak odkrycie węża w raju.

– Teraz wszystko pokrywa śnieg – skwitowałam.

– Na pewno też jest pięknie. Wieczorem coś się odbywa czy masz czas, aby wypocząć?

– Za około godzinę zaczyna się impreza inauguracyjna.

– W takim razie kończę, żebyś miała czas się przygotować. Chciałem się tylko upewnić, że dojechałaś bezpiecznie. Baw się dobrze. Aha, mogłabyś przywieźć mi prawdziwego syropu klonowego z Vermontu? Nie wiem, czy to właściwa pora, ale są tam miejsca, w których można zobaczyć, jak w wyniku gotowania soku powstaje syrop.

– Przywiozę ci. Zdaje się, że w mojej torbie powitalnej jest jeden słoik.

– Dzięki, kochanie. Baw się dobrze. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Dbaj o siebie.

Rzuciłam telefon na łóżko, obróciłam się i spojrzałam na siebie w lustrze. Po każdej podróży samolotem czułam się spuchnięta.

– Wyglądasz jak ofiara wypadku – powiedziałam na głos.

Rozebrałam się i weszłam pod prysznic.

Odkręciłam wodę i łazienkę wypełnił obłok pary. Usiadłam w porcelanowej wannie pod natryskiem i zamknęłam oczy. Gdy tylko pomyślałam o ojcu, poczułam atak paniki.

– On wyzdrowieje – powiedziałam do siebie. – Wszystko będzie dobrze. Nasze najlepsze lata wciąż są przed nami.

## Rozdział 11

*Czy to dobrze, czy źle, że nie wiemy, ile dzieli nas od spełnienia naszych marzeń?*

Z dziennika Kimberly Rossi

Przyjęcie inaugurujące konferencję zorganizowano w dużej sali balowej. Jak wyczytałam w programie, miały się w niej odbyć najpopularniejsze zajęcia, między innymi poranna sesja otwierająca konferencję oraz kończąca całą imprezę wystąpienie E.T. Cowella.

W holu zjawiłam się kilka minut po dziewiętnastej. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Samantha, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Odczekałam chwilę, po czym weszłam do sali, aby sprawdzić, czy mojej znajomej już tam nie ma. Światła w sali balowej zostały przyciemnione i było słychać muzykę dochodzącą z głośników połączonych z iPodem. Tłumów nie dostrzegłam. W sali stało pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób, w większości skupionych w małych przyjacielskich grupach.

Pani przyjmująca nasze zgłoszenia trafnie oceniła proporcję między liczbą kobiet a mężczyzn, ponieważ większość uczestników rzeczywiście stanowiły panie. Rozejrzałam się, ale nigdzie nie wypatrzyłam Samantha.

Część środkową zajmowały stoły z przystawkami. Nic nie jadłam od lunchu w Detroit, więc wzięłam talerz i zaczęłam nakładać jedzenie: quiche, jajka na ostro, grzyby faszerowane kiełbaskami, orzechy wodne zawijane w plastry boczku oraz daktyle nadziewane serem pleśniowym.

Sąsiedni, okrągły stół zastawiono napojami gazowanymi, obok których

postawiono dużą kryształową wazę z ajerkoniakiem. Nalewano tam też wino.

Gdy odebrałam kieliszek z czerwonym winem, podszedł do mnie łysejący mężczyzna o wąskiej rumianej twarzy. Miał na sobie džinsy, koszulę z bawełny oxford oraz tweedową marynarkę w jodełkę ze skórzanymi naszyciami na łokciach, podobną do tych, które nosił Marcus, gdy uczył. Nieznajomy też trzymał w ręku kieliszek wina. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jego twarz jest czerwona, bo wcześniej jeździł na nartach, czy może dlatego, że zdążył już sporo wypić.

Wyciągając do mnie rękę, ukradkiem spojrział na mój palec serdeczny, na którym nie było obrączki. Wbił we mnie spojrzenie swoich wąsko rozstawionych oczu.

– Cześć, jestem John Grisham.

Odstawiłam wino i uścisnęłam jego dłoń.

– Nie, nie jesteś – powiedziałam.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Zgadza się, ale takie nazwisko zwraca uwagę, prawda? Jestem David.

Ścisnął moją dłoń nieco zbyt mocno i przytrzymał ją dłużej, niż wypadało.

– Kimberly.

– Miło cię poznać, Kimberly. Na pewno często to słyszysz, ale jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

Nie tak często, jakbym chciała, pomyślałam.

– Dziękuję.

– Przyjechałaś tu na konferencję dla pisarzy? – zapytał. Pytanie było niemądre, bo przyjęcie odbywało się tylko dla uczestników konferencji.

– Tak. A ty?

– Jestem jednym z prelegentów – odparł. Jego głos stał się nieco

melodyjny. – Moje książki są wydawane.

Na konferencjach dla pisarzy panuje system kastowy – wyraźny podział na elitę i niedotykalnych, na publikowanych i niepublikowanych.

– Gratulacje – powiedziałam. – To musi być miłe.

– Owszem. A ty czym się zajmujesz?

– Na co dzień pracuję w dziale sprzedaży w salonie samochodowym.

– Spełnienie marzeń – skwitował sarkastycznie.

– Ale chciałabym zarabiać na życie pisaniem.

– Jak cała reszta ludzkości.

– Pocieszające – stwierdziłam. – O czym jest twoja prelekcja?

– Dokładnie o tym, o czym teraz rozmawiamy: jak być wydawanym. Mój wykład ma tytuł *Spełnione marzenie*.

– A tak, widziałam w programie. Jesteś David... Bready. – Jego nazwisko wymówiłam jak Breedy.

– Wymawia się tak samo jak Brady – powiedział szybko. – Jak Tom.

– Na pewno będziesz miał wielu słuchaczy.

– Na moich prelekcjach zawsze są tłumy – powiedział. – Przyciągam je. – Wziął ze stołu faszerywany grzyb i włożył go do ust.

– Jaki masz dorobek? – zapytałam.

Skończył przeżuwać i odpowiedział:

– Byłem współautorem jednej z książek z serii *Balsam dla duszy*<sup>5</sup>, mianowicie *Balsam dla duszy autora romansów*.

– Nie wiedziałam, że taka się ukazała.

– O tak. Miała jedne z najwyższych wyników sprzedaży.

– Ile książek dotąd wydano w tej serii? – zapytałam. – To znaczy, czy nie doszło już do absurdu? Ile może być rodzajów duszy?

Spojrzał na mnie zaskoczony i najwyraźniej urażony moim pytaniem.

Szybko zadałam kolejne pytanie:

– Co jeszcze napisałeś?

– Najlepiej jestem znany dzięki serii *Pogromca śmierci*.

Patrzyłam na niego z zakłopotaniem.

– *Pogromca śmierci*? – powtórzyłam niepewnie.

– *Jaskinia niewolnic, Aleja rzezi, Planeta krwi...*

– Przepraszam, ale raczej rzadko czytam coś z gatunku... krwistej makabry.

– Dostałem propozycję sprzedaży praw do sfilmowania *Planety krwi* – pochwalił się David. – Mój agent twierdzi, że Hollywood oszalał na jej punkcie.

– Gratulacje.

– Dzięki, ale wiesz, jak to jest. Wydawnictwo nigdy nie jest zadowolone. Jak tylko skończysz jedną książkę, już chcą wiedzieć, kiedy skończysz następną. Bestię trzeba cały czas karmić.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to jest – przyznałam. – Ale chciałabym.

– I właśnie dlatego powinnaś przyjść na moją prelekcję. – Skrzywił się. – Ale mówiąc szczerze, tak między nami, życie publikowanego pisarza ma swoje minusy.

– Na przykład?

– Sława. Napalone fanki. Kobiety, które jadą za mną do hotelu po podpisywaniu książek.

– To rzeczywiście straszne – powiedziałam, kiwając głową. David albo nie wychwytał mojej drwiny, albo ją zignorował.

– Cóż, uwierz mi, one nie zawsze są takie urocze jak ty. Słuchaj, może przyjdiesz do mojego pokoju, to pokażę ci, nad czym pracuję. Pozwolę ci nawet przeczytać kilka stron, których dotąd nikt nie widział.

Przygryzłam wargę.

– Dziękuję, ale wolę tu zostać i poznać przynajmniej część uczestników.

Pokiwał głową, jakby przyznawał mi rację.

– Rozumiem. Chcesz oszacować konkurencję.

– Akurat o tym nie pomyślałam.

– A powinnaś – stwierdził. – W żadnej innej branży nie ma takiej rywalizacji jak w świecie wydawniczym. Wejście do tego biznesu to jak włamanie się do sejfów. Jeśli nie znasz kombinacji albo prezesa banku, nigdy ci się nie uda. Wszystko zależy od tego, kogo znasz.

– Chcesz powiedzieć, że muszę znać kogoś takiego jak ty.

Przechylił głowę na bok.

– Otóż to. Znam ludzi w tej branży. Agentów. Redaktorów. Ludzi, którzy decydują, kto zostanie wydany, a kto nie. – Pochylił się do przodu. – No więc. Chcesz pójść do mojego pokoju?

– Kuszące, ale nadal nie. Dziękuję.

Zacisnął zęby.

– Jak sobie chcesz. Powodzenia. – Ostatnie słowo zabrzmiało bardziej jak pogrożka niż życzenie. Odszedł obrażony. Kilka minut później usłyszałam, jak zagaduje następną kobietę: – Cześć, jestem John Grisham...

Z winem i talerzem poszłam do wolnego stolika przy ścianie i usiadłam. Patrząc na ludzi wokół, miałam wrażenie, że większość z nich zna się nawzajem. Poczułam się jak trędowata. Ucieszyłam się, gdy kilka minut później zobaczyłam wchodzącą do sali Samanthę. Gdy pomachałam do niej, jej twarz się rozpromieniła. Podeszła do mojego stolika.

– Och, tak się cieszę, że tu jesteś. Przepraszam za spóźnienie. Nie mogłam się oderwać od telefonu.

– W porządku. Sama dopiero co przyszłam.

– Jak impreza?

– Dobrze. – Ruchem głowy wskazałam Davida. – Trzymaj się z dala od tego typka.

– Słusznie – przytaknęła. – Ma na imię David, ale wszystkim mówi, że nazywa się John Grisham. Najbardziej żaloszny podryw, jaki w życiu słyszałam.

– Więc go już poznałaś.

– W holu, zaraz po tym, jak się zameldowałam. Jest jednym z prelegentów. I jest wydawany.

– Tak, opowiadał mi.

– Zaprosił mnie do swojego pokoju.

– Mnie też – przyznałam. – Co mu odpowiedziałaś?

– Że jest trochę za stary, aby startować do kogoś w moim wieku.

Roześmiałam się.

– Na pewno zraniłaś jego ego.

– Zmiażdżyłam – stwierdziła z uśmiechem.

W tym momencie do naszego stolika podeszły dwie kobiety z talerzami napełnionymi jedzeniem. Jedna z nich była wysoka i miała rude włosy, a niższa była brunetką i miała mocny makijaż.

– Przepraszam – zagadnęła rudowłosa. – Czy te miejsca są wolne?

– Tak. Proszę bardzo.

Kobiety usiadły naprzeciwko nas.

– Jestem LuAnne – przedstawiła się rudowłosa.

– A ja Heather – powiedziała brunetka.

– Jestem Kim, a to Samantha.

– Cześć – mruknęła Samantha, niezadowolona, że ktoś się do nas przysiadł.

LuAnne uśmiechnęła się do mnie.

– Jesteś tu po raz pierwszy? – zapytała.

– Tak. A ty?

– Po raz szósty.

– A ja piąty – poinformowała Heather. – Można by powiedzieć, że jesteśmy tu bywalczyniami. Zauważyłyśmy, że rozmawiałas z Davidem.

– Właściwie to on rozmawiał ze mną.

– Przystawiał się do niej – wtrąciła Samantha.

– Zaprosił cię do swojego pokoju? – zapytała LuAnne.

– Tak.

– Czyli jak zwykle – stwierdziła. – Zawsze startuje do nowych i ładnych.

– Stałe uczestniczki już go znają – wyjaśniła Heather.

– David też jest stałym uczestnikiem? – zapytałam.

– Prawie każdej konferencji – odparła Heather. – Jest jednym z niewielu publikowanych autorów, którzy dość regularnie przyjeżdżają na wszelkie seminaria. Chyba organizatorom jest coraz trudniej ściągnąć publikowanych pisarzy. W tym roku udało im się zaprosić tylko czterech.

– Ma wystąpić Cowell – zauważyłam.

– Jeśli się pojawi – skwitowała LuAnne.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ma opinię pisarza, który umawia się na imprezy, a potem się na nich nie pojawia.

– Nigdy się nie pojawia – powiedziała Heather. – Jeśli przyjedzie, będzie to pierwszy raz.

– Przyjechałam tu ze względu na niego – wyjaśniłam. – Głównie.

– No cóż, może zrobi nam niespodziankę – powiedziała LuAnne



z powątpiewaniem. – A jakiego rodzaju romanse piszesz?

– Jakiego rodzaju? – zapytałam zdezorientowana.

– No właśnie. Jaki gatunek uprawiasz? Zjawiska paranormalne? Erotyka?

Naśladownictwo Nicholasa Sparksa?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Zwykły – odparłam, nie bardzo wiedząc, co to znaczy.

– Od dawna piszesz? – zaciekała się Heather.

– Od około sześciu lat.

– To tak jak ja – stwierdziła.

– Ile książek napisałyście? – zapytała Samantha.

– Łącznie z tą, nad którą teraz pracuję, czternaście – odparła LuAnne.

– Czternaście?

– Ja napisałam dwadzieścia dwie – powiedziała Heather. – Chociaż, ściśle biorąc, dwie z nich to nowele.

– Ale ani jednej wydanej – dodała LuAnne.

Heather spiorunowała ją wzrokiem.

– Nieprawda. Sprzedałam prawie dwa tysiące egzemplarzy.

– W self-publishingu – skwitowała LuAnne lekceważąco. – E-booki po dziewięćdziesiąt dziewięć centów za sztukę. Świat książek radykalnie się zmienił w ostatniej dekadzie. Obecnie nie istnieje już takie zjawisko jak niewydawani autorzy.

– To prawda – przyznała Samantha. – Na Amazonie jest około miliarda książek.

– A ja jeszcze nic nie wydałam – oświadczyłam. Self-publishing nawet nie przyszedł mi do głowy. Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Kilka lat temu, na odbywającej się na Maui konferencji dla pisarzy, Sue Grafton powiedziała: „Powinniście napisać przynajmniej pięć książek, zanim

wyślecie jedną do agenta”.

– To ja odpadam – stwierdziłam.

– Ile książek napisałaś? – zapytała LuAnne.

Poczułam zakłopotanie.

– Jedną.

Na twarzach obu kobiet odmalowało się zdziwienie.

– Tylko jedną? – zapytała Heather.

– Tak – potwierdziłam. – W ostatnim czasie rozpraszało mnie zbyt dużo spraw.

– Prawda jest taka, że pisanie książki to ta łatwiejsza część – powiedziała LuAnne. – Prawdziwym wyzwaniem jest nakłonienie kogoś, aby ją przeczytał. Istnieje ogromna konkurencja i z roku na rok robi się coraz gorzej. Bo każdy myśli, że nosi w sobie książkę.

– I dokładnie tam powinna ta książka pozostać – powiedziała Heather. – W myślach.

– Wchodzisz do księgarni i myślisz: „Pewnie każdy z tych tytułów sprzedaje się w setkach egzemplarzy”, co? – zapytała LuAnne. – Wiesz, jaka jest średnia sprzedaż jednego tytułu w księgarni?

Pokręciłam głową.

– Nie.

– Jeden i osiem dziesiątych egzemplarza. Nawet nie dwa.

– Jak się sprzedaje osiemdziesiąt procent książki? – zapytała Samantha.

– To pojęcie statystyczne – wyjaśniła LuAnne.

– Człowiek człowiekowi psem – powiedziała Heather.

– Chyba wilkiem – sprostowała LuAnne.

– Właśnie to miałam na myśli.

LuAnne zwróciła się do mnie:

– Wysłałaś już gdzieś swoją książkę?

– Do kilku wydawnictw, ale dostałam standardowe listy odmowne.

– Miałaś szczęście, że w ogóle coś dostałaś – stwierdziła LuAnne. –

Wysyłanie rękopisów bezpośrednio do wydawnictw to strata czasu. Nie są w stanie przeczytać nawet wszystkich książek, które dostają od agentów. Na teksty przysłane z innego źródła w ogóle nie mają czasu. To wstępna selekcja.

– Próbowалаś wysłać do agentów? – zapytała Heather.

– Nie. Jestem tu zapisana na dwie krótkie rozmowy z agentem. Liczę, że coś z tego wyjdzie.

– Powodzenia – powiedziała. – To brutalny świat.

Ten tutaj też jest brutalny, pomyślałam.

– Na takie imprezy jak ta przyjeżdżają dwa rodzaje agentów – ciągnęła Heather. – Jeden to ci, którzy przyjeżdżają, bo koszt pokrywa organizator i w gruncie rzeczy wcale nie wierzą, że trafią na coś ciekawego. To niszczyciele marzeń. Uwielbiają rozszarpywać ci serce na miliony kawałków. Ten drugi rodzaj to agenci pasywno-agresywni, którzy wiedzą, że nikt nie chce usłyszeć niczego złego o swoim pisarstwie, więc każdemu prawią słodkie słówka, ale nigdy nie oddzwaniają. Poznałam przedstawicieli obu rodzajów i nie wiem, który jest gorszy.

– Zależy, czy wolisz, jak ci ktoś zdiera plaster szybko czy wolno – dodała LuAnne.

– Ale jest jeszcze trzeci rodzaj, tak? – zapytałam.

– Trzeci? – zdziwiła się Heather.

– Agenci, którzy rzeczywiście poszukują książki do wydania.

Obie milczały chwilę, po czym LuAnne powiedziała:

– Może jest.

Heather pokiwała głową.

– Może jest.

Poczułam się jak naiwne dziecko, któremu właśnie powiedziano, że Święty Mikołaj nie istnieje.

\*

Rozmowa z dwiema nowymi znajomymi niemal całkowicie zniweczyła resztki moich nadziei na wydanie książki. Wiedziałam, że jest duża konkurencja – wie o tym każdy, kto kiedykolwiek był w księgarni – ale niezwykle przygnębiająca była myśl, że na każdego wydawanego pisarza przypadało przynajmniej tysiąc takich, którzy chcieliby być na jego miejscu. Jak mogłam być taka naiwna? Jak mogłam tak zmarnować pieniądze taty?

Dopiłam wino, przeprosiłam towarzystwo i wyszłam do holu. Samantha podążyła za mną.

– Nie spodobały mi się te baby – mruknęła.

– Mnie się nie spodobało to, co powiedziały.

– A w ogóle to co one tam wiedzą? Nie są żadnymi sławnymi pisarkami.

– Masz rację.

Samantha rozejrzała się po pustym holu.

– Jest jeszcze wczesnie. Chcesz pogadać?

– Jasne. – Kanapy w holu były wolne, więc usiadłyśmy przed kominkiem. I wtedy zauważyłam na palcu Samantha ogromny pierścionek z brylantem. – Jesteś mężatką? – zapytałam.

– Nie – odparła trochę zakłopotana. – Chronicznie zaręczona.

– Co to znaczy?

– Że jestem zaręczona od sześciu lat.

Pokiwałam głową, myśląc, że zrozumiałam.

- Trafiałaś na mężczyznę, który nie chce się związać na trwałe?
- Nie chodzi o niego. Gdyby to zależało od niego, obchodzilibyśmy piątą rocznicę ślubu.
- A co cię powstrzymuje?
- MTL.
- Co to takiego?
- Może Trafi się Lepszy. Czekam, bo może trafi się ktoś lepszy. Wszyscy w końcu chcemy trwałych związków, prawda? Ale czy to nie byłoby straszne związać się z kimś, a potem spotkać tego jedyne?
- Jak w piosence Englanda Dana i Johna Forda Coleya<sup>6</sup>.
- No właśnie. To się zdarza tak często, że nawet ten Dan Ford Coleslaw napisał o tym piosenkę. Takie historie zdarzają się cały czas. Zaczynasz nową pracę i dostajesz inną, znacznie lepszą propozycję. Gdy tylko stajesz w jednej kolejce w supermarkecie, ta druga zaczyna się przesuwac znacznie szybciej. Okrutna ironia losu. Więc czekam.
- To straszne – powiedziałam.
- Wiem.
- Mam na myśli twojego narzeczonego.
- Jestem dla niego miła. Uwierz mi, on nie narzeka. Jeśli chodzi o wygląd, to ja mam dziewięć na dziesięć, w złe dni osiem i pół, a on ledwo sześć i pół, więc zdaje sobie sprawę, że ma szczęście. – Pokiwała głową. – Jestem dla niego dobra.
- Jesteś rewelacyjna – powiedziałam.
- Dziękuję. – Usiadła wygodniej. – A ty? Jesteś mężatką?
- Byłam.
- Rozwiedziona?
- Tak.

– Od dawna?

– Jesteśmy w separacji od ośmiu miesięcy, ale rozwód został orzeczony dopiero niedawno.

– Dlaczego to tak długo trwało?

– Mój były przeciągał.

– Nie chciał rozwodu?

– Chciał. Nie chciał tylko dogadać się w sprawach finansowych.

– Co za palant. Co się właściwie stało?

Westchnęłam.

– Był profesorem i zabawiał się z kilkoma swoimi studentkami. Natychmiast rzucili się na to dziennikarze. Nie ma to jak przeżyć publiczne upokorzenie i deptanie złamanego serca we wszystkich mediach.

– Naprawdę palant – powiedziała Samantha. – Ale jest też i jasna strona tego wszystkiego.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Jak może być w tym jakaś jasna strona?

– Materiał pisarski. Do wykorzystania w twoich książkach. Mogłabyś budować postaci łajdaków, wzorując się na swoim zdradzieckim byłym.

– Dlaczego ludzie mieliby chcieć o tym czytać? Ja przez to przeszłam i wiem, jakie to było straszne.

– I właśnie o tym ludzie chcą czytać. Aby książka odniosła sukces, musi być jak sprzedaż garażowa uczuć. Przyciąga wtedy tłumy ludzi. Czytanie o tym, jak paskudnie potoczyło się życie komuś innemu, sprawia, że swoje własne oceniasz jako lepsze. Jak myślisz, dlaczego ludzie plotkują? Właśnie tym są autorzy romansów, plotkarzami publikującymi plotki z sąsiedztwa.

– To straszny sposób traktowania pisarstwa.

– Straszny czy nie, z ludzką naturą nie wygrasz – stwierdziła Samantha. –

Napisałam trzy książki. Pierwsza była oparta na historii mojej siostry i jej byłego męża. Zawsze uważałam małżeństwo siostry za idealne. Wydawali się bardzo szczęśliwi. On jej co tydzień przysyłał kwiaty i czekoladki Godiva, jeździli na wymarzone wakacje, mieli piękny dom, tę całą wielką iluzję. Mój były szwagier odnosił sukcesy jako przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej sprzęt medyczny, więc dużo zarabiał i dużo podróżował. Okazało się, że miał drugą żonę i drugą rodzinę w Tulsie.

– Żartujesz.

– Jak Boga kocham.

– To straszne.

– Potem zaczęło się najlepsze. Gdy sprawa wyszła na jaw, biuro prokuratora stanowego oskarżyło wiarołomnego męża o bigamię. Prokurator, superatrakcyjny facet, współpracował z moją siostrą. I słuchaj: zakochali się w sobie! Teraz są wspaniałym małżeństwem, a mój nowy szwagier wygląda o niebo lepiej niż Zbój.

– Zbój?

– Tak moja siostra nazywa swojego byłego.

– Mieli dzieci?

– Z moją siostrą? Nie. Zbój ciągle jej powtarzał, że nie jest jeszcze gotowy. A prawda była taka, że nie stać go było na utrzymanie dwóch rodzin. Bo wiesz, dzieciom z Tulsy kupił aparaty ortodontyczne.

– Przynajmniej będą miały proste zęby, kiedy pójda na terapię do psychologa.

Samantha się roześmiała.

– Powiedz teraz coś o swojej książce – poprosiła.

– Jej akcja toczy się w okresie świątecznym.

– Sprytne. Romanse ze świętami w tle są interesujące. I w tym okresie

ludzie chętniej kupują książki. Mów dalej.

– Główna bohaterka ma za sobą pasmo nieudanych związków. Pracuje w biurze podróży. Akcja zaczyna się nazajutrz po Halloween i kobietę ogarnia przerażenie na myśl o kolejnym samotnie spędzonym Bożym Narodzeniu. Podczas lunchu podchodzi do niej mężczyzna. Bohaterka widywała go już wcześniej w windzie i biurowcu. Nieznajomy wyznaje, że jest samotny i że musi uczestniczyć w kilku imprezach. Proponuje jej, aby do Bożego Narodzenia udawali parę.

– I zakochują się w sobie – powiedziała Samantha.

– Oczywiście.

– Ciekawy pomysł. Czy ten facet jest może seryjnym zabójcą albo ma żonę?

– Nie.

– Bo to by znacząco dodało dramatyzmu. Gdyby była jakaś tajemnica, czytelnik zastanawiałby się, czy bohaterka zostanie zabita albo czy wpadnie na żonę tego faceta na przyjęciu bożonarodzeniowym.

Na chwilę oniemiałam.

– Nie – odparłam w końcu. – On jej nie zabije. To historia o miłości.

– Też dobrze – stwierdziła Samantha, wstając. – Chciałabyś jeszcze wina?

Ucieszyła mnie ta przerwa w rozmowie.

– Tak. Poproszę czerwone.

– Zaraz wracam – powiedziała Samantha i weszła do sali. Po chwili pojawiła się z dwoma kieliszkami czerwonego wina i podała mi jeden. – Impreza trwa – poinformowała mnie, siadając. – John Grisham nadal tam jest i chodzi za szczęśliwą wybranką numer trzy. Ktoś powinien mu powiedzieć, że potrzebna mu miętówka.



Uśmiechnęłam się, rozbawiona.

– Jak nazywa się twój narzeczony?

Samantha nieco się skrzywiła.

– Walt. Walt Berger. Kto chce się nazywać Berger?

– Samantha Berger. Może to trochę niezwykle nazwisko, ale nie jest...  
złe.

– No tak, ale gdybym chciała używać obu nazwisk? Albo wyobraź sobie  
nasze zawiadomienia o ślubie. McDonald-Berger. Wystarczający powód, aby  
nie wychodzić za mąż.

Nie mogłam się opanować i parsknęłam śmiechem.

– Przepraszam. To rzeczywiście niezbyt szczęśliwe połączenie.

– No właśnie. Ktoś wstawi nasze zawiadomienie do netu i wszyscy będą  
się natrzęsać.

– Czym Walt się zajmuje?

– Jest biznesmenem. Ma sieć barów z hamburgerami.

Pomyślałam, że to żart, ale Samantha się nie roześmiała.

– Serio? – zapytałam.

– Serio. Burgery Bergera.

– Chwyтлиwa nazwa...

– Powiedział, że po ślubie jeden rodzaj burgera nazwie moim  
nazwiskiem. – Przewróciła oczami. – To ci dopiero zaszczyt.

– Burger McDonald? Myślę, że byłyby problemy prawne.

– Nie, nazywałaby się burger Sam – wyjaśniła. – Ze specjalnym sosem  
Sam. Jakikolwiek miałby on być. – Westchnęła. – Mam w głowie mętlik.  
Walt nie jest przesadnie atrakcyjny. Wygląda jak Willard Scott, który kiedyś  
zapowiadał pogodę w *Today*, co zakrawa na ironię, bo Willard Scott jako  
pierwszy wcielił się w kłowna Ronalda McDonalda. Ale Walt to porządny

facet. I nie mogę powiedzieć, że nie jest cierpliwy.

– Nie po sześciu latach.

– Cały czas mu powtarzam, że biblijny Jakub musiał czekać na Rachełę siedem lat.

– Właściwie to czternaście, bo wcześniej został wmanewrowany w małżeństwo z najstarszą córką.

– Dobrze wiedzieć – ucieszyła się Samantha. – Szkoda Jakuba, ale może wykorzystam jego historię.

– Naprawdę kazałabyś mu czekać czternaście lat?

– Nie. Po siedmiu latach wszechświat by mi chyba powiedział, że pora się ustatkować.

Miałam nadzieję, że Samantha nigdy nie powie niczego tak bezdusznego swojemu narzeczonemu, ale nie zdziwiłabym się, gdyby już to zrobiła. Nie sprawiała wrażenia osoby wrażliwej.

Rozległo się bicie masywnego zegara stojącego obok recepcji.

Spojrzałam na swój zegarek.

– Chyba pójde się położyć – powiedziałam.

– W porządku. Zobaczymy się na śniadaniu?

– Jasne. Dobranoc.

Ruszyłam w kierunku swojego pokoju. Mimo że nadal byłam w górskiej strefie czasowej, pora wydawała mi się już późna i dawało mi się we znaki zmęczenie. Rozebrałam się, przewiesiłam ubranie przez oparcie krzesła, po czym zgasłam światło i się położyłam. Przypomniałam sobie, co powiedziały dwie kobiety na przyjęciu, i miałam ochotę się rozplakać. Chciałam stąd wyjechać. Zmarnowałam pieniądze taty na nierealne marzenie. Pieniądze, które powinny być wydane na ratowanie jego życia. Dlaczego tata nalegał, abym tu przyjechała?

---

5 *Chicken for the Soul*, seria podbudowujących historii z życia zwykłych ludzi.

6 *It's Sad to Belong*.

## Rozdział 12

*Nazywam to prawem Rossi: prawdopodobieństwo, że utkwi mi coś między zębami, jest wprost proporcjonalne do atrakcyjności osoby, którą spotykam.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Nazajutrz wstałam o wschodzie słońca i poszłam do hotelowego fitness klubu. Jedna ściana tej małej salki była cała wyłożona lustrami, prawdopodobnie po to, by ćwiczący nie dostali klaustrofobii.

Wyposażenie było raczej skromne: zestaw sztang, orbitrek, bieżnia i schodki. W rogu zwiisał z sufitu telewizor. Był włączony i nastawiony na kanał sportowy.

Zawiesiłam ręcznik na szyi i weszłam na bieżnię. Do uszu włożyłam słuchawki, w iPodzie włączyłam Josha Grobana i wybrałam tryb wolnego biegu.

Około dwudziestu minut później do klubu wszedł mężczyzna. Był mniej więcej dziesięć lat starszy ode mnie, przystojny, miał krótkie ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy częściowo zasłonięte okularami w rogowych oprawkach. Wyglądał na wysportowanego, niespecjalnie umięśnionego, ale proporcjonalnie zbudowanego.

Uśmiechnął się do mnie, kierując się do orbitreku. Zanim na niego wszedł, obrócił się do mnie i powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Wyjęłam słuchawkę.

– Słucham?

– Czy mógłbym zmienić kanał telewizyjny?

– Jasne, oczywiście. I tak nie oglądam.

– Dziękuję.

Ponownie włożyłam słuchawkę do ucha. Nieznajomy zmienił kanał ze sportowego na kulinarny, co mnie trochę zaskoczyło. Określiłabym go jako raczej jako miłośnika sportu lub polityki.

Gdy ćwiczył, kilka razy na niego zerknęłam. Raz zauważyłam, że na mnie patrzy. Nie odwrócił wzroku, tylko sympatycznie się uśmiechnął.

Pomyślałam, że jeszcze pięć minut i kończę, gdy nagle ręcznik zsunął mi się z szyi i spadł na bieżnię. Błyskawicznie schyliłam się po niego, ale ruch maszyny spowodował, że gruchnęłam na kolana, zostałam odrzucona do tyłu i padłam jak długa na podłogę. Mój iPod pofrunął na drugą stronę salki.

Mężczyzna natychmiast do mnie podbiegł.

– Zraniła się pani?

Kłękając, czułam, że jestem czerwona na twarzy.

– Ja nie, tylko moja duma.

Podał mi rękę.

– To też bywa bolesne. – Pomógł mi wstać.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Przyniósł mojego iPoda. – Zdaje się, że należy do pani.

– Dziękuję. Jeszcze raz.

– Nie ma o czym mówić. – Wrócił na orbitrek.

Byłam zbyt zażenowana, aby dokończyć bieg, wrzuciłam więc ręcznik do plecionego koszyka i wróciłam do swojego pokoju. Popisałaś się, Kim. Wielkie brawa, pomyślałam. Dobry sposób, aby zrobić wrażenie na przystojnym mężczyźnie. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Szanse,

że go jeszcze kiedyś spotkam, były znikome.

\*

Wróciłam do pokoju za kwadrans ósma, co oznaczało, że mam dość czasu, aby zdążyć wziąć prysznic i ubrać się przed śniadaniem. Tym razem przed wyjściem z pokoju założyłam obrączkę, na wypadek gdybym znowu spotkała Johna Grishama. Gdy weszłam do jadalni, Samantha już siedziała przy stole. Wyglądała ślicznie.

– Dzień dobry, słoneczko – powitała mnie, gdy podeszłam.

– Dzień dobry. Jest tu coś smacznego?

– Wszystko, czego dotąd spróbowałam. Trzeba się obsłużyć samemu. Polecałabym francuskie paluszki tostowe. – Na jej talerzu leżał stosik francuskich tostów posypanych cukrem pudrem. – Jest też facet, który robi omlety. Pychota.

– Omlety czy facet?

– Jedno i drugie. On jest chyba Kubańczykiem. Ma słodki akcent.

Podeszłam do stołów z potrawami. Samantha miała rację, wszystko wyglądało smakowicie, łącznie z panem od omletów. Wzięłam pomarańczę, nałożyłam sobie owsianki do miseczki – i dodałam niej orzechy włoskie, brązowy cukier i rodzyunki – oraz kawę i śmietankę i wróciłam do stolika. Samantha miała na ustach cukier puder.

– No więc po tym, jak wczoraj poszłaś do siebie – zaczęła – wróciłam na imprezę, aby zrobić rekonesans. Mnóstwo gości to stali uczestnicy szkoleń dla pisarzy. Wszyscy jeżdżą na te same konferencje i wspólnie spędzają czas.

– To tłumaczy, dlaczego mam wrażenie, że wszyscy się znają.

– Pozytywne jest to, że wszyscy przyznają, że tutejsza konferencja należy do ich ulubionych. I obstawiają zakłady, czy twój chłopak się pojawi, czy

nie. Stawiają dwa do jednego, że ani widu, ani słychu.

– Mój chłopak?

– Cowell.

– Och. – Zmartwiło mnie przypomnienie, że istnieje taka możliwość. Zjadłam łyżkę owsianki, po czym powiedziałam: – Nie wierzę, że mógłby nie przyjechać.

– Jeśli się nie pojawi, będziemy mieli podstawy, by podać go do sądu – stwierdziła Samantha. – Walt ma dobrego prawnika.

Zajęłyśmy się jedzeniem. Po dłuższej chwili Samantha spojrzała na zegarek.

– Już czas. Chyba musimy iść, jeśli chcemy zająć dobre miejsca.

Szybko dopiłam kawę i wstałam.

– Chodźmy.

– Zabrałaś tekst, nad którym chcesz pracować?

– Nie. A będę go potrzebować?

– No pewnie. Pisali o tym w pakiecie uczestnika. Idź po tekst, a ja zajmę nam miejsca.

Powiedziawszy to, wstała, a ja poszłam do pokoju po swoją książkę. Swoją żalną, marną książkę.

## Rozdział 13

*Konferencja się zaczęła.*  
Z dziennika Kimberly Rossi

Wielka sala balowa była jasno oświetlona i zastawiona krzesłami. Gdy weszłam, z głośników płynęły świąteczne piosenki w wykonaniu Perry'ego Como. Uczestnicy, których było prawdopodobnie dwa razy więcej niż na przyjęciu inauguracyjnym, albo gawędzili w małych grupkach, albo polowali na miejsca. Zobaczyłam, że Samantha stoi blisko środka trzeciego rzędu i macha do mnie ręką. Musiałam precyzyjnie się przemieszczać wzdłuż długiego ciągu kolan, aby do niej dotrzeć.

– Dobrze, że przyszedłam wcześniej – powiedziała. – Ludzie strasznie poważnie podchodzą do rezerwowania miejsc. Usiadłam na jednym z krzesel, ale przyszła jakaś baba i się na mnie wydarła. Te tutaj to ostatnie dobre miejsca.

– Dzięki, że je zajęłaś – powiedziałam, siadając.

– Żaden problem.

Wystąpienie miało się zacząć za dziesięć minut, więc otworzyłam swój pakiet i zaczęłam go przeglądać.

– Przejrzałaś to? – zapytałam.

– Tak.

– Wiesz coś o tych warsztatach?



– Tylko tyle, ile wyczytałam w materiałach. – Uniosła program. – Codziennie spotykasz się z przydzieloną ci grupą pisarzy i podczas tych zajęć czytacie, omawiacie i recenzujecie swoje teksty.

– Brzmi nieprzyjemnie – powiedziałam.

– Wszyscy artyści muszą cierpieć – skwitowała Samantha. – Narzędzia artystycznej ekspresji są naoliwione krwią twórcy.

– Gdzie to słyszałaś? – zapytałam.

– Właśnie to wymyśliłam.

– Całkiem dobre.

– Dziękuję. W której grupie jesteś? – zainteresowała się.

– C.

Samantha zmarszczyła brwi.

– A ja w F. Jak fiasko.

– To tylko grupy, a nie etykietki.

– Chcę być w tej samej co ty. Myślisz, że pozwolą mi się przenieść?

– Nie szkodzi spytać. – Rozejrzałam się. – Jeśli uda ci się znaleźć kogoś kompetentnego.

Samantha przez chwilę rozglądała się po sali, po czym powiedziała:

– Tamta kobieta wygląda na kogoś ważnego. Pilnuj mojego miejsca.

Skierowała się do kobiety, która stała przy podium. Po krótkiej rozmowie odwróciła się i odeszła. Wyglądała na poirytowaną.

– Szkoda było pytać – skwitowała, siadając.

– Co powiedziała?

– Że absolutnie nie zezwalają na żadne zmiany.

– To tylko jeden warsztat dziennie – starałam się ją pocieszyć.

– Co z grubsza stanowi jedną czwartą całej konferencji.

– Ale może grupa F jest tą najważniejszą dla ciebie.

– No jasne.

Nagle muzyka ucichła, a światła przygasły. Tylko podium nadal było jasno oświetlone. Tłum zamilkł. Pojawiła się kobieta w średnim wieku w biznesowej garsonce z fiołkowego atłasu i skierowała się do mównicy na środku podium.

Postukała w mikrofon, po czym się pochyliła.

– Dzień dobry, pisarze. Witam w hotelu Pod Jemiołą. Nazywam się Jill Tanner i jestem przewodniczącą tegorocznej konferencji. Przez cały rok przygotowaliśmy naszym zdaniem najlepszy w całych Stanach program zajęć i prezentacji, skupionych na jednej kwestii, a mianowicie, jak pomóc wam osiągnąć cel, którym jest publikowanie z sukcesem własnych książek.

Rozległy się oklaski. Jill Tanner zaczekała, aż publiczność się uciszy.

– Nie umniejszacie swojej wartości, mówiąc, że jesteście tylko autorami romansów. W istocie jesteście uprzywilejowani, bo nie ma gatunku literackiego, w którym nie moglibyście tworzyć. Historia miłosna może się zdarzyć w powieści kryminalnej, książce o tematyce politycznej, w science fiction, fantasy i horrorze. Uprawiany przez was gatunek stanowi istotę wszelkiego pisarstwa. Uprawiali go najwięksi pisarze wszech czasów: Szekspir, Austen i Hemingway. Jeśli opinia publiczna nie traktuje tego gatunku poważnie, to jedynie dlatego, że zbyt wielu samych autorów romansów nie traktuje go poważnie. Są dobrzy i źli autorzy romansów oraz pięćdziesiąt odcieni szarości pomiędzy nimi.

Słyszając tę aluzję, słuchacze parsknęli śmiechem.

Prowadząca uśmiechnęła się.

– Mała dygresja. Poznałam kiedyś pisarza, który pisał – przysięgam, że nie zmyślam – pikantny romans dziejący się w środowisku amiszów zatytułowany *Pięćdziesiąt twarzy żniwiarza*. Bóg mi świadkiem, że czegoś takiego bym nie wymyśliła.

Publiczność ponownie się roześmiała.

– Ale jak już mówiłam – podjęła przewodnicząca – są dobrzy autorzy romansów i źli. Dobry pisarz to ten, który otwiera nasze serca na ewentualną miłość. Co roku na świecie sprzedaje się powieści romantyczne o wartości ponad dwóch miliardów dolarów. W samych Stanach ponad sześćdziesiąt cztery miliony osób przeczyta w tym roku przynajmniej jeden romans. Odkąd szesnaście lat temu urządziliśmy pierwszą konferencję, obserwujemy, że liczba ta rośnie z roku na rok. Z tych danych wypływa dla mnie oczywisty wniosek, że żyjemy w świecie głodnym miłości. Wy, przyszli pisarze romansów, jesteście dostawcami strawy, której łakną miliony. W imieniu Komitetu Konferencji dla Pisarzy w hotelu Pod Jemiołą życzę wam łatwości pisania i sukcesów wydawniczych. A teraz ruszajcie i zmieniajcie świat.

Publiczność zaczęła bić gromkie brawa. Po odejściu przewodniczącej na podium weszła inna kobieta. Ta, z którą rozmawiała Samantha.

– Dzień dobry. Nazywam się Kathryn Nebeker i jestem tegoroczną wiceprzewodniczącą odpowiedzialną za program konferencji. Mam nadzieję, że wszyscy przynieśliście swoje pakiety konferencyjne. Proszę, podnieście je w górę.

Podnieśliśmy pakiety.

– Dobrze. Widzę, że większość z was je ma. Jednym z czynników, które wpływają na to, że Konferencja dla Pisarzy w hotelu Pod Jemiołą cieszy się tak dobrą renomą, jest jej wyjątkowa formuła. Słyszeliśmy, że w Kalifornii jest organizowana konferencja dla pisarzy, która próbuje skopiować nasze wzorce. Wiecie, że mówi się, że naśladownictwo to najszczęśliwsza forma pochlebstwa, ale my pisarze mamy na to inną nazwę: plagiat.

Wszyscy się roześmiali.

– Tym, co częściowo przyczynia się do wyjątkowości naszej konferencji,

są codzienne warsztaty. Umożliwiają one każdemu uczestnikowi bezpośrednią współpracę z zaproszonymi przez nas doświadczonymi specjalistami oraz kolegami po piórze, stwarzając szansę szlifowania i rozwoju umiejętności pisania już tu, na konferencji.

Jeśli zajrzycie do swoich pakietów, znajdziecie żółte kartki podobne do tej. – Uniosła kartkę z czarną literą A wydrukowaną na żółtym tle. – Litera określa, na które warsztaty będziecie chodzić każdego dnia, oraz miejsce spotkania. Z całą mocą podkreślam, że istotne jest, abyście uczęszczali na warsztaty, do których zostaliście przypisani. Przed chwilą podeszła do mnie jedna z uczestniczek z prośbą o przeniesienie do innej grupy. Na tak późnym etapie nie możemy wprowadzać już żadnych zmian.

Zerknęłam na Samanthę, która wpatrywała się w mówczynię z nienawiścią.

– Jęcza – szepnęła.

– Jeśli z jakiegoś powodu nie macie w swoim pakiecie karty z literą – ciągnęła Nebeker – wypisaliśmy wasze nazwiska wraz z literą na kartkach, które znajdziecie zaraz za tymi drzwiami. Bardzo się cieszymy, goszcząc was tutaj, i powtórzę słowa Jill, naszej przewodniczącej: pisarze, ruszajcie i zmieniajcie świat. Powodzenia i miłego pobytu na konferencji.

Słuchacze ponownie zaczęli klaskać. Gdy mówczyni schodziła z podium, światła się rozjaśniły i ponownie rozległa się muzyka bożonarodzeniowa. Wszyscy wstaliśmy i ruszyliśmy na swoje warsztaty.

– Nienawidzę tej kobiety – mruknęła Samantha.

– Ona tylko się stara, żeby wszystko dobrze funkcjonowało – próbowałam wyjaśnić.

– Ale przy tej okazji nie musi być taką jędzą.

– Gdzie się spotyka twoja grupa? – zapytałam.

– Prawdopodobnie w męskiej toalecie.

– Idź, przekonaj się – poradziłam. – Po warsztatach idę na prelekcję o tym, jak nie zdobyć agenta. A ty?

– Też to wybrałam – odpowiedziała Samantha. – Zjemy potem lunch?

– Jasne.

– To w porządku. Życz mi powodzenia.

– Powodzenia – powiedziałam.

– Będzie mi potrzebne – mruknęła, odchodząc.

## Rozdział 14

*Okazuje się, że statek, który minęłam w nocy, zmierzał do tego samego portu. A właściwie do tej samej przystani.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Moje warsztaty odbywały się w małej salce konferencyjnej blisko wielkiej sali balowej. Tuzin krzeseł stało w kręgu, a jedno z nich zajmowała sympatycznie wyglądająca kobieta o siwych włosach. Na złotej tasiemce miała plakietkę z nazwiskiem. Domyśliłam się, że będzie koordynatorką zajęć naszej grupy, która składała się wyłącznie z kobiet.

– Witam – powiedziała z lekkim południowym akcentem. – To grupa C. C jak Calhoun, Carlyle, Carroll i Collodi. A ponieważ wszystkie te nazwiska wymawiamy przez „k”, to zażartuję, że C jak kasa. Jeśli jesteście we właściwym miejscu, proszę, siadajcie.

Usiadłam obok koordynatorki, która zaczęła odhaczać nasze nazwiska na liście według identyfikatorów. Jediną osobą, którą rozpoznałam wśród członków grupy, była Heather, jedna z dwóch kobiet, z którymi rozmawiałam na przyjęciu inauguracyjnym. Spojrzała na mnie i tak jakby pomachała w moją stronę. Tak jakby pomachałam do niej.

Gdy już prawie wszystkie krzesła były zajęte, do salki zajrzał mężczyzna. Ku mojemu zażenowaniu to właśnie jego spotkałam w fitness klubie – pomógł mi wstać po upadku.

– Przepraszam, czy to grupa C? – zapytał w drzwiach.

Koordynatorka skinęła głową.

– Tak, to grupa C. Jak masz na imię? – zapytała, patrząc na listę.

– Zeke. Ale nie ma mnie na liście. Skierowała mnie Jill.

Koordynatorka uniosła wzrok.

– Jill jest tu szefem. Mógłbyś zamknąć za sobą drzwi?

– Oczywiście. – Zamknął drzwi i podszedł do kręgu. Gdy siadał na ostatnim wolnym krześle, spostrzegłam, że kilka kobiet mu się przygląda – niektóre, w tym Heather, bardziej ostentacyjnie niż inne. On jednak zdawał się niczego nie zauważać.

– A zatem – zaczęła koordynatorka. – Nazywam się Karen Mitchell i co rano będę prowadziła warsztaty. Najpierw kilka słów o sobie. Przez pięć lat pracowałam jako redaktor w dziale literatury dla dorosłych u Simona & Schustera, po czym przeniosłam się do wydawnictwa Avon, należącego do grupy HarperCollins, i jestem tam do dziś. Na warsztatach zamierzam pracować z wami tak, jak na co dzień robię to z wydawanymi u nas autorami.

Moją uwagę zwróciła siedząca naprzeciwko mnie starsza kobieta, która cały czas pochylała się do przodu, jakby miała kłopot ze słuchem. Zauważyłam, że ma aparaty słuchowe w obu uszach.

Zwróciłam się do Karen:

– Przepraszam.

Obróciła się do mnie, lekko poirytowana, że jej przerwałam.

– Tak?

– Przepraszam, ale ta pani ma chyba problemy ze słuchem. – Zwróciłam się do starszej kobiety. – Chciałaby pani się przesiąść?

Kobieta energicznie pokiwała głową.

– Tak – odparła. Miała również niewielki problem z mówieniem. – Słabo słyszę.

Wstałyśmy obie i zamieniłyśmy się miejscami. Starsza pani dotknęła mojej dłoni.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma za co – odparłam.

Siadając, zauważyłam, że Zeke na mnie patrzy. Uśmiechnął się z uznaniem.

– Okej, pisarze, idziemy dalej. Jak już mówiłam, na początek chcę was trochę lepiej poznać. Wiem, że pisarze uwielbiają mówić, zwłaszcza o sobie, ale możecie to robić w swoim prywatnym czasie. Teraz macie dwie minuty, aby się przedstawić, powiedzieć, od jak dawna piszecie, nad czym teraz pracujecie oraz z czego jesteście najbardziej dumni. Pamiętajcie. – Uniosła swój telefon. – Będę liczyć czas. Zacznijmy od ciebie, złotko. – Ruchem głowy wskazała siedzącą po swojej lewej stronie młodą kobietą w okrągłych okularach w drucianej oprawce i brzoskwiniowej sukience, która mogłaby uchodzić za namiot. I w duchu zaliczyłam ją do tych słodkich nieśmiałych dziewcząt piszących romanse z życia amiszów. Wyglądała na przerażoną.

– Ja?

– Tak, ty, złotko. Zaczynaj.

Nadal nic.

– To twoja pierwsza impreza dla pisarzy? – popędzała ją Karen.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Tak.

– Zacznijmy od twojego imienia.

Myślałam, że dziewczyna zemdleje.

– Jestem Marci – pisnęła. – Piszę od około czternastu lat, czyli odkąd miałam piętnaście. Obecnie piszę książkę zatytułowaną *Przeminęło z grzechem*. To taka nieprzyzwoita historia o miłości w czasach wojny



secesyjnej.

No, no, kto by przypuszczał?

– Chyba nigdy jej nie wydam. Mój tata jest pastorem Pierwszego Kościoła Metodystów Baranka Bożego w High Point w Karolinie Północnej. Nie byłby ze mnie zadowolony, gdyby ją przeczytał.

– Tym zajmiemy się później – powiedziała Karen. – A z czego jesteś najbardziej dumna?

– Nie chcę się chwalić, ale w zeszłym roku wygrałam konkurs literacki sponsorowany przez Lions Club.

– Bardzo dobrze – skomentowała Karen. – Teraz poproszę...

Uczciwie przyznaję, że nie słyszałam większości wypowiedzi, bo moje myśli krążyły gdzie indziej. A dokładnie wokół mężczyzny z orbitreka, który w odróżnieniu ode mnie wydawał się bardzo zainteresowany tym, co mówili członkowie naszej grupy. Gdy przyszła jego kolej, rozejrzał się po wszystkich. Miałam wrażenie, że jego spojrzenie zatrzymało się na mnie trochę dłużej.

– Całkiem jak na spotkaniu AA. Cześć, jestem Zeke. Jestem uzależniony od pisania.

Kobiety po obu moich bokach zachichotały.

– Po pierwsze, mam radę dla Marci. Tata nie musi nic wiedzieć. Po to są pseudonimy literackie. Jeśli natomiast chodzi o moje pisanie, o książkę, nad którą teraz pracuję, tak naprawdę wiem tylko jedno: ile będzie kosztować. Dwadzieścia cztery dziewięćdziesiąt pięć w twardej oprawie.

Wszystkie się roześmiałyśmy.

– Aha... Najbardziej jestem dumny z ośmiu lat trzeźwości.

Wszystkie zaczęłyśmy bić brawo.

– Dziękuję – powiedziała Karen. – Mam nadzieję, że na koniec naszych

zajęć powiesz nam o swojej książce coś więcej poza podaniem jej ceny.

– To byłoby coś – skomentował Zeke.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

Następnie przedstawiły się Adele i Maureen, przyjaciółki, które razem przyjechały na konferencję. Wspólnie pisały romans paranormalny o wampirach, które są, tu zacytuję Adele: „za dnia seksownymi surferami, a w nocy zębatymi, ale poczciwymi rekinami, które pilnują bezpieczeństwa na wodach”.

Gdy przyszła moja kolej, zaschło mi w gardle.

– Mam na imię Kim – zaczęłam. – Napisałam jedną książkę. To znaczy prawie napisałam. Nie jest jeszcze skończona, ale już zebrałam imponującą kolekcję listów odmownych.

Kilka osób się roześmiało.

– Nosi tytuł *Obietnica pod jemiolą*.

– Prowokacyjny tytuł – skomentowała Karen. – Opowiedz nam o niej.

– Bohaterka to samotna kobieta, która właśnie się rozwiodła i ma za sobą wiele nieudanych związków. Zaczyna się kolejny okres świąteczny i nieznajomy mężczyzna składa jej ofertę: on nie chce spędzić tego czasu samotnie, więc proponuje jej, aby aż do Wigilii udawali, że są parą. Ponieważ jest prawnikiem, spisuje umowę.

– Interesujący pomysł – powiedziała Karen. – Jestem ciekawa, jak go rozwiniiesz.

– Ja też – powiedziałam.

Tym razem wszyscy się roześmiali, choć nie zamierzałam żartować. Zerknęłam na Zeke’a. Patrzył na mnie, ale nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy.

Gdy wszyscy już się przedstawili, Karen powiedziała:

– Okej, nasz czas prawie się skończył. Jutro poproszę, aby każdy z was przeczytał mi fragment swojego tekstu, więc wybierzcie coś, czego nie będziecie się krępować odczytać publicznie, najlepiej z książki, nad którą teraz pracujecie. I jeszcze jedno. My tutaj w hotelu Pod Jemiołą wierzymy w system koleżeński. Zanim dzisiaj się rozejdziemy, chcę, aby każdy z was dobrał się w parę z kimś z tej grupy. Będziecie współpracować przez następne sześć dni, czytać swoje teksty i słuchać konstruktywnej krytyki, zanim zaprezentujecie się na forum grupy. Grupa składa się z nieparzystej liczby osób, więc w jednym przypadku musicie stworzyć trójkąt, oczywiście w nieromantycznym sensie. Ponieważ Adele i Maureen pracują nad tą samą książką, proponuję, aby to one dokooptowały kogoś trzeciego. Zostało pięć minut, proszę więc, nie wychodźcie, póki nie dobierzecie się w pary. Widzimy się jutro.

Wstaliśmy, rozglądając się. Zobaczyłam, jak Adele i Maureen szybkim krokiem ruszają do Marci, a Heather do Zeke’a, który podszedł do mnie.

– Masz na imię Kim, tak?

Nie musiał pytać, ponieważ miałam identyfikator.

W towarzystwie przystojnych mężczyzn z trudem znajduję słowa.

– Tak. Jestem Kim – wydukałam.

– Zeke. Jestem tym facetem z fitnessu... – Ponieważ milczałam, dodał: – Pomogłem ci wstać...

– Pamiętam.

– Ale nic ci się nie stało?

– Nie. Operacja chyba nie będzie potrzebna.

Uśmiechnął się.

– To dobrze. Chciałabyś zostać moją pisarską koleżanką? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: – Jeśli już kogoś sobie upatrzyłaś, to w porządku. Nie nalegam.

Odgarnęłam kosmyk włosów z twarzy.

– Nie. Chętnie. Dziękuję za propozycję.

– To świetnie. Uważam, że twój pomysł na książkę jest bardzo interesujący.

– Dziękuję. Uważam, że cena twojej książki jest bardzo... rozsądna.

Roześmiał się.

– Mam taką nadzieję. Powinniśmy zaplanować spotkania.

– Wybieram się teraz na prelekcję, ale moglibyśmy umówić się na lunch.

– W tym momencie przypomniałam sobie, że jestem już umówiona z Samanthą. – Och, zaczekaj. Obiecałam znajomej, że z nią zjem.

– To może później?

– Mam pomysł. Może byś do nas dołączył? Jestem pewna, że znajoma nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Świetnie. W takim razie spotkajmy się około południa. Cieszę się na naszą współpracę.

Gdy odchodził, zauważyłam, że patrzy na mnie kilka kobiet. Heather wyglądała na zawiedzioną.

Ale mi się poszczęściło, pomyślałam.

## Rozdział 15

*Atrakcyjny mężczyzna poprosił, abym została jego pisarską koleżanką. Co takiego we mnie siedzi, że automatycznie kwestionuję jego motywacje albo rozsądek?*

Z dziennika Kimberly Rossi

Następnym punktem mojego planu zajęć był wykład *Jak nie zdobyć agenta*. Prelegentka nazywała się Laurie Liss i była jednym z dyrektorów Sterling Lord Literistic, nowojorskiej agencji literackiej. Zdobyła sławę między innymi jako odkrywczyni nikomu nieznanego pisarza o nazwisku Robert James Waller, który napisał *Co się wydarzyło w Madison County*. Książka ta nie tylko przyniosła mu niebotyczne zyski, ale przyniosła też wielką sławę Liss, której „New York Times” nadał tytuł Królowej Ckliwości.

Jeśli chodzi o mnie, prawda była taka, że nie posłałam swojej książki z czystej niewiedzy. Agent, myślałam, to przeszkoda, którą mogę ominąć, i lepiej zrobię, zwracając się bezpośrednio do wydawcy. Nie zdawałam sobie sprawy, że w rezultacie przekreślam swoje szanse, ponieważ wydawnictwa rzadko czytają niezamówione rękopisy.

Na prelekcję przyszło około czterdziestu osób. Zajęłyśmy z Samanthą miejsca w jednym z przednich rzędów. Liss przedstawiła swoją *Listę Liss*, w której wyszczególniła, czego nie powinniśmy nigdy robić, starając się pozyskać agenta. Zanotowałam pięć rzeczy, które doprowadzają panią Liss do wściekłości.

1. Nie mówcie mi, że mąż/zona/matka/itd. uważają, że wasza książka jest fantastyczna. Zaskoczcie was: oni są albo stronniczy, albo nie chcą zranić waszych uczuć, a prawdopodobnie

jedno i drugie.

2. Nie proponujcie mi łapówki, zwłaszcza części ogromnych pieniędzy, które zarobicie na swojej książce. Od razu przerwę rozmowę. Jeśli podpiszę umowę, dostanę swój procent.

3. Nie przysyłajcie mi swojego zdjęcia. Nie obchodzi mnie, jak wyglądacie. Jeśli przyślecie, agenci z mojej firmy powieszają je na tablicy ogłoszeń i będą po nim rysować markerem.

4. Nigdy nie wsuwajcie kartek pod drzwi kabiny WC. Będę tak urażona, że naruszyliście moją prywatność, że użyję tych kartek jako papieru toaletowego, a przynajmniej spłuczę je w toalecie i prawdopodobnie ją zatkam, powodując potężny bajzel. I zanim zapytacie: tak, już mi się to przydarzyło.

5. Nigdy nie twierdźcie, że jesteście „następnym wielkim odkryciem”. Wy tego nie wiecie. Ja tego nie wiem. Nikt tego nie wie. Wygłupicie się tylko i narazicie na śmieszność.

Gdy wychodziłyśmy z prelekcji, Samantha powiedziała:

– Ciekawe, czy Liss zostanie moją agentką.

– Według mnie była trochę źmijowata.

– Dobry agent musi być źmijowaty – stwierdziła Samantha. – Im bardziej źmijowaty, tym lepiej. Świat wydawniczy to kłębowisko żmij.

– Przynajmniej wiesz, czego nie robić, aby ją zdobyć – zauważyłam. – Nie idź za nią do łazienki.

– Założyłabym się, że mimo wszystko ktoś to zrobi podczas tej konferencji.

– Nie byłabym zaskoczona – stwierdziłam. – Jesteśmy grupą zdesperowanych ludzi.

– Szkoda, że Liss nie podała nam pięciu rzeczy, które powinniśmy zrobić.

– Na pierwszym miejscu powinno być: napisać dobrą książkę – powiedziałam. – Jestem głodna, chodźmy na lunch.

Poszłyśmy do tej samej sali, w której jadłyśmy śniadanie. Rozpoznałam kilka osób ze swojego warsztatu.

– Jest i John Grisham – zauważyłam.

– Nie jest żadnym Grishamem – przypomniała mi Samantha.

– Tak, wiem. Po prostu nie jestem pewna, czym on się zajmuje.

Znalazłam wolny stolik blisko jednego z okien i zostawiłam na krzesłach nasze torby, po czym podeszłam do bufetu. Głównymi daniami dnia były cordon bleu z kurczaka, lasagne z kielbasą i lasagne wegetariańskie. Zdecydowałam się na kurczaka i sałatkę Cezar.

Podaliśmy kasjerce jeden ze swoich konferencyjnych talonów na posiłki i wróciłam do stolika. Samantha już zaczęła jeść.

– Jak było na twoich warsztatach? – zapytałam. – Tak źle, jak się spodziewałaś?

– Stwierdziłam, że F chyba oznacza *freak* – odparła. – Wszyscy oprócz mnie piszą romanse paranormalne. Ale w gruncie rzeczy było okej. Dali nam karty do gry, aby dobrać nas w pary do współpracy przy pisaniu. – Wzięła kęs jedzenia do ust, więc czekałam, aż połknie. – Wyciągnęłam królową kier i uznałam to za dobry znak. A ty? Połączyli cię z kimś w parę?

– Owszem. Ale my dobieraliśmy się sami.

– W grupie byli jacyś mężczyźni?

– Tylko jeden – odparłam.

– U nas nie było ani jednego. Ale to nie był ten?

– Który?

– No wiesz, to ciacho, co wygląda jak Clooney. Przystojny, superokulary, trochę starszy.

– Masz na myśli Zeke’a? – zapytałam.

– Znasz jego imię?

– Jest w mojej grupie. I spotkałam go wcześniej w fitness klubie.

– Chcę go poznać.

Odkroiłam kawałek kurczaka.

– Na pewno poznasz – zapewniłam ją.

Samantha spojrzała na mnie z uznaniem.

– Uwielbiam twój optymizm. To fizyka kwantowa, tworzysz własną rzeczywistość. Wrzucasz marzenie do wszechświata i ono się materializuje.

– To marzenie zmaterializuje się wcześniej, niż myślisz. Zeke zje z nami lunch. Jest moim pisarskim kolegą.

– Clooney jest twoim pisarskim kolegą? – W głosie Samantha zabrzmiało powątpiewanie.

– Nie jest Clooneyem, ale kolegą – tak.

– Mówiłam ci, że jestem w niewłaściwej grupie. U mnie za faceta można by uznać tylko taką laskę, która pisze historie miłosne z wilkołakami. Wygląda jak jeden z nich.

– Jak facet czy wilkołak?

– Jedno i drugie.

– Jesteś złośliwa – stwierdziłam. – Idzie Zeke. Uważaj na to, co mówisz.

Zeke podszedł do naszego stolika, trzymając ręce w kieszeniach.

– Cześć! – powiedział.

Samantha wpatrywała się w niego.

– Cześć – odpowiedziałam. – Zeke, to moja znajoma, Samantha. Samantha, to jest Zeke.

– Możesz mi mówić Sam – zaproponowała.

– Ale Samantha ładniej brzmi.

– Więc może być Samantha.

Zeke zwrócił się do mnie:

– Nadal zgoda na to, żebym się do was przysiadł?

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Samantha odpowiedziała:

– Proszę!

– Dziękuję. – Odsunął krzesło i usiadł.

– Chciałbyś coś zjeść? – zapytałam.



- Co ty jesz?
- Cordon bleu z kurczaka. Smaczny.
- I smacznie wygląda. Zaraz wracam. – Wstał i skierował się do bufetu. Samantha nie odrywała od niego wzroku.
- Jest przystojniejszy od Clooneya – stwierdziła.
- Żaden facet nie jest przystojniejszy od Clooneya. Po co to mówisz?
- Clooney nie jest realny. Kto wie, ile z jego wyglądu zależy od Photoshopa.
- Jest gwiazdą filmową. Nie można wyphotoshopować filmów.
- Oczywiście, że można. To się nazywa efekty specjalne.
- Zeke nie jest efektem specjalnym.
- Ale na mnie taki właśnie wywiera.
- Uśmiechnęłam się rozbawiona.
- Odbiło ci.
- Zeke wrócił po kilku minutach. Na talerzu miał lasagne z warzywami.
- Widzę, że zrezygnowałeś z kurczaka – zauważyłam.
- Nie wspomniałaś o lasagne, a ja uwielbiam włoskie potrawy.
- Kim jest Włoszką – wyrwała się Samantha.
- Miałam ochotę ją spoliczkować. Zeke tylko się uśmiechnął. Gdy unosił widelec do ust, Samantha zapytała go:
- Skąd jesteś?
- Odłożył widelec.
- Z Alexandrii w Wirginii. Ale ostatnio mieszkam na Florydzie.
- Na Florydzie – powtórzyła Samantha. – Piękne plaże, piękna pogoda.
- Jeśli nie przeszkadzają ci sporadyczne huragany – skomentował Zeke.
- A gdzie na Florydzie? – zapytałam.
- Na Jupiter Island.

– Czy to nie tam mieszkają gwiazdy filmowe? – zapytała Samantha.

– Kilka tak – odparł Zeke. – Burt Reynolds. Kiedyś na pewno Tiger Woods, ale nie jestem pewien, czy się nie wyprowadził.

– Musisz być bogaty – stwierdziła Samantha.

Teraz już byłam pewna, że moja znajoma nie ma żadnych hamulców.

– Nie każdy, kto mieszka na Jupiter Island, jest bogaty – odparł Zeke. – Ktoś musi kosić trawniki i pracować w 7-Eleven, prawda?

Samantha zmarszczyła brwi.

– Kosisz trawniki?

– Od czasu do czasu.

Postanowiłam zmienić temat.

– Byłeś na wielu konferencjach dla pisarzy?

– Na paru. Ale obecna to moja pierwsza od dłuższego czasu.

– Czyli od jak dawna?

– Kilku lat. Odstawiłem pisanie na jakiś czas. – Nabrał lasagne.

– W życiu różnie się układa – powiedziałam.

– To prawda – przytaknął.

– A jak masz na nazwisko? – drążyła Samantha.

Zdałam sobie sprawę, że ja też nie znam jego nazwiska.

Zeke przełknął.

– Faulkner.

– Faulkner. Jak ten pisarz William Faulkner – stwierdziłam.

– Niestety tak.

– Dlaczego Niestety?

– Dlatego, że posiadanie tego samego nazwiska co słynny pisarz prowokuje do porównań, ale wierz mi, nie jestem Faulknerem. Pomyśl o tym w ten sposób: gdybyś nazywała się Streisand, ludzie pytaliby cię o dwie

rzeczy: czy jesteś spokrewniona z Barbrą oraz czy umiesz śpiewać.

– Rozumiem – przyznałam.

– Mógłbyś być jak ten David, który każdemu mówi, że jest Grishamem – powiedziała Samantha.

– Nie wiem, o kim mówisz, ale Faulkner to moje prawdziwe nazwisko.

– Swoją drogą wspaniałe – powiedziałam.

– A ty? – zapytał. – Często jeździsz na takie imprezy?

– Do tej pory byłam na dwóch. Jednej w San Francisco i drugiej lokalnej, w Kolorado.

– Jesteś z Kolorado?

– Tak.

– A ja jestem z Montany – odezwała się Samantha.

Zeke spojrzał na nią.

– Montana jest piękna. Kraj wielkiego nieba.

– Tak się mówi. Chociaż nie jesteśmy krajem, tylko stanem. Jak pozostałe pięćdziesiąt. Ale rzeczywiście o Montanie mówi się, że jest krajem.

– Zawahała się. – Trochę to pogmatwane.

Zeke spojrzał na nią, jakby nie był pewien, czy Samantha mówi poważnie, czy nie. Potem zwrócił się do mnie:

– A dokładnie skąd w Kolorado jesteś?

– Z Denver. Kiedyś mieszkałam w Boulder, ale wyprowadziłam się stamtąd po rozwodzie.

– Jesteś rozwiedziona – stwierdził. Zerknął na brylant na moim palcu serdecznym. – A pierścionek to...

– Czosnek.

– Czosnek?

– Odstrasza wampiry.

- Działa?
- Zobaczymy – powiedziałam.
- Więc to twój pierwszy pobyt w hotelu Pod Jemiołą.
- I pierwszy w Vermoncie.
- Dlaczego wybrałaś właśnie tę konferencję?
- Wydała mi się dobra. Ale mówiąc szczerze, głównie dlatego, że ma tu przyjechać E.T. Cowell. Chciałam posłuchać jego wystąpienia.
- Zapłaciłaś sporo pieniędzy, by posłuchać, jak ktoś przemawia.
- Cowell jest tego wart – odparłam. – To pod jego wpływem postanowiłam zostać pisarką. Aż nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu się pokaże.
- Czy on nie jest trochę odludkiem? – zapytała Samantha.
- Łagodnie powiedziane – stwierdziłam. – J.D. Salinger to przy nim ekstrawertyk. To śmieszne, ale skąd właściwie będziemy w ogóle wiedzieć, że przemawiającym jest Cowell? Kto wie, jak on wygląda? Mogliby zaprosić oszusta i nikt by się nie zorientował.
- Może ten numer z Cowellem był oszustwem od samego początku – powiedziała Samantha. – I organizatorzy liczą na to, że Cowell tak bardzo izoluje się od świata, że nigdy się o tym nie dowie.
- Zeke wyglądał na rozbawionego naszymi przypuszczeniami.
- Więc Cowell był dla ciebie inspiracją?
- Potwierdziłam skinieniem głowy.
- Jest niesamowity. Niektóre z jego książek czytałam pięć albo sześć razy. A ty?
- Czytałam jego książki – przyznał Zeke. – Nie pięć czy sześć razy, ale większość mi się podobała.
- Chcę się dowiedzieć, dlaczego przestał pisać – ciągnęłam. – Jego

wycofanie się ze świata literatury jest tak samo zagadkowe jak na przykład zniknięcie Majów i to, o kim tak naprawdę śpiewa Carly Simon w *You're So Vain*.

– O Micku Jaggerze – powiedziała Samantha. – Wszyscy wiedzą, że chodzi o Micka Jaggera. – Spojrzała na mnie. – To był Jagger, prawda?

– Nie mam pojęcia – odparłam.

– Może opuściło go natchnienie – powiedział Zeke. – A może po prostu się zestarzał. Jest tak, jak mówiłaś, nikt o nim właściwie niczego nie wie. Jedynie to, że ma dziewięćdziesiąt lat.

Myśl, że Cowell jest starcem, trochę mnie zasmuciła.

– Może.

– Według mnie to nie jest żadna zagadka – powiedziała Samantha. – Dlaczego nie miałby zrezygnować? Sprzedał dziesiątki milionów egzemplarzy książek, co oznacza, że zarobił dziesiątki milionów dolarów. Gdybym miała tyle pieniędzy co on, przestałabym pisać. Wziąłabym całą forszę i przeniosła się na Bali albo na południe Francji, aby korzystać z życia. – Spojrzała na Zeke'a. – Albo na Florydę.

– Może powodem nie były pieniądze – ciągnęłam, ignorując jej kokieterię – ale presja, by ciągle odnosić sukcesy. Tak było z Margaret Mitchell. Osiągnęła szczyt, po czym przestała pisać. Bo czy po *Przeminęło z wiatrem* mogła stworzyć coś lepszego?

– Prawdę mówiąc – zaczął Zeke – Margaret Mitchell twierdziła, że przestała pisać, bo była zbyt zajęta odpisywaniem na listy od wielbicieli. Ale bardziej prawdopodobny powód był taki, że po prostu miała dość sławy i denerwowali ją ci wszyscy ludzie, którzy nie dawali jej spokoju. Kiedyś tak się wściekła na fana, który przyszedł do jej domu, że przysięgła, że już więcej nie napisze ani słowa. – Zmarszczył czoło. – A potem została potrącona przez pijanego kierowcę.

– Margaret Mitchell potrącona przez pijanego kierowcę? – zapytałam.

– Tak, i to było przyczyną jej śmierci – powiedział Zeke. – A kierowca taksówki miał już na koncie dwadzieścia trzy wykroczenia drogowe.

– A czy Stephen King też nie został potrącony przez pijanego kierowcę? – zapytała Samantha.

– King został potrącony przez samochód, ale kierowca nie był pijany. Ale on też popełnił wcześniej dużo wykroczeń drogowych.

– Słyszałam, że kierowca, który go potrącił, zmarł w dniu urodzin Stephen Kinga – powiedziała Samantha.

– To może być prawda – przyznał Zeke.

– Przerażające – stwierdziła Samantha. – Jak jego książki.

– Nie wiem, dlaczego Cowell przestał pisać – powiedziałam. – I możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy. Wiem natomiast, że Cowell może być jedynym mężczyzną na tej planecie, który rozumie uczucia kobiet. Nie mogłam uwierzyć, że mężczyzna potrafi tak pisać. Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy w rzeczywistości jego książek nie napisała kobieta ukrywająca się pod nazwiskiem mężczyzny.

– Zaczekaj! – zawołała Samantha. – To by wyjaśniało, dlaczego unika dziennikarzy. I dlaczego używa inicjałów zamiast pełnych imion, które ujawniłyby jej płeć, jak robi Nora Roberts, gdy wydaje swoje thrillery. E.T. może oznaczać Elen Turner. A może to nie jedna kobieta, ale nawet kilka.

Zeke pokiwał głową.

– Kiedyś myślałem to samo o R.L. Stinie, tym, który napisał serię *Gęsia skórka*.

– Że jest kobietą? – zapytała Samantha.

– Nie, że w rzeczywistości to grupa pisarzy. Wydawał nową książkę mniej więcej co miesiąc, a nazywa się Stine, co rymuje się z Frankenstein. To brzmi jak marka, prawda? Zupełnie jak Betty Crocker.

Samantha wyglądała na dezorientowaną.

– To Betty Crocker nie jest prawdziwą osobą?

Zeke i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Nie, Betty Crocker to fikcja – wyjaśnił Zeke. – Tak samo jak króliczek wielkanocny. Albo królowa Anglii.

Siłą powstrzymałam się od śmiechu. Zeke najwyraźniej nabijał się z Samantha, a ona miała niepewną minę.

– R.L. Stine to też nie jest prawdziwa osoba – powiedziała.

– Ależ jest. Poznałem go osobiście.

– Poznałeś R.L. Stine’a? – zapytałam.

– Roberta Lawrence’a Stine’a – odparł Zeke. – Znanego jako Bob. Świetny facet. Zaczął pisać humorystyczne książeczki dla dzieci pod pseudonimem Jovial Bob Stine, a potem przerzucił się na horrory dla dzieci. To dzięki niemu miliony chłopców zaczęły czytać książki.

– Ale to ciągle nie tłumaczy, dlaczego Cowell jest takim odludkiem – stwierdziła Samantha.

– Może jest taki brzydki, że wydawca uznał, że lepiej ukrywać go przed światem, aby nie zniszczył romantycznych fantazji swoich czytelniczek.

Pokręciłam głową.

– Jesteś okrutny. Jeśli Cowell się jednak pojawi, mam nadzieję, że się z nim nie spotkasz. Tylko byś go obraził.

– Skąd to „jeśli się jednak pojawi”?

– Wczoraj wieczorem dwie znajome powiedziały nam, że ma w zwyczaju nie przyjeżdżać na imprezy, na których ma wystąpić.

Zeke pokręcił głową.

– Pierwszy raz o tym słyszę. Ale szuja.

Spojrzałam na niego.

- Nazwałś go szują?
  - Nie.
  - Oczywiście, że nazwałś.
  - Czy w ogóle istnieje takie słowo? – zapytała Samantha.
  - Istnieje – potwierdził Zeke. – Archaiczne, ale nadal mocne.
  - Nikt go dzisiaj nie używa – powiedziałam.
  - Mylisz się, bo ja go właśnie użyłem.
  - Więc się jednak przyznajesz.
  - Przyznaję. Każdy, choćby nie wiadomo jak sławny, kto zobowiązuje się wystąpić na ważnej imprezie, a potem, wyłączając poważne przypadki losowe, nie przyjeżdża, jest szują.
  - Chyba rzeczywiście nie powinieneś się z nim spotkać – stwierdziła Samantha. – Wątpię, aby spodobało mu się, że nazywasz go szują, niezależnie od tego, co to znaczy.
  - Nigdy do tego nie dojdzie – powiedział Zeke. – Bo jeżeli Cowell się pojawi, to nie jest szują.
  - Ma rację – stwierdziła Samantha.
  - Uważam, że jesteś po prostu zazdrosny – skwitowałam.
- Zeke zastanowił się, po czym powiedział:
- Masz rację, oczywiście. Zawsze rzucamy kamieniem w górę, prawda? – Zwrócił się do mnie: – Łatwo zrozumieć, dlaczego nie mógłbym być jego wielbicielem. Kogut jest zawsze zazdrosny o innego koguta w kurniku. Ale naprawdę intrygujące pytanie brzmi: dlaczego ty go nadal uwielbiasz? Byłaś jego wierną czytelniczką, a on cię porzucił, podobnie jak miliony innych kobiet.
  - To jego życie – odparłam. – Cowell nie miał wobec mnie żadnych zobowiązań. A jego książki pomogły mi przetrwać ciężkie chwile. – Wolno



pokiwałam głową. – Nie mogę się doczekać spotkania z nim. Mam tylko nadzieję, że się za bardzo nie rozczaruję.

– Też mam taką nadzieję – powiedział Zeke. – Bardzo bym nie chciał, abyś zmarnowała tyle pieniędzy.

– To byłoby straszne – stwierdziła Samantha.

– Liczę też, że będę miała szansę poprosić go, by mi coś podpisał.

– Co takiego? – zapytał Zeke.

– Egzemplarz pierwszego wydania *Toskańskiej obietnicy*.

– Masz go?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Byłam jedną z pierwszych czytelniczek. Pierwszy nakład liczył tylko pięć tysięcy egzemplarzy. Kupiłam tę książkę w księgarni za jakieś piętnaście dolarów, ale na eBayu widziałam ceny około dziewięciu tysięcy.

– Dziewięciu tysięcy! – wykrzyknął Zeke. – To chore.

– Za tyle schodziły.

– Powinnaś sprzedać swoją – powiedział.

– Nigdy. Dla mnie jest ona więcej warta niż pieniądze, które mogłabym za nią dostać.

– Jesteś prawdziwą wielbicielką – przyznał Zeke. – I już chociażby z tego powodu liczę, że Cowell się pojawi. – Zwrócił się do Samanthę: – A ty, Samantho? Co cię tu sprowadziło?

– Wszystko po trosze. Romans, Vermont zimą, atmosfera konferencji dla pisarzy. Ale głównie to, że Walt doprowadzał mnie do szału. Pojechałabym do Czarnobyli na kurs wyplatania koszyków, byle od niego uciec.

– A kim jest Walt? – zapytał Zeke.

– Nikim – odparła, bezwiednie pochylając się w jego stronę.

– Jej narzeczoną – wyjaśniłam.

Samantha rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Jak narzeczony może być „nikim”? – zdziwił się Zeke.

– To skomplikowane – odparła Samantha.

– Nie tak bardzo – rzuciłam.

– No faktycznie, nie tak bardzo – zgodziła się moja znajoma.

Zeke uśmiechał się, wbijając widelec w lasagne, które na pewno były już zimne. Wziął kęs, po czym zapytał mnie:

– Jak wygląda reszta twojego dnia?

– Zaraz po lunchu muszę oddać swoje zgłoszenie na spotkanie z agentem we wtorek. W informacjach w naszych pakietach podano, że formularze z danymi osobowymi oraz manuskrypty musimy złożyć najpóźniej do pierwszej, jeśli chcemy, aby agenci się z nimi zapoznali.

– Ja swoje już złożyłam – powiedziała Samantha.

– Zapisalesz się na spotkanie z agentem? – zapytałam Zeke’a.

– Nie. Nie tym razem – odparł. – A czy potem masz jeszcze jakieś zajęcia?

– Idę na prelekcję *Spełnione marzenie*.

– Czy nie prowadzi jej ten facet, który mówi o sobie, że nazywa się John Grisham, i próbował nas poderwać?

– Niestety tak.

– Po co tam idziesz? Ten facet to czubek.

– Owszem, ale czubek publikowany – powiedziałam. – Tak więc jeśli chodzi o zajęcia popołudniowe, to w grę wchodzi albo fałszywy Grisham, albo romans paranormalny, albo ekscytująca interpunkcja, a nie chcę uczyć się przez godzinę o pauzach, półpauzach i menopauzach – zażartowałam.

– Menopauza jest straszna – powiedziała Samantha.

Zeke zmrużył oczy.

– Słucham?

– Eee... – Poczułam zażenowanie, więc szybko zmieniłam temat. – Okej. Interpunkcja odpada. Nie zależy mi też na niuansach trójkątów miłosnych wampirów, zostaje więc ten okropny pisarz udający Johna Grishama.

– To idę z tobą – zdecydowała Samantha.

Spojrzałam na Zeke'a.

– Masz ochotę? Myślę, że prowadzący nie będzie cię podrywać.

– Dziękuję, ale nie. Mam kilka telefonów do wykonania. Kiedy powinniśmy porozmawiać o twojej książce?

– A co z twoją? – zapytałam.

– Nie jestem pewien, czy da się ją uratować. Może spotkamy się na kolacji w jadalni o... siódmej?

– Siódma będzie w sam raz – zapewniłam go.

Zwrócił się do Samanthy:

– Zarezerwować stolik na trzy osoby?

– Nie. – Samantha wyglądała na zawiedzioną. – Obiecałam swojej zwariowanej pisarskiej koleżance, że zjemy razem kolację.

– W takim razie kolacja dla dwojga o siódmej – powiedział do mnie Zeke. – Nie zapomnij swojego manuskryptu. Będę czekał na ciebie w holu.

– Do zobaczenia.

Zeke wstał i się oddalił. Wtedy Samantha powiedziała:

– Wow, widzę, że bardzo ci się spodobał.

– Skąd taki wniosek?

Samantha pokręciła głową.

– Gdyby twój uśmiech stał się odrobinę szerszy, odciąłby ci górną część głowy.

– Okej, uważam, że jest przystojny i bardzo miły. – Zmarszczyłam czoło.

- Mam nadzieję, że nie było tego po mnie za bardzo widać.
- Było. Dobrze, że ty też mu się podobasz.
- Skąd wiesz?
- Przyszedł tu, prawda? I zaprosił cię na kolację? No proszę cię, czy trzeba prezentera pogody, aby wiedzieć, skąd wieje wiatr?
- Bob Dylan<sup>7</sup> – powiedziałam. – Naprawdę myślisz, że Zeke jest mną zainteresowany?
- Samantha potrząsnęła głową.
- No wiesz! Jak autorka romansów może być tak ślepa na objawy zakochania?
- Nie wiem. Najwyraźniej lepiej radzę sobie w świecie fikcji niż w realnym. – Westchnęłam. – Dobra. Idziemy. Nie kaźmy Johnowi Grishamowi na nas czekać.
- 

<sup>7</sup> Słowa „You don't need a weatherman to know which way the wind blows” pochodzą z piosenki *Subterranean Homesick Blues* (1965).

## Rozdział 16

*Niektórzy uwielbiają przechadzać się w butach z kolcami po marzeniach innych ludzi.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Prelekcja Bready’ego powinna mieć tytuł: *Narcyzm: jak nikły sukces może tak bardzo uderzyć do głowy.*

Miałam nadzieję, podobnie jak pozostali uczestnicy konferencji, że usłyszę motywujący wykład o tym, jak ktoś taki jak ja mógłby się wdrzeć do świata wydawniczego. Natomiast to, co powiedział Bready, sprowadzało się do stwierdzenia, że lepiej kupić kupon lotka i modlić się o sukces. Właściwie to niemal użył tych słów. Powiedział: „Nie miejcie zbyt wysokich oczekiwań. Poślijcie rękopis do wydawnictwa, a potem kupcie kupon lotka. W loterii macie większe szanse”.

Jednak swój spektakularny sukces przypisał nie szczęściu, ale wytrwałości, ciężkiej pracy i ogromnemu talentowi. (O dziwo nie wspomniał o uroku osobistym ani skromności). A mówiąc poważnie, miałam wrażenie, że wygłaszał ten sam tekst, którego użył, flirtując ze mną, z tą różnicą, że tym razem przed osiemdziesięcioma osobami, z których większość w widoczny sposób źle reagowała na jego zarozumialstwo. Kilka osób wyszło, zanim skończył mówić.

Pożyteczna, choć zniechęcająca wiedza, jaką wyniosłam z jego występu, sprowadzała się do tego, że znalezienie wydawcy to dopiero początek. „Zdobycie wydawcy to jak ubieganie się o kwalifikację na igrzyska

olimpijskie – powiedział Bready. – Nadal musicie rywalizować, ale tylko garstka zawodników zdobędzie medale”.

Mniej więcej w połowie prelekcji dojrzał na widowni Samanthę i mnie i zaczął kierować swoje uwagi niemal wyłącznie do nas. To była prawdziwa męczarnia. Nigdy bardziej nie cieszyłam się z upływu czasu jak podczas tej prelekcji i gdy tylko Bready skończył, natychmiast wybiegłyśmy, aby nie zdążył nas dopaść.

\*

Gdy znalazłyśmy się na zewnątrz, Samantha powiedziała:

– Gdyby ego można było przeliczyć na pieniądze, ten facet byłby w stanie spłacić zadłużenie Trzeciego Świata.

Roześmiałam się.

– Przepraszam, że cię na to namówiłam. Powinnyśmy były pójść na zajęcia z interpunkcji.

– Ale ja nie żałuję – powiedziała Samantha. – To było pouczające. Dużo się dowiedziałam.

Popatrzyłam na nią z powątpiewaniem.

– Serio? Czego się dowiedziałaś?

– Tego, że niektórzy ludzie żyją po to, aby pozbawiać nadziei tych, którzy mają marzenia. Po wspięciu się na szczyt przecinają linę.

– Może masz rację – stwierdziłam. – Choć nie powiedziałabym, że Bready osiągnął szczyt.

– Na pewno szczyt swoich możliwości – stwierdziła Samantha. – To gdzie teraz?

– Ty wybierasz. – Wyjęłam plan zajęć. – Mamy trzy możliwości. Pierwsza: *E-lektrycznie. Jak rozpaścić Internet swoim e-bookiem.*

- Byłoby warto to wiedzieć.
- *Jak zarobić sześciocyfrowe honorarium przy czterocyfrowych wynikach sprzedaży: Jak prowadzić luksusowe życie, nie będąc autorem z czołówki list bestsellerów.*
- Nuda.
- I jest jeszcze *Jak przywołać wenę.*
- O, to coś dla mnie – ucieszyła się Samantha.
- Pomyślałam to samo. Chodźmy zatem dowiedzieć się, jak przywołać wenę.

## Rozdział 17

*Dziś wieczorem zjadłam kolację z Zekiem. Mogłabym przysiąc, że skądś go znam.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Przesłanie wykładu o braku weny sprowadzało się do stwierdzenia, że nie ma uniwersalnego leku na jej brak i każdy piszący sam musi odkryć, co mu pomaga – co doprowadziło mnie do wniosku, że nie było sensu przychodzić na tę prelekcję.

Dowiedziałam się jednak jednej wartościowej rzeczy. Czasami pomaga chodzenie. Thoreau wierzył, że nogi są połączone z mózgiem. Postanowiłam zatem chodzić.

Po zajęciach wróciłam do swojego pokoju, aby położyć się i odpocząć przed kolacją. Kilka minut leżałam na wznak, po czym obróciłam się na bok i spojrzałam na swój rękopis.

– *Obietnica pod jemiolą* – powiedziałam na głos. – Autorstwa Kimberly Rossi. Bestsellerowej pisarki w rankingu „New York Timesa”. – Jęknęłam. – Już to widzę!

Byłam ciekawa, czy Zeke skrytykuje moją książkę.

\*

Kilka minut przed siódmą poprawiłam włosy i odświeżyłam makijaż, po czym wzięłam rękopis i poszłam do holu. Zeke już na mnie czekał w jednym



z foteli obciągniętych gniecionym aksamitem. Wyglądał na jeszcze przystojniejszego niż w południe. Gdy weszłam, wstał.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałam, podchodząc.

– Jak było na pozostałych zajęciach? Dowiedziałaś się czegoś?

– Owszem. Tego, że Bready to szuja.

Zeke uśmiechnął się.

– Sama widzisz, jakie to przydatne słowo.

Jadalnia była zatłoczona i na wolny stół czekała długa kolejka. Gdy weszliśmy, hostessa uśmiechnęła się do nas.

– Dobry wieczór, panie Faulkner. Proszę tędy.

Zeke zarezerwował mały stół w tylnej części sali przy oknie. Na obrusie stały kryształowe kieliszki i zapalona świeca. Zeke odsunął moje krzesło, co mnie zaskoczyło. Nie byłam przyzwyczajona, by oprócz mojego ojca inny mężczyzna zachowywał się wobec mnie jak dżentelmen.

– Słyszałem, że *tourtière* jest bardzo smaczne. – Spojrzał na mnie. – Nie jesteś wegetarianką?

– Nie. A co to takiego to *tourtière*?

– Kanadyjska zapiekanka mięsna z pokrojoną w kostkę wieprzowiną, cielęciną lub wołowiną. Tutejszy szef kuchni powiedział mi, że dla wzmocnienia smaku dodaje również dziczyzny.

– Brzmi interesująco – przyznałam. – Nie na tyle, by zamówić, ale interesująco.

Uśmiechnął się.

– Vermont jest znany z oryginalnego jedzenia. Ser Bonne Bouche, marynowane fasolki, pastorały paproci, chleb Anadama.

– Nie znam żadnej z tych rzeczy.

– Ja też nie, ale wszystkich spróbowałem. Nie można źle trafić, smakując nabią z Vermontu. Zwłaszcza z serami.

– Uwielbiam sery – powiedziałam.

Na przystawkę oboje zjedliśmy ser z kiełbaską z kaczki i polentę kukurydzianą, po czym Zeke zamówił butelkę wina. Jako danie główne zamówiłam gnocchi z kozim serem z dodatkiem pomidorów i orzeszków piniowych, natomiast Zeke zdecydował się na dorsza z Gloucester.

– Opowiedz mi o sobie – zaproponował po złożeniu zamówienia.

– A co byś chciał wiedzieć?

– Zacznijmy od początku. Zawsze mieszkałaś w Kolorado?

– Nie, dorastałam w Las Vegas.

– Vegas. Więc karty to twój żywioł?

– Nie. Nie uprawiam hazardu. – I dodałam: – A przynajmniej nie gram na pieniądze.

– Co cię zaprowadziło do Kolorado?

– Marcus, mój były. Dostał posiadłość w Boulder.

– A czym się zajmował?

– Był profesorem historii. Ale teraz sam jest historią.

Zeke uśmiechnął się.

– Zabrzmiało jak słowa piosenki country. Więc się wam nie powiodło.

– Nie powiódł się rejs Titanica. Moje małżeństwo to była katastrofa.

Parsknął śmiechem.

– Chcesz poznać tę historię?

– Uwielbiam dobrą anegdotę – powiedział. – Jeśli masz chęć się nią podzielić.

– Dlaczego nie? Po około trzech latach naszego niezbyt szczęśliwego małżeństwa Marcus przyjął propozycję pracy w Kolorado. Pomyślałam, że to

dobrze wpłynie na nasz związek, jednak dwa lata później został złapany podczas prowokacji policyjnej. Jak się okazało, był „romantycznie” związany z kilkoma studentkami. Stawiał dobre stopnie za... względy.

– Co nadaje zupełnie nowe znaczenie terminowi „zajęcia pozalekcyjne” – powiedział Zeke z rozbawieniem. I zaraz dodał: – Przepraszam, nie powinienem z tego żartować. To jest okropne.

– Było.

Zmarszczył brwi.

– Czy ta sprawa trafiła do ogólnokrajowych mediów?

– Niestety tak.

– Chyba o tym czytałem. Współczuję.

– A potem, jakbym nie dość została upokorzona, zostawił mnie dla jednej ze swoich studentek. A właściwie dla dwóch. I koniec końców to ja zostałam sama.

Zeke potrząsnął głową.

– Naprawdę okropne.

– Samantha uważa, że to dobry materiał na romans.

– Chyba raczej na horror – stwierdził Zeke.

– Powiedziałam jej to samo. Zwłaszcza jeśli w prologu opisałabym swoje dwa nieudane związki przed Marcusem. Jeden narzeczony porzucił mnie przed ołtarzem, drugi podpisał kontrakt z Orlando Magic i zerwał nasze zaręczyny SMS-em.

– Miał chłopak klasę – ironicznie skwitował Zeke. – Może go znam?

Przypomniałam sobie, że Zeke mieszka na Florydzie.

– Możliwe. Danny Iverson.

Zeke pokręcił głową.

– Niestety nie.

– To było jakiś czas temu – powiedziałam. – Grał tylko dwa sezony i potem jego kariera się skończyła.

– Dopadła go karma – stwierdził Zeke.

Patrzyłam na niego przez chwilę.

– Wiedząc, jakie mam doświadczenia, pewnie się dziwisz, że chcę być autorką romansów.

– Skądże. Jest to jak najbardziej sensowne.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Bo to jest tak. Mam dwóch braci, Matthiasa i Dominica. W młodości obaj chcieli grać na pianinie. Choć Matthias był starszy, Dominic miał wrodzony talent i potrafił grać ze słuchu. Kiedyś siedzieliśmy i słuchaliśmy radia, gdy puścili nową piosenkę Billy’ego Joela. Nosiała tytuł *Vienna* i pochodziła z albumu *Stranger*. Gdy się skończyła, Matthias powiedział: „Ciekawe, czy mają do niej nuty”.

Dominic podszedł do pianina i zagrał tę piosenkę bezbłędnie. Ani razu nie słyszałem, aby ćwiczył. Po prostu nie musiał.

Matthias był jego przeciwieństwem. Wstawał godzinę wcześniej niż reszta rodziny, aby ćwiczyć na pianinie. Słuchanie jego gry nie było przyjemne, bo zwykle po trzydziestu sekundach zaczynał fałszować. Nigdy się jednak nie poddawał. Codziennie siadał do pianina i walił w klawisze, jakby rzeźbił posąg. Nigdy nie dorównał Dominicowi, ale po jakimś czasie Dominic stracił zainteresowanie i przestał grać. A Matthias uczy dziś muzyki na uniwersytecie i co niedzielę gra w dużym kościele metodystów.

Zeke wpatrywał się intensywnie w moje oczy.

– Rozumiem, dlaczego piszesz. Rzeczy, które nam łatwo przychodzą, nie cenimy tak bardzo jak tych, na które musimy ciężko zapracować. Myślę, że to samo dotyczy miłości.

Nikt, łącznie ze mną, nigdy nie rozumiał mojego marzenia. Przez chwilę

nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu zapytałam:

– A ty? Jesteś żonaty?

Przez jego twarz przemknął cień.

– Byłem. Siedem lat.

– Byłeś. Brzmi niedobrze. Co się stało?

– Zostawiła mnie.

– Dlaczego?

– To jest pytanie.

– Przyjąłbyś ją z powrotem, gdybyś mógł?

– Nie ma takiej możliwości, ale tak, przyjąłbym.

Wyczułam, że nie chce rozmawiać na ten temat.

– Współczuję.

– Takie jest życie – powiedział. Zacerpnął głęboko powietrza. –

Wróćmy do ciebie. Masz rodzeństwo?

– Nie. Byłam jedynaczką.

– Twoi rodzice nadal mieszkają w Vegas?

– Tylko ojciec. Mama umarła, kiedy byłam dzieckiem.

– A co się stało?

– Miała raka piersi – skłamałam.

– Współczuję. Ile miałaś wtedy lat?

– Jedenaście.

– Bardzo ci współczuję. Jesteś blisko z ojcem?

– Jest moim najlepszym przyjacielem. – Ku swojemu zdziwieniu poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. – Przepraszam. Tata ma nowotwór.

– To bardzo przykre – powiedział Zeke. – Musi to być dla ciebie szczególnie trudne, bo z tego samego powodu straciłaś mamę.

Nic nie powiedziałam.

– Jaki to rodzaj nowotworu? – zapytał.

– Jelita grubego.

– Którego stopnia?

– Trzy A.

Nieznacznie skinął głową.

– W takim razie nadal ma duże szanse.

Zdziwiło mnie, że się orientuje.

– Tata też tak mówi.

– Jest pod dobrą opieką?

Pokręciłam głową.

– W tej sprawie się nie zgadzamy. Tata walczył w Wietnamie, więc jeździ do szpitala dla weteranów. Ja natomiast uważam, że tamtejsza opieka nie jest zbyt dobra. Tata potrzebuje operacji i chemioterapii, ale szpital może go przyjąć dopiero w lutym.

– Dlaczego taki odległy termin?

– O to samo zapytałam tatę, ale zbył mnie, mówiąc: „Po prostu tak jest”. Jak na ironię Las Vegas ma jeden z najlepszych ośrodków onkologicznych w kraju.

– Klinikę Hendersona – powiedział Zeke.

Przyjrzałam mu się uważniej.

– Skąd wiesz?

– Lata temu robiłem z nimi interesy – wyjaśnił. – To supernowoczesny szpital. Mają najwyższy na świecie wskaźnik wyleczeń.

Pokiwałam głową.

– Też o tym słyszałam. Bardzo bym chciała, aby tata tam się udał. Ale nigdy tego nie zrobi.

– Dlaczego nie?

– Nie ma zamiaru wydawać pieniędzy. Raczej umrze, niż wyda pieniądze, które chce mi zostawić. – Nagle poczułam złość. – Jest taki uparty. Zapłacił z góry za mój udział w tej konferencji, a potem powiedział mi, że muszę jechać. Zaznaczył, że byłby zawiedziony, gdybym nie skorzystała.

– To, czy tata jest zawiedziony, ma dla ciebie znaczenie?

– Tak, oczywiście. Całe życie poświęcił dla mnie. Jest moim bohaterem.

Ku memu zaskoczeniu Zeke też się wzruszył.

– Dlaczego było to takie ważne dla twojego ojca, abyś tu przyjechała?

– Wie, że marzę, aby zostać pisarką, więc mu na tym zależy. Ale teraz mnie na tym zależy głównie ze względu na niego.

– Rozumiem, dlaczego ojciec jest twoim bohaterem – powiedział Zeke. W zamyśleniu upił łyk wina. Gdy odstawił kieliszek, zapytał: – Tata myśli, że umrze?

Przemknęło mi przez głowę, że to dziwne pytanie.

– Nie.

– W takim razie prawdopodobnie nie umrze.

– Dlaczego tak mówisz?

– To tylko teoria, ale uważam, że wiemy, kiedy nadchodzi nasza pora. Może to bardziej kwestia przyczyny i skutku, ale myślę, że przeczuwamy, kiedy zbliża się nasza śmierć. Oczywiście nie zawsze. Ale czasami na pewno tak. Słyszałem przynajmniej z tuzin historii o ludziach, którzy nagle uporządkowali swoje sprawy, a potem nieoczekiwanie umarli, na przykład wskutek wypadku samochodowego.

Zastanowiłam się nad jego stwierdzeniem.

– W przypadku taty trudno stwierdzić – powiedziałam. – Jest weteranem wojennym. Myśli, że jest niezniszczalny.

Zeke pokręcił głową.

– Żaden ze znanych mi weteranów wojennych nie uważa się za niezniszczalnego. Nie po tym, co widzieli.

Znowu zrobiło mi się smutno i musiałam otrzeć łzy serwetką.

– Możemy rozmawiać o czymś innym?

– Oczywiście. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Dziękuję, że zapytałeś o tatę.

Zamilkliśmy. Po chwili Zeke zapytał:

– Kiedy stwierdziłaś, że chcesz być pisarką?

– Miałam niecałe dwadzieścia lat. Nie przesadziłam, mówiąc, że to dzięki Cowellowi zapragnęłam pisać. Byłam wtedy w naprawdę trudnym okresie życia. Miesiąc po zerwaniu pierwszych zaręczyn zobaczyłam w księgarni *Toskańską obietnicę*. To była pierwsza powieść Cowella, którą przeczytałam. Była to również pierwsza książka, dzięki której poczułam się kochana. Nie miałam pojęcia, jak to się stało. Pomyślałam, że to duchowa alchemia, która zamienia słowa drukowane w uczucia. Coś bardzo podobnego do czarów. Zapragnęłam zostać takim czarodziejem.

Zeke przyglądał mi się w zamyśleniu.

– Nigdy nie słyszałam, aby ktoś podał piękniejszy powód, by zostać pisarzem. Masz duszę poety.

– Dziękuję. Czytałaś tę książkę?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Dawno temu. Ale szczerze przyznaję, że nie pamiętam z niej zbyt wiele.

– Ja głównie pamiętam, jak się czułam podczas lektury. – Wypuściłam powietrze z płuc. – A ty? Kiedy poczułeś, że chcesz być pisarzem?

– Miałem czternaście lat, a książka nosiła tytuł *Hobbit*. Po raz pierwszy książka przeniosła mnie do innego świata. Tak mi się spodobał styl fantasy,



że sam zacząłem pisać, i to codziennie. Dziś nazywamy to *fan fiction*. Pisałem o świecie, który stworzył Tolkien, z ogami, hobbitami i trollami. Byłem totalnym maniakiem. Ale dwa lata później zakochałem się po raz pierwszy w życiu i wszystko się zmieniło. – Uśmiechnął się szeroko. – Zupełnie jak wtedy, gdy dziecko po raz pierwszy czuje smak cukru. Odtąd mam słabość do słodyczy.

W tym momencie kelner przyniósł zamówione przez nas danie. Gdy zaczęliśmy jeść, zapytałam:

– Jak miała na imię? Twoja pierwsza miłość?

Uśmiechnął się nieśmiało, a ja pomyślałam, że wygląda uroczo.

– Linda Nash – odpowiedział z niemal nabożną czcią. – Miała długie blond włosy, niebieskie jak płyn Windex oczy i nosiła botki go-go.

– Botki go-go?

– Tak. – Roześmiał się i pokręcił głową. – Rany, jaki ja byłem zakochany! Nigdy wcześniej nie czułem takiego niepokoju, czegoś jak udręka i ekstaza jednocześnie. Wystarczyło, że na mnie spojrzała, i czułem pustkę w głowie.

– Odwzajemniała twoje uczucie?

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Byłem szczeniakiem. Nigdy jej nie powiedziałem, co do niej czuję. Jej ojciec był komiwojażerem i w następnym roku się wyprowadzili. Ale strzała Amora trafiła mnie celnie. Uczucie okazało się brzemienne w skutki, bo uświadomiło mi, że wszystkie historie w swej istocie to historie o miłości. Niezależnie od tego, czy chodzi o *Gwiezdne wojny*, czy *Na wschód od Edenu*.

Na początku rozpierała mnie taka energia, że pisałem listy miłosne, sonety, wiersze, same ckliwostki, rzeczy, które nie miały być wydane, ale po prostu pisałem dla samej radości pisania. Zakochałem się w zakochaniu się.

– Większość mężczyzn jest inna.

– Prawdopodobnie jest ich więcej, niż myślisz. Tylko nie używają języka kobiet, by to wyrazić.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. To właśnie dlatego chciałeś pisać romanse?

– Możliwe – odparł.

– Możliwe?

– Na jednej z konferencji pewien pisarz powiedział mi, że jako szesnastolatek chodził kiedyś po centrum handlowym i zobaczył, jak mężczyzna podpisuje książki, a przed nim czeka długa kolejka kobiet. Chłopak pomyślał wtedy, że jeśli chce zdobyć dziewczynę, to nie ma lepszego sposobu, niż zostać autorem romansów. Mądry facet, pomyślałem. W jakiej innej sytuacji kobiety spragnione romansu ustawiałyby się do mnie w kolejce? Oczywiście muzycy wpadli na to już tysiące lat temu.

– Więc to był prawdziwy powód, dla którego chciałeś zostać pisarzem? Aby poznawać kobiety?

Na jego ustach drgał uśmiech.

– Na jakimś głębokim, pierwotnym poziomie, znacznie głębszym, niż miałbym ochotę to przyznać, taka jest prawda. Myślę, że Freud potwierdziłby, że to pragnienie leży u podstaw wszystkich męskich przedsięwzięć.

– Mężczyźni są żałośni – stwierdziłam.

– A kobiety noszą buty na wysokich obcasach. Ciekawe dlaczego?

– Aby zagrać na żalostnej naturze mężczyzn.

– To kto jest bardziej żalostny, ćpun czy diler?

– Oto jest pytanie, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał. Popatrzył mi w oczy. – Bardzo się cieszę, że

cię poznałem.

– Ja też się cieszę, że cię poznałam.

Po chwili podjął:

– Wracając do twojego pytania: dlaczego chcę być pisarzem? Pomijając pierwotne instynkty, zacząłem pisać, ponieważ nie jestem wystarczająco bezwzględny, by zarządzać korporacją z listy 500 magazynu „Fortune”, nie jestem wystarczająco przystojny, aby zostać aktorem albo modelem, nie umiem śpiewać i nie mam warunków fizycznych, aby zostać zawodowym sportowcem. Ale w dziesiątej klasie wygrałem konkurs pisania kreatywnego, więc zdecydowałem się wykorzystać swoją mocną stronę.

– Nie zgadzam się z tobą w kwestii wyglądu. Z całą pewnością jesteś wystarczająco przystojny, aby zostać aktorem albo modelem.

– Starasz się być miła.

– Staram się być szczerą. Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, pomyślałam: szalowy facet.

– To było przed czy po twoim upadku na głowę w fitness klubie?

– Nie upadłam na głowę i pomyślałam tak o tobie wcześniej. I dziękuję za przypomnienie, że pierwsza myśl, jaka ci przysłała do głowy na mój temat, to taka, że jestem łamagą.

– Pomyślałem, że mnie podrywasz.

– Niemal się zabijając? Serio?

– Każdy autor romansów wie, że okazywanie słabości to potężny wabik. W dawnych czasach kobiety upuszczały chusteczkę. Ty upuściłaś ręcznik.

– Upuściłam całe swoje ciało.

– Jeszcze lepiej – stwierdził. – To politycznie niepoprawna poza na dziewczwoję w opałach.

Roześmiałam się.

– I co po tym, jak postanowiłeś zostać pisarzem?

– Skończyłem anglistykę i przez sześć lat uczyłem angielskiego w liceum, po czym zająłem się handlem nieruchomościami.

– I podoba ci się to zajęcie?

Wzruszył ramionami.

– Łatwiej opłacić rachunki niż z pensji nauczyciela.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– A teraz chwila prawdy. Mogę zobaczyć twoją książkę? – zapytał.

To dziwne, ale zapomniałam, że przyniosłam swój rękopis. Nachyliłam się i podniosłam go z podłogi.

– Trudno mi uwierzyć, że zdobywam się na taką odwagę. A kiedy będę mogła przeczytać twoją powieść?

– Wkrótce – odparł. Wziął ode mnie rękopis i od razu zaczął go czytać.

– Nie czytaj teraz – powiedziałam. – Będę się czuć skrępowana.

Podniósł wzrok.

– Ktoś już to czytał?

– Nie licząc mojego ojca i wydawcy, który ją odrzucił, jesteś pierwszym czytelnikiem.

– To zaszczyt. Obiecuję, że będę łagodnie krytykował i wylewnie chwalił.

– Chcę tylko wiedzieć, czy jest coś warta. Albo czy mam przestać pisać.

– Te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego – powiedział. – Jeśli pisanie sprawia ci przyjemność, powinnaś pisać, niezależnie od tego, czy komuś to się podoba, czy nie. – Spojrzał na rękopis. – *Obietnica pod jemiółką*. Nadałaś tytuł w związku z tą konferencją?

– Nie. To zbieg okoliczności. Tytuł wymyśliłam ponad dwa lata temu. Co o nim sądzisz?

– Uważam, że jest intrygujący. – Odłożył rękopis na bok. – Masz ochotę na deser?

– Nie dzisiaj.

Upił łyk wina i powiedział:

– Nie mogę się doczekać, by zacząć czytać twoją książkę. Pójdziemy już?

Zeke zapłacił rachunek i wyszliśmy do holu.

– Na którym piętrze masz pokój?

– Na parterze. W tym korytarzu.

– Mogę cię odprowadzić do pokoju?

– Tak, będzie mi miło.

Przeszliśmy krótkim korytarzem i zatrzymaliśmy się przed drzwiami mojego pokoju.

– Zajmujesz 101?

– Tak, a co?

– To Orwellofskie. I dziwnie ironiczne. W *Roku 1984* pokój 101 to sala tortur w Ministerstwie Miłości, którego ludzie boją się najbardziej.

– Tortury w Ministerstwie Miłości?

– To nowomowa – wyjaśnił. – Jak w dzisiejszej Ameryce. Czytałaś książkę?

– W gimnazjum, ale najwyraźniej wszystko zapomniałam. – Wyjmując klucz, powiedziałam: – Zaczynam się bać. Mam tylko nadzieję, że za bardzo nie skrytykujesz mojej książki.

– Na pewno nie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Przeczytałem pierwszy akapit.

– Potrafisz ocenić książkę po pierwszym akapicie?

– Nie. Ale potrafię ocenić pisarza po pierwszym akapicie.

Przechyliłam głowę.

– Jesteś bardzo pewny siebie jak na niepublikowanego pisarza.

Uśmiechnął się.

– Nie trzeba być kucharzem, aby wiedzieć, czy jedzenie jest smaczne.

– *Touché.*

– Obiecuję ci dwie rzeczy. Po pierwsze, że ocenę wydam dopiero, gdy przeczytam całą książkę. Po drugie, że będę z tobą całkowicie szczerzy.

– Dziękuję. – Zastanowiłam się nad tym, co powiedział, i dodałam: – Nie jestem pewna, czy tego chcę.

– Zaufaj mi. Chcesz – powiedział. – I pamiętaj, że obiecałem ci też, że potraktuję cię łagodnie.

– Trzymam cię za słowo.

Spojrzał mi w oczy i powiedział cicho:

– Dziękuję za wspólną kolację. Jesteś urocza.

Poczułam się trochę nieswojo.

– Dziękuję. Ty też.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Lepiej już pójdę. Pewnie spędzę całą noc na czytaniu. – Zapadła krępująca cisza i liczyłam, że mnie pocałuje, ale tylko wyciągnął do mnie rękę. – Dobranoc.

Uścisnęłam jego dłoń, starając się ukryć rozczarowanie.

– Dobranoc. Do jutra.

Z moim rękopisem w dłoni odwrócił się i odszedł. Weszłam do pokoju i położyłam się na łóżku. Jesteś urocza. Dziękuję. Ty też? Bezsens, pomyślałam. Potem powiedziałam na głos:

– Proszę, polub mnie mimo wszystko.

Nie mogłam uwierzyć, że poznałam go zaledwie rano.

Przypomniałam sobie zdanie z jednej z książek Cowella: „Miłość chodzi na skrót”. Na pewno to mi się właśnie przydarzyło. Potem przysła mi do głowy dziwna myśl: czy rzeczywiście istnieje coś takiego jak bratnia dusza? Jeśli nie, dlaczego czuję, jakbym już kiedyś spotkała Zeke’a?

## Rozdział 18

*Czuję się, jakbym stanęła na skraju urwiska.*

*Z dziennika Kimberly Rossi*

Nazajutrz Zeke nie przyszedł do fitness klubu i pomyślałam, że może rzeczywiście czytał moją książkę przez całą noc. Odżyły moje lęki. A jeśli mu się nie spodobała i celowo mnie unika? Pokręciłam głową. Dlaczego zawsze torturuję się najgorszym z możliwych scenariuszy?

Po ćwiczeniach udałam się do jadalni. Spóźniłam się i Samantha już nie było, wzięłam więc banana i jogurt i wróciłam do swojego pokoju, aby przygotować się do zajęć. Godzinę później weszłam do sali, spodziewając się, że zastanę w niej Zeke'a, ale go nie było. Nie zjawił się też, gdy koordynatorka zaczęła warsztaty.

– Kogo to dzisiaj brakuje w naszych szeregach? – zapytała Karen, patrząc na listę. – Zeke jest nieobecny bez usprawiedliwienia. Kto jest z nim w parze?

Niemal wszyscy spojrzeli na mnie.

– Ja – odparłam, nieznacznie podnosząc rękę. – Ale nie widziałam go dziś rano.

– Dzisiaj czytamy teksty, więc musisz się przyłączyć do innej grupy.

– Możesz być z nami – zaproponowała Heather.

Zmusiłam się do uśmiechu wdzięczności.



– Dzięki.

Nie miałam czego czytać. Przywiozłam tylko trzy egzemplarze swojej książki, dwie dla agentów, a trzecią pożyczyłam Zeke’owi, więc przez całe zajęcia słuchałam, jak Heather i jej pisarska koleżanka, osiemdziesięcioletnia pani, czytają rozdział za rozdziałem najbardziej mdłe historie miłosne, jakie zostały kiedykolwiek napisane, i udawałam zainteresowanie. Gdy warsztaty się skończyły, poczułam wielką ulgę.

Po wyjściu z sali zobaczyłam Samanthę. Krzywiła się z obrzydzenia.

– Nie masz pojęcia, jak nie znoszę swojej grupy. Daję słowo, że wszyscy są świrami.

– A to dlaczego?

– Przez całe zajęcia spierali się, kto lepiej całuje, wampir czy wilkołak. W końcu doszli do tego, że wampir ma dobre, ssące usta, natomiast wilkołak jest bardziej zwierzęcy. – Wypuściła powietrze z płuc. – A ty co myślisz?

Starałam się nie uśmiechnąć.

– Uważam, że wszystko sprowadza się do tego, czy lubisz owłosionych mężczyzn, czy gładko wygolonych.

– Słusznie – przyznała. – Szkoda, że tego nie powiedziałam. Walter w ogóle nie jest owłosiony. Moja pisarska koleżanka jest bardziej owłosiona od niego.

– Przecież to kobieta.

– No właśnie – powiedziała. – Brakowało mi cię podczas śniadania.

– Przepraszam. Byłam spóźniona, więc wzięłam sobie coś do pokoju.

– Przyszło mi do głowy, że może uciekłaś z Clooneyem.

– Skądże. Nawet nie wiem, gdzie on dzisiaj jest. Nie przyszedł na warsztaty.

– Nie pojawił się na zajęciach?

– Nie.

– Ale wczoraj jadłaś z nim kolację?

– Zgadza się.

– I jak było?

– Miło.

– Ale „miło” jak z facetem witającym klientów w Walmarcie czy jak z Bradem Pittem?

– O co ci chodzi?

– Zapytam wyraźnie. Czy. Jesteś. Zakochana?

Wpatrywałam się w nią.

– Poznałam go zaledwie wczoraj – odparłam w końcu.

– I chcesz przez to powiedzieć...

– Chcę przez to powiedzieć, że poznałam go zaledwie wczoraj.

Pokręciła głową.

– Bądź poważna, jesteś autorką romansów. Jeśli nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, to równie dobrze możesz przestać pisać. Dałaś mu swoją książkę?

– Tak.

Uśmiechnęła się triumfująco.

– Wiedziałam!

– Co takiego wiedziałaś? Przecież jest moim pisarskim kolegą. Na tym to polega.

– Dać mu swoją książkę to tak, jakby stanąć przed nim nago.

– Nie stanęłam przed nim nago.

– To już twój problem.

Pokręciłam głową.

– Doprowadzisz mnie do szaleństwa – powiedziałam. – Chodźmy. Zaraz

zaczyna się prelekcja o roli mężczyzn i kobiet we współczesnym romansie.

– Świetnie. Zdecydowanie powinnaś jej wysłuchać.

\*

Choć nie chciałam tego przyznać, Samantha miała rację w dwóch sprawach. Po pierwsze, czułam tak typowe dla zakochanych motylki w brzuchu. Po drugie, pożyczając książkę Zeke'owi, rzeczywiście czułam się obnażona, bezbronna i niepewna. Żałowałam, że to zrobiłam. I wcale nie wyczekiwałam jego recenzji.

## Rozdział 19

*Kiedy słuchałam dzisiejszej prelekcji o roli płci, przypominałam sobie cytaty z Camille Paglii:  
„Płcią dominującą jest kobieta. Mężczyźni muszą dokonywać najróżniejszych rzeczy, aby  
udowodnić, że są warci jej zainteresowania”. Szkoda, że moje życie świadczyło o czymś zgoła  
przeciwnym.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Prelekcja o roli płci okazała się bardziej interesująca, niż się spodziewałam. Prowadząca zakwestionowała założenie, że powieść romantyczna powinna opowiadać o bezradnych kobietach i dominujących mężczyznach. Stwierdziła, że w prawdziwym romansie to kobieta podbija i poskramia mężczyznę, odsłaniając jego słabe punkty. Zacytowała słowa pisarki Jayne Ann Krentz: „(...) kobieta zawsze zwycięża. Odwagą, inteligencją i łagodnością sprowadza najniebezpieczniejsze stworzenie na ziemi, mężczyznę, na kolana”.

Żałowałam, że moje życie świadczyło o czymś przeciwnym. Tak się składało, że to ja zawsze byłam stroną pokonaną.

Zjadłam lunch z Samanthą, po czym wróciłam do swojego pokoju, aby odpocząć przed następnym wykładem. Zauważyłam, że w moim telefonie miga dioda poczty głosowej.

„Cześć, Kim, tu Zeke. Przykro mi, że się nie spotkaliśmy. Jeśli nie masz innych planów, chciałbym znowu zjeść z tobą kolację. Możesz zadzwonić do mojego pokoju, ma numer... – Zawahał się. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy ten pokój ma numer. W takim razie zadzwoń do hotelowej centrali

telefonicznej i poprosił o połączenie ze mną. Cześć”.

Nacisnęłam zero na klawiaturze telefonu. Odezwała się telefonistka:

– Czym mogę służyć, pani Rossi?

– Czy mogłaby pani połączyć mnie z Zekiem Faulknerem?

– Zna pani numer jego pokoju?

– Niestety, nie.

– Chwileczkę. – Nastąpiła długa pauza. – Łączę. Miłego dnia.

Zeke odebrał po trzecim dzwonku.

– Słucham?

– Zeke? Tu Kim.

– O, fajnie, odsłuchałaś moją wiadomość. Dzięki, że dzwonisz.

– Oczywiście. Bardzo chętnie zjem z tobą kolację.

– Świetnie.

– Myślałam, że będziesz na dzisiejszych warsztatach. Pracowałeś?

– Nie, zostałem w pokoju i czytałem twoją powieść.

– Naprawdę?

– Przecież powiedziałem, że tak zrobię. Już ją kończę. A co robisz przed kolacją?

– Idę z Samanthą na wykład Catherine McCullin.

– Widziałem, że przyjechała. Mogę się do was podczepić?

– Jasne. Do zobaczenia w holu.

\*

Wystąpienie Catherine McCullin było ostatnim wydarzeniem popołudnia. Samantha czekała na mnie przed wejściem do sali balowej.

– Zarezerwowałam nam miejsca – oznajmiła.

– Dołączy do nas Zeke – powiedziałam. – Więc potrzebne nam będzie

jeszcze jedno.

– Znalazłaś Clooneya?

– Zadzwoił do mnie.

– Nie będzie problemu z krzesłami. Zarezerwowałam trzy.

– Dlaczego trzy?

– Nie chciałam, aby ktoś siedział obok mnie, ale Clooney jest okej – odparła.

– To może idź i usiądź, a ja tu zaczekam na Zeke’a.

– W porządku. Siedzimy w jednym z pierwszych rzędów, po lewej stronie.

– Jak zdobyłaś tak dobre miejsca?

– Jestem agresywna – rzuciła, wchodząc do sali.

Niecałą minutę później Zeke wysiadł z windy. Uśmiechnął się na mój widok.

– Hej, piękna! – Pocałował mnie w policzek. – Dzięki, że mogę się do was przyłączyć.

– Fajnie, że przyszedłeś. Samantha już jest w środku i pilnuje naszych miejsc. – Rozpaczliwie chciałam go zapytać, czy skończył moją powieść, ale postanowiłam poczekać, aż sam zacznie o tym mówić.

Gdy weszliśmy do sali, zapytałam:

– Czytałeś którąś z książek McCullin?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie przepadam za sfabularyzowanymi plotkami z Hollywood. Interesują mnie fakty, po co mi fabularyzowana wersja? A ty?

– Jestem tego samego zdania. Przeczytałam jedną z jej książek. Po kolejną już nie sięgnęłam.

Znaleźliśmy Samanthę w przedniej części sali i usiedliśmy.

– Wiedzieliście, że McCullin sprzedała ponad sto milionów egzemplarzy swoich książek? – zapytała. – Chcę być taka jak ona.

– Uważaj na to, czego sobie życzysz – powiedział cicho Zeke.

\*

Gdy McCullin weszła na podium, zerwały się huraganowe brawa. Swoje wystąpienie zatytułowała *Pięciogwiazdkowy styl życia autorki bestsellerów* i polegało ono głównie na rzucaniu znanymi nazwiskami i opowiadaniu plotek o celebrytach. Na koniec McCullin zaserwowała nam opowieść o swoich niebotycznych wydatkach, wśród których było laserowe strzyżenie włosów, za które zapłaciła dziesięć tysięcy dolarów, i warta dwieście osiemnaście tysięcy dolarów para szpilek z trzydziestokaratowymi brylantami. Opowiedziała też długą historię o tym, jak kiedyś kazała czyścicielowi basenu napełnić swoje jacuzzi wodą Perrier, ponieważ lubi czuć jej „łaskotanie na skórze”.

– Potrzeba było ponad dwóch tysięcy litrowych butelek – powiedziała. – Mój czyściciel wymiół perriery z każdego 7-Eleven, Safeway a i Walmartu pomiędzy Beverly Hills a Burbank.

Słuchacze wyglądali na rozbawionych anegdotami McCullin. Ja byłam poirytowana. Celebrytka czy nie, zmarnowała ponad sześć tysięcy dolarów na moczenie się w gorących bąbelkach, podczas gdy mój ojciec, który całe życie ciężko pracował, nie mógł sobie pozwolić na opiekę medyczną, jakiej potrzebował. Z każdą chwilą miałam coraz większą ochotę wyjść z sali. Zerknęłam na Zeke’a. On też nie wyglądał na zadowolonego.

Po zakończonym wystąpieniu światła pojaśniały, a McCullin pozostała na podium, gdzie otoczyli ją dziennikarze miejscowych gazet oraz uczestnicy konferencji pragnący zdobyć jej autograf.

– Żenada – stwierdził ze smutkiem Zeke.

Przyznałam mu rację skinieniem głowy.

Gdy przechodziliśmy przed podium, McCullin nagle obróciła się do nas i krzyknęła:

– Zeke, kochanie! Zadzwoń do mnie.

Zeke machnął zdawkowo ręką i przesuwał się dalej z wychodzącym tłumem. Spojrzałam na niego zdumiona. Gdy wyszliśmy, zapytałam:

– Znasz ją?

– Bardziej mi imponuje to, że ona zna jego – stwierdziła Samantha.

Zeke wyglądał na skрэpowanego.

– Właściwie to się nie znamy. Jakiś czas temu spotkaliśmy się na konferencji dla pisarzy. – Spojrzał na mnie. – To nic takiego.

Nadal byłam nieco oszołomiona.

– Spotkaliście się na konferencji dla pisarzy i ona cię pamięta?

– Widocznie trudno mnie zapomnieć.

– Widzieliście jej pierścionek z brylantem? – zapytała Samantha. – Zakrywał chyba ze trzy knykcie. Nie wiem, jak ona daje radę unieść rękę z takim kamieniem. – Zwróciła się do Zeke'a: – Mógłbyś mnie jej przedstawić?

– Wolalbym nie. Ona nie jest zbyt... serdeczna.

– Ale wobec ciebie była – zauważyła Samantha.

– Zeke miał na myśli mało znaczące osoby – powiedziałam.

Samantha zmarszczyła czoło.

– A co pan Niezapomniany sądzi o jej wystąpieniu? – zapytałam.

Zeke podrapał się po głowie.

– McCullin jest zajmującym mówcą, ale nie popieram pozbawionej sumienia ekstrawagancji. Na świecie są miliony ludzi, którzy nie mają dostępu do wody pitnej, a ona ze śmiechem opowiada o kąpieli w Perrier.



Ucieszyłam się, że Zeke ma odczucia podobne do moich.

– No właśnie! Buty za dwieście tysięcy dolarów? Opłaciłabym pobyt ojca w szpitalu. I jeszcze inne rzeczy.

– Wiem – powiedział Zeke.

– Myślisz, że ona rzeczywiście zrobiła to wszystko? – zapytała Samantha. Zeke pokiwał głową potwierdzająco.

– Tak. Jestem tego pewien.

\*

Przeprosiłam i poszłam do pokoju się odświeżyć, po czym dołączyłam do Zeke'a w poczekalni przed hotelową restauracją. Również i tym razem nie musieliśmy czekać na miejsca. Co więcej, dostaliśmy ten sam stół, co poprzedniego wieczoru.

– Dlaczego nie czekamy jak inni? – zapytałam.

– Dałam napiwek hostessie – odparł Zeke. – Na pewno nie zarabia dużo.

– Nie żebym narzekała – zastrzegłam.

Gdy odsuwał moje krzesło, powiedziałam:

– Jestem trochę zaskoczona, że Catherine McCullin cię zna.

– Ona zna mnóstwo ludzi.

– Ale poprosiła, abyś do niej zadzwonił, co znaczy, że myśli, że masz jej numer. – Spojrzałam mu w oczy. – Masz?

– Nie odpuścisz, co?

Pokręciłam przecząco głową.

– Kiedyś zjedliśmy razem kolację. Ale tak jak mówiłaś o jej książkach, był to pierwszy i ostatni raz.

– Jestem pod wrażeniem. Kryjesz w sobie więcej zagadek, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

– To dotyczy każdego człowieka – powiedział. – Książka zawsze kryje w sobie więcej niż jej okładka. Nawet zła książka.

– Jesteś złą książką? – zapytałam żartobliwie.

Ku memu zaskoczeniu Zeke spoważniał.

– Na półce są lepsze książki. – Wziął do ręki kartę dań. – Co zamawiasz?

Kilka minut później podszedł kelner i przyjął nasze zamówienia. Zdecydowałam się na sałatkę z łososiem, a Zeke wybrał rostbef z batatami.

Po odejściu kelnera pochyliłam się nad stołem.

– I co myślisz o mojej książce?

– Jeszcze jej nie skończyłem.

– Ale co sądzisz o tym, co dotąd przeczytałeś?

– Powiem ci dopiero, gdy przeczytam ostatnie słowo. Nie oceniałabyś *Pożegnania z bronią*, nie przeczytawszy ostatniej strony, prawda?

– Gdyby Hemingway zapytał mnie, co sądzę o pierwszym rozdziale, tobym mu odpowiedziała. Po prostu powiedz, czy podoba ci się to, co dotąd przeczytałeś.

– Powiem ci jedno. Na pewno potrafisz pisać. I to wszystko, co mam do powiedzenia w tej chwili.

Nabrałam głęboko powietrza.

– Zgoda. – Upiłam łyk wina. – Przyszła mi dziś do głowy następująca myśl. Tutaj jest ponad stu pisarzy. W kraju organizuje się pewnie ponad sto takich szkoleń. Domyślam się, że mniej niż jeden pisarz na dziesięć tysięcy uczestników będzie w stanie utrzymać się z pisania, co oznacza, że większe szanse mamy w kasynach Las Vegas.

– Raczej mało optymistyczna myśl – stwierdził Zeke.

– Po prostu jestem realistką – odparłam. – A jeśli to, co piszemy, nigdy nie zostanie wydane?

Na twarzy Zeke'a pojawił się wyraz nadmiernej powagi.

– Gdy pisarz napisze książkę, a ona nie zostanie nigdy wydana, to czy ta książka istniała?

– Pytałam poważnie. Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle zwracam sobie głowę pisaniem.

Zeke się zamyślił.

– John Updike powiedział kiedyś, że minął wiek herosów i bohaterskich władców. Życie większości z nas jest przyziemne i nieciekawe i rolą pisarza jest znaleźć sposoby, by odkryć w nim coś interesującego. – Spojrzał mi w oczy. – Pisanie to życie. Czasami to jedyna rzecz, jaka pozostaje po dawnych cywilizacjach. Wiesz, gdzie znaleziono najstarsze zapiski? Na skorupach żółwi. Chińczycy ryli historie na skorupach żółwi, po czym łupali je na kawałki dla celów wróżebnych. O ich wojnach i wyczynach dowiadujemy się właśnie z tych skorup. Z ich zapisków. Piszemy, więc istniejemy.

– Podoba mi się twój umysł – powiedziałam.

Pochylił się do przodu i uśmiechnął.

– Mnie też.

Kilka minut później nasz kelner przyniósł nam zamówione potrawy, które były pyszne, podobnie jak te, które jedliśmy poprzedniego wieczoru. Zabraliśmy się do jedzenia.

– Jest coś, nad czym się zastanawiam – powiedziałam po chwili.

Zeke podniósł wzrok znad talerza.

– Tak?

– Dlaczego wybrałaś mnie na swoją pisarską koleżankę?

– Już ci mówiłem. Uznałem, że twoja książka zapowiada się interesująco.

Liczyłam na coś innego.

– I to był jedyny powód?

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym odparł:

– Nie. Kiedy zobaczyłem cię w fitness klubie, miałem nadzieję, że przyjechałaś tu na konferencję. Chciałem poznać cię lepiej. Możesz nazwać to chemią.

– W szkole byłem dobra z chemii.

– Nie wątpię.

– A potem wylądowaliśmy w tej samej grupie – powiedziałam. – Miły zbieg okoliczności.

– To nie był zbieg okoliczności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przydzielono mnie do innej grupy. Przeniosłem się do C, bo ty w niej byłaś.

– Ale podobno organizatorzy na to nie zezwalają.

– Zapewne.

– Skłamałeś, mówiąc, że Jill przysłała cię do grupy C?

– Niezupełnie – odparł. – Uznałem, że Jill, jako przewodnicząca konferencji dla autorów romansów, jest zagorzałą zwolenniczką romansu, więc kiedy powiedziałem, że Jill chce, abym się znalazł w grupie C, mówiłem prawdę.

Roześmiałam się.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś!

– Ale jesteś zadowolona?

– Bardzo. – Nabrałam trochę sałatki, po czym powiedziałam: – Więc właśnie to się zaczyna? Romans?

Tylko się uśmiechnął.

Godzinę później zjedliśmy na deser tartę jabłkową. Gdy kończyliśmy, Zeke powiedział:

- Lepiej już chodźmy.
- Jest jeszcze wcześnie.
- Wiem, ale muszę skończyć twoją książkę.
- Pochlebia mi, że ją rzeczywiście czytasz.
- Łatwo się ją czyta.

Zmarszczyłam czoło.

- Chcesz powiedzieć, że jest zbyt prosta?
- Dobre pisanie jest proste. Hemingway napisał kiedyś: „Gdybym miał więcej czasu, napisałbym krótszą książkę”.

– A więc nie jest zbyt prosta.

– Nie. Nie jest. Tylko wybitny naukowiec potrafi wytłumaczyć laikowi skomplikowane teorie. Przystępność to prawdziwy geniusz.

– Jestem zdecydowanie przystępna.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Mam taką nadzieję.

## Rozdział 20

*Przypuszczam, że podobnie jak większość ludzi nie chcę usłyszeć prawdy. Chcę usłyszeć dobre rzeczy. Jeśli okażą się prawdziwe, tym lepiej.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Nazajutrz zjadłam śniadanie z Samanthą. Za oknami padał gęsty śnieg – tak gęsty, że część gości nie była w stanie opuścić hotelu. W efekcie w holu tłoczyli się niezadowoleni podróżni oraz sterty ich bagażu.

Zeke’a zobaczyłam dopiero na naszych warsztatach. Kiedy weszłam, siedział obok Karen i rozmawiał z nią. Na mój widok uśmiechnął się i ruchem dłoni wskazał mi miejsce obok siebie.

– Skończyłem twoją książkę – oznajmił. – Przeczytałem każde słowo.

Miał twarz doskonałego pokerzysty i nie potrafiłam stwierdzić, czy książka mu się podobała, czy nie.

– I?

– Porozmawiajmy o niej dziś wieczorem.

– Nie spodobała ci się.

– Nie mówmy o tym teraz – powiedział. – Masz ochotę na kolejną kolację?

– Zawsze mam ochotę na kolację.

– Jeśli pogoda się poprawi, moglibyśmy pojechać do miasta. Zaczynam się tu czuć jak w klatce. Byłoby miło wyrwać się stąd wieczorem.

– Myślałam dokładnie o tym samym.

\*

Z prelekcji wyszłam wcześniej. Prawdę mówiąc, wszyscy tak zrobili. Nosiła tytuł *Od Walmartu do Hollywoodu* i wygłosiła ją autorka bestsellerów Deborah Mackey. Wykład odbywał się przez Skype'a i prawdopodobnie z powodu pogody odbiór był zły jakości. W końcu koordynatorka przerwała połączenie i przeprosiła za usterki techniczne.

Wcale mnie to nie zmartwiło. Byłam zadowolona, że mam więcej czasu, by się przygotować do randki. Gdy weszłam do holu, Zeke już stał przy drzwiach frontowych. Znowu pocałował mnie w policzek.

– Wyglądasz szalenie – powiedział.

– Ty też.

– Gotowa do drogi?

– Tak. Umieram z głodu. Dokąd jedziemy?

– Kucharz polecił mi małą włoską restaurację w Burlington o nazwie L'Amante. Może być?

– Jak najbardziej.

– To dobrze. Samochód już czeka.

Gdy wyszliśmy z hotelu, śnieg nadal padał, choć już nie tak intensywnie jak wcześniej. Zeke wynajął mercedesa-benza z napędem na cztery koła. Otworzył przede mną drzwi, abym mogła wsiąść, po czym zajął miejsce za kierownicą.

– Zapnij pasy – powiedział. – Drogi są nadal śliskie.

Przeciągnęłam pas przez klatkę piersiową, a Zeke zapalił silnik i ruszyliśmy w zimową noc.

L'Amante znajdowała się o trzydzieści pięć minut jazdy od hotelu. Przypominała mi U Salvatore'a w Las Vegas.

Gdy usiedliśmy, zapytałam Zeke'a:

– Skąd wiedziałeś, że lubię włoską kuchnię?

– Widziałem, jak zamawiasz gnocchi – odparł. – I jesteś Włoszką. Rossi to włoskie nazwisko, prawda?

– Tak, znaczy „czerwony”.

– Wiem. Uczyłem się włoskiego, gdy spędzałem lato we Florencji. Myślałem o tym, by przenieść się tam na stałe. To było zaraz po tym, jak opuściła mnie żona, i potrzebowałem całkowitej zmiany otoczenia. Byłaś kiedyś we Włoszech?

– Nie. Rozmawialiśmy z ojcem o wyjeździe, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. – Spojrzałam na kartę dań. – Co zamawiasz?

– Kucharz polecał danie z orecchiette<sup>8</sup>, jeśli lubisz bakłażany.

– Nie znoszę ich.

– Więc nie zamawiaj orecchiette – powiedział.

Na początek Zeke zamówił butelkę drogiego chianti, talerz serów i salami, surówkę z rukoli z wiórkami pecorino, pieczonymi buraczkami, orzeszkami pinii i octem balsamicznym. Gdy tylko kelner się oddalił, przystąpiłam do ataku:

– I co myślisz o mojej książce?

– Napij się wina.

– Jest aż tak zła?

– Tego nie powiedziałem. – Napełnił mój kieliszek winem i zaczął, aż upiję łyk. – No dobrze, pora na moją recenzję. Mam dobrą wiadomość, dobrą wiadomość, dobrą wiadomość i małą złą wiadomość.

– Zacznijmy od tej złej.

– Dlaczego od złej?

– Taka już jestem. Najpierw zjedz paskudztwo, a deser zostaw sobie na później.



Kiwnął głową.

– W porządku. Zła wiadomość jest taka, że twoja książka nie nadaje się do publikacji.

Jego słowa były jak cios w brzuch. Na chwilę oniemiałam. Gdy odzyskałam głos, wykrztusiłam:

– I nazywasz to małą złą wiadomością?

– Zgadza się. Ponieważ dobra wiadomość jest taka, że masz dryg do dialogów, znakomicie panujesz nad tempem akcji i zdecydowanie umiesz budować zdania. Mówiąc inaczej, umiesz pisać. I to jest naprawdę dobra wiadomość, ponieważ ostatecznie albo ktoś słyszy muzykę, albo nie. Ty słyszysz.

Pewnie spodziewał się, że tą oceną zrekompensuje to, co powiedział wcześniej, ale ja w środku nadal się trzęsłam.

– Dobre jest też to – ciągnął – że masz wspaniały pomysł na książkę, o co znacznie trudniej, niż się wydaje większości ludzi. No i trzecia rzecz, twoją książkę da się poprawić.

Patrzyłam na niego z obolałym sercem i zranioną duszą.

– Stwierdziłeś, że nie nadaje się do publikacji – powiedziałam. – Co jest z nią nie tak?

Jego mina świadczyła o tym, że rozczarowałam go, skupiając się na tym, co negatywne.

– Okej. Widzę dwa problemy. Po pierwsze, nie piszesz romansu, tylko fantasy.

– Powiedziałeś, że fantasy to romans.

– Ale nie powiedziałem, że romans to fantasy.

– Czyli?

– Stworzeni przez ciebie ludzie nie są wiarygodni.

– Co jest nie tak z moimi postaciami?

– Właśnie o to chodzi – odparł. – Tworzysz postaci. A powinnaś tworzyć ludzi. A w rzeczywistym świecie nawet najlepsi ludzie mają wady. U ciebie ich nie mają. To samo dotyczy ich związków. Miłość wiąże się z cierpieniem i popełnianiem błędów. Dlatego tak nas fascynuje i dlatego chcemy czytać o miłosnych perypetiach. Ta cała bzdura, że „miłość jest wtedy, gdy nigdy nie musisz przeproszać” jest właśnie tym – bzdurą. Miłość to uczenie się, jak przeproszać. Właśnie dzięki próbom i błędom oraz poprawie jest cenna.

Patrzyłam na niego bez słowa.

– Ujmę to tak – ciągnął. – Miłość jest jak nauka tańca. Gdy dwoje ludzi słyszy pierwsze takty muzyki, ogarnia ich pasja i mają gdzieś, czy ktoś na nich patrzy, bo pragną tylko szaleć. Tańczą niezdarnie, źle stawiają kroki i upadają, a czasami nawet tańczą do innej melodii, ale tego nie zauważają, bo tak bardzo porywa ich muzyka.

Ale potem muzyka cichnie i zaczynają deptać sobie po palcach. Niektórzy myślą, że tak wygląda prawda o związku, i uciekają. Prawda jednak jest taka, że dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa miłość. Dopiero wtedy dwoje ludzi zaczyna się uczyć swoich rytmów i tego, jak się zgrać. I jeśli wytrwają wystarczająco długo, może nawet nauczą się tańczyć z gracją.

Po chwili powiedziałam:

– Żaden z moich tanecznych partnerów nie został wystarczająco długo, abym mogła się tego nauczyć.

– No właśnie. Potrzebny jest partner, któremu zależy na tańcu. Bez kogoś takiego niewiele da się działać.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i zastanowiłam się nad jego słowami. Nie miałam pojęcia, jak poprawić to, co zasugerował.

– Powiedziałeś, że są dwa problemy.

– Ten drugi jest poważniejszy.

Jakby ten pierwszy nie był wystarczająco przykry, pomyślałam. Moja dusza już cierpiała. Bałam się tego, co miał do powiedzenia.

Spojrzał mi w oczy.

– Właściwie chodzi o symptom tego samego problemu. Stworzeni przez ciebie ludzie nie są wiarygodni, ponieważ nie wykrwawiasz się za ich pomocą.

– Co to znaczy?

– Usłyszałem kiedyś, jak pewna pisarka powiedziała: „Napisanie powieści to nic trudnego. Po prostu podcinasz sobie żyły i wykrwawiasz się na kartki”. Miała rację. Nie potrafisz pokazać swojej wrażliwości i bezbronności. W twoim życiu jest cierpienie. Wyraź je słowami. Kiedy czytałem twoją powieść, miałem wrażenie, że pisałaś ją w rękawiczkach. Zdejmij je. Niech czytelnicy zobaczą prawdziwą ciebie. Niech poznają twoje lęki i rany. Sofokles i Freud uważali, że określają nas nasze lęki. Jest w tym wiele prawdy. Gdy mówisz mi o swoich największych lękach, odsłaniasz swoją bezbronność, to dzięki twojej szczerości nawiązuje się między nami więź. Zaczyna nas coś łączyć i nie czujemy się samotni. Bo w gruncie rzeczy właśnie o to chodzi w książkach. O budowanie więzi.

Do oczu napłynęły mi łzy.

– A jeśli nie chcę mówić o tej sferze swojego życia? – zapytałam.

– W takim razie nie pisz.

Nie wiem, dlaczego te słowa tak bardzo mnie zaboląły, ale właśnie tak się stało. Czułam się upokorzona i ośmieszona. Wytarłam oczy.

– Skoro tak dużo wiesz, to dlaczego sam niczego nie wydałeś? Dlaczego mam ciebie słuchać?

– Dobre pytanie – przyznał spokojnie. – Dlaczego miałabyś mnie słuchać? Nie słuchaj. Posłuchaj samej siebie. Jesteś pisarką. Zapytaj więc

samej siebie, czy to, co mówię, jest prawdą. Będziesz wiedziała, jaka jest odpowiedź.

Otarłam łzy serwetką, unikając jego wzroku.

– Kim, kiedy brałem od ciebie rękopis, obiecałem ci szczerść. Muszę jednak się przyznać, że skłamałem. Bo gdybym uważał, że twoje piarstwo nie nadaje się do poprawienia, nie oceniłbym go w tak bezpośredni sposób. Powiedziałbym ci to, co chciałaś usłyszeć, nie to, co powinnaś usłyszeć. Ale ty jesteś bardzo dobrą pisarką – wystarczająco dobrą, by cię wydawano. I wierzę, że masz potencjał, by kiedyś zostać wielką pisarką. Drugą Amy Tan albo Norą Roberts. Nie możesz jednak dokonać tego półśrodkami.

Ponownie zaczerpnęłam powietrza, po czym szybko osuszyłam oczy serwetką.

– Mogę prosić o dolanie wina?

– Oczywiście. – Napęłnił mój kieliszek aż po brzegi.

Upiłam duży łyk, potem drugi, jeszcze większy, licząc, że wino choć częściowo uśmierzy mój ból.

– Możemy to poprawić – powiedział, unosząc mój rękopis. – Mogę ci pomóc.

Odstawiłam kieliszek.

– My? – zapytałam.

– Jeśli chcesz mojej pomocy.

– Musisz pracować nad własną książką.

– Może zaczekać – odparł. – Czekałem na nią kilka lat; jakie znaczenie ma kilka miesięcy?

Wiedziałam, że jego propozycja wynika z życzliwości, a jednak czułam tylko ból wywołany dezaprobatą.

– Nie chcę twojej pomocy – odpowiedziałam po chwili. – Mogę prosić

o zwrot książki?

Moja reakcja sprawiła mu przykrość.

– Oczywiście – powiedział cicho, podając mi rękopis. – Przepraszam, jeśli to, co mówiłem, zabrzmiało brutalnie. Nigdy bym cię celowo nie uraził.

– To ty tak myślisz – skwitowałam.

Reszta wieczoru minęła w fatalnej atmosferze. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Żałowałam, że opuściłam hotel, ponieważ pragnęłam jak najszybciej wrócić do swojego pokoju. Prawie niczego nie zjadłam i poprosiłam o odwiezienie przed deserem i kawą.

Podczas jazdy do hotelu Pod Jemiołą nie rozmawialiśmy. Zeke wyglądał, jakby czuł się tak samo paskudnie jak ja. Gdy zatrzymaliśmy się przed drzwiami wejściowymi, natychmiast zerwałam się, by wysiąść.

– Kim, nie chciałem zranić twoich uczuć. Starłem się tylko pomóc.

Otworzyłam drzwi, wysiadłam i nachyliłam się do niego.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałam, po czym odwróciłam się i odeszłam.

Gdy weszłam do pokoju, cisnęłam rękopisem o ścianę, nie dbając w ogóle o to, że kartki rozsypują się bezładnie. Potem rzuciłam się na łóżko i wybuchnęłam płaczem.

---

<sup>8</sup> Rodzaj makaronu, po włosku: małe uszy.

## Rozdział 21

*Zbyt często przegrywamy dzisiejsze bitwy, ponieważ nadal toczymy wczorajsze walki.*

Z dziennika Kimberly Rossi

W nocy źle spałam, a rano nie poszłam ćwiczyć. Nie chciałam ryzykować spotkania z Zekiem. Wstydziałam się swojej reakcji. Najgorsze było to, że nawet nie wiedziałam, dlaczego jego słowa tak mnie zabolaly. Byłam pewna, że nie chciał mnie urazić. Tylko dlaczego miałoby mnie to w ogóle obchodzić? Skąd pewność, że Zeke zna się lepiej od innych? Pewna byłam tylko tego, że przebywanie z nim było dla mnie jak dotąd najlepszą częścią konferencji. Dlaczego to zaprzepaściłam?

Zamówiłam śniadanie do pokoju, a gdy je zjadłam, weszłam do wanny i siedziałam w niej, dopóki woda nie zrobiła się zimna. Po kąpieli poszłam do łóżka, celowo opuszczając warsztaty. Tego dnia mieliśmy przedstawić grupie recenzję, jaką wystawił nam pisarski partner, i myśl o tym wydała mi się równie przyjemna jak atak kamicy nerkowej.

Tego dnia miałam się spotkać z agentami i nie chciałam stanąć przed nimi z miną osoby przegranej. Mogło się okazać, że będą innego zdania niż Zeke, i jego recenzja przestanie mieć znaczenie.

W końcu wstałam z łóżka około jedenastej. Ubrałam się, uczesałam i postanowiłam poszukać Samantha. Gdy weszłam do holu, Zeke siedział na jednej z kanap. Na mój widok natychmiast wstał.

– Kim!

Odwróciłam się od niego.

– Kim, proszę, porozmawiaj ze mną.

Cała moja skrucha się ulotniła. Jego widok wywołał we mnie nową falę bólu. Do głosu znowu doszła złość.

– Po co? Znalazłeś więcej wad w mojej książce?

Dotknął mojej ręki.

– Posłuchaj, wiem, jak bardzo boli krytyka. Uwierz mi, spadło jej na mnie więcej, niż zasłużyłem. Ale są różne rodzaje krytyki. Bywa taka, która wypływa ze złośliwości, i taka, która jest podyktowana troską. Na przykład... gdy mówisz przyjaciółce, że ma coś między zębami.

– Czyli, posługując się twoim porównaniem, jestem twoją niechlujną przyjaciółką, która ma coś między zębami?

Uniósł ręce, jakby w geście rezygnacji.

– Przepraszam, wybrałem zły przykład. Wiem, że wczorajszy wieczór był dla ciebie wstrząsem, ale powinien być zachętą.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Zachętą do czego? Do rezygnacji? Posłuchaj dobrej rady, nie zatrudniaj się jako trener motywacyjny, bo jesteś do niczego.

Ściągnął brwi.

– Nie pozwolisz mi się przeprosić?

Choć widziałam, jak bardzo cierpi, nie powiedziałam nic. Po chwili Zeke wolno wypuścił powietrze z płuc.

– W porządku, dam ci spokój. Powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dla ciebie pomyślnie podczas dzisiejszych spotkań. Mam nadzieję, że agenci okażą się życzliwsi niż ja. – Odwrócił się i odszedł.

Gdy patrzyłam, jak się oddala, po moim policzku spłynęła łza. Zrobiło mi się niedobrze. Gdy tylko pozwoliłam sobie na słabość, zostałam zraniona.

Kiedy nareszcie zmądrzeję?

Podeszła do mnie Samantha.

– Nigdy nie uwierzysz, jaki temat omawiała dzisiaj ta genialna grupa F. Miłość i tunele w czasoprzestrzeni i czy to etycznie naganne zakochać się w dwóch osobach żyjących w dwóch różnych wymiarach czasowych. Daję słowo, miałam ochotę przekłuć sobie błony bębenkowe w uszach. – Urwała.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś płakała.

Opuściłam wzrok, aby nie mogła przyglądać się moim oczom.

– Kochana, co się stało?

Pokręciłam głową.

– Nic. Chodźmy na lunch.

\*

Przy stole Samantha wbiła we mnie wzrok.

– Gadaj. Co się dzieje?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Wiesz, że dałam Zeke'owi swoją książkę do przeczytania.

– I?

– Skrytykował ją.

Wolno zamknęła i otworzyła oczy.

– I powiedział ci to? Od razu mi się nie spodobał. Do twojej wiadomości, wcale nie wygląda jak George Clooney; po prostu starałam się być miła. Bardziej przypomina George'a Constazę z *Kronik Seinfelda*.

– Nie, nieprawda – zaprotestowałam, czując nagłą potrzebę obrony Zeke'a. – Jest piękny. I uroczy. I był po prostu szczerzy.

Samantha zmarszczyła czoło.

– Mówi, że twoja książka jest do niczego, i nadal jest uroczy?



- Nie powiedział, że jest do niczego. Jego krytyka była konstruktywna.
- Teraz go bronisz? Wygląda mi to na syndrom sztokholmski.
- Bzdury.
- Ale jest to jakiś syndrom – upierała się. – I co teraz zrobisz?
- Nie wiem. Próbował mnie przeprosić dwa razy, ale... – Nabrałam głęboko powietrza. – Chyba już nigdy więcej go nie zobaczę.
- Przykro mi. Ale głowa do góry. Czy to nie dzisiaj spotykasz się z agentami?
- Tak.
- To dobrze. Powiem ci, co się stanie. Powalisz ich na kolana. A Zeke będzie musiał zjeść swoją krytykę razem z keczupem i frytkami.
- Wpatrywałam się w nią w oszołomieniu. Była najdziwniejszą i najbardziej uroczą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.
- Kocham cię – powiedziałam.
- Uśmiechnęła się.
- Ja ciebie też kocham. – I dodała: – W całkowicie nieromantyczny sposób.
- Dzięki za dopowiedzenie.
- Pocałowała mnie w policzek.
- Zawsze możesz na mnie liczyć, złotko. Zawsze.

## Rozdział 22

*Po zderzeniu z górą lodową nie ma sensu zmieniać kursu.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Sposób, w jaki przebiegały spotkania z agentami, był dość typowy dla wszystkich konferencji tego rodzaju. Zapłaciłam – a właściwie mój ojciec – sto dolarów za spotkanie z agentem. Wcześniej dostarczyłam kopię rękopisu, którą agent (on lub ona) był zobligowany czytać przez kwadrans i napisać krótką ocenę.

Pierwszy agent, z którym rozmawiałam, nazywał się Timothy Ryan i pracował od dwudziestu siedmiu lat w branży wydawniczej. Spotkaliśmy się w sali, w której przebywało pięciu innych agentów oraz pisarzy.

Gdy nerwowo usiadłam na krześle, Timothy spojrzał na listę umówionych spotkań, potem na mnie.

– Pani nazywa się Kimberly Rossi – powiedział.

– Tak, zgadza się.

– Chwileczkę. – Przerzucił plik kartek i zatrzymał się nad jedną z nich. Przypuszczalnie były to jego notatki dotyczące mojej powieści. Przebiegł je wzrokiem i ponownie spojrzał na mnie z poważną, surową miną.

– Pani napisała *Obietnicę pod jemiółką*?

– Tak, zgadza się.

– To pani pierwsza powieść?

– Tak. Czy to widać?

Pokiwał wolno głową i znowu spojrzął na swoją recenzję. Po chwili wahania powiedział:

– Z powodu wiadomych ograniczeń czasowych nie jestem w stanie przedstawić pełnej oceny pani pracy, mogę jednak powiedzieć następującą rzecz: podoba mi się pani pomysł na książkę, ale są dwie sprawy, które uniemożliwią sprzedanie jej wydawcy.

Po pierwsze, konstrukcja postaci wymaga poprawek. Chodzi zwłaszcza o to, że pani bohaterowie są zbyt idealni. Nikt nie będzie w stanie utożsamić się z kimś w typie Pollyanny. Postaci muszą mieć jakieś trupy w szafie, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. – Wpatrywał się we mnie, czekając na moją reakcję.

– Myślę, że tak – bąknęłam.

– Po drugie, ja tego po prostu nie czuję.

Speszyłam się.

– Nie czuje pan... czego? – zapytałam.

– Pasji – odparł, podkreślając słowo gestem dłoni. – Tego czegoś. W pani książce wyczuwa się dystans, a powinna pani drażnić głębiej. Nikogo nie interesuje to, co przyziemne. Czytelnicy kupują romanse, ponieważ chcą czytać o niedoskonałych ludziach uleczonych przez miłość. Wie pani, co mam na myśli? – Ponownie przeszył mnie wzrokiem.

– Wczoraj ktoś powiedział mi dokładnie to samo.

– Powinna pani posłuchać tej osoby. Uważam, że potrafi pani pisać, ale w moim odczuciu może to pani robić lepiej. Czytając, ma się wrażenie, że wszystkie opisywane przez panią uczucia są sztuczne. Musi pani podnieść temperaturę o kilka kresek. – Wyjął z kieszeni wizytówkę i mi ją podał. – Zrobię teraz coś, co rzadko mi się zdarza. Oto moje dane kontaktowe. Proszę nie udostępniać ich żadnemu innemu uczestnikowi tej konferencji. Może mi

pani przysłać rękopis po tym, jak go pani poprawi, i przeczytam go jeszcze raz. Jak już mówiłem, uważam, że ma pani wspaniały pomysł i że ma pani talent. Jeśli zdoła pani wprowadzić zmiany, które zasugerowałem, może będę mógł coś zrobić z pani powieścią. – Spojrzał na swój zegarek. – Nasz czas dobiegł końca.

Włożyłam wizytówkę do torebki i wolno podniosłam się z krzesła.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Nie ma za co. Powodzenia.

Następne spotkanie było mniej pokrzepiające, ale podobne w charakterze. Usiadłam przed kobietą o nazwisku Rachel Bestor. Zanim została agentką autorów piszących romanse, pracowała jako redaktorka dla Hay House.

– Na mnie to nie robi żadnego wrażenia – powiedziała otwarcie. – Pani protagonistka, ta cała Elise, zachowuje się jak skautka. Niech ją pani jakoś pobrudzi. Albo pokaże nam jej brudy. Nie jest pani złą pisarka, ale ta książka tego nie dowodzi.

Wychodząc z sali, bardziej martwiłam się tym, że zmarnowałam pieniądze taty, niż tym, co powiedzieli agenci. W zasadzie powiedzieli mi dokładnie to samo co Zeke, tylko że na nich nie naskoczyłam. I Zeke był dla mnie o wiele miłszy.

W głębi duszy wiedziałam, że Zeke mówi prawdę. I nareszcie zrozumiałam, dlaczego poczułam się tak bardzo przez niego zraniona. W gruncie rzeczy zamiast krytyki swojej książki słyszałam krytykę mnie. A nie powinnam była pomylić tych dwóch rzeczy.

Po spotkaniach z dwojgiem agentów czułam się zmuszona, by zadzwonić do ojca, co – choć się tego bałam – zrobiłam natychmiast po powrocie do swojego pokoju.

– Jak konferencja? – zapytał.

– Dobrze. Spotkałam się dzisiaj z agentami.

– I jak poszło?

– Nie tak, jak liczyłam. Nie byli zainteresowani moją książką. Przykro mi, że zmarnowałam twoje pieniądze.

– Dali ci jakąś nadzieję na publikację?

– Oboje stwierdzili, że jestem dobrą pisarką. Może mówią to każdemu, ale wydawali się mówić szczerze.

– Jak to przyjęłaś?

– Wiesz, jak źle znoszę odrzucenie. Jak się czujesz?

– Trzymam się – odparł. – Ale jestem trochę zmęczony. Musiałem odwołać udział w zlocie motocyklowym.

– To przykre.

– Ale to tylko chwilowe. Pójdę na tę operację i wrócę na siodełko. I tego samego oczekuję od ciebie. Wracaj na siodełko. Nie wychowywałem cię na dezertera.

Nagle znowu poczułam się jak mała dziewczynka.

– W porządku, tato.

– A pomijając te dwie „stłuczki”, dobrze się tam czujesz? Nauczyłaś się czegoś?

– To dobra konferencja. Atrakcyjna.

– Masz nowych znajomych?

– Kilkoro.

– To dobrze. Przydadzą ci się nowi znajomi. – Po chwili milczenia powiedział: – Wiesz, że w ciebie wierzę?

– Wiem. Dzięki, tato. Niedługo znowu się odezwę. Kocham cię.

– Ja kocham cię bardziej. – Zanim się rozłączył, powtórzył: – Wracaj na siodełko.

Skończywszy rozmowę, natychmiast wybrałam numer hotelowej centrali.

- Dzień dobry, pani Rossi. W czym mogę pomóc?
- Mogłaby pani połączyć mnie z jednym z waszych gości?
- Oczywiście. Który to pokój?
- Nie znam numeru jego pokoju, ale nazywa się Zeke Faulkner.
- Faulkner – powtórzyła. – Proszę chwileczkę poczekać.

Sygnał telefonu zabrzmiał przynajmniej z tuzin razy, zanim Zeke odebrał.

– Słucham?

Miał trochę niewyraźny głos, jak człowiek wyrwany ze snu.

- Zeke, tu Kim.
- Cześć – powiedział ostrożnie.
- Obudziłam cię?
- Tak.
- Spotkałam się dzisiaj z agentami.

Przez chwilę milczał, po czym zapytał kurtuazyjnie:

- I jak było?
- Powiedzieli to samo co ty.

Nie skomentował, co było jeszcze gorsze, niż gdyby powiedział: A nie mówiłem?

Nabrałam głęboko powietrza.

– Dzwonię, aby cię przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie. I za dzisiejsze. Wiem, że na to nie zasługuję, ale gdybyś miał ochotę... Może zjemy dziś kolację? Ja stawiam... Albo tylko porozmawiamy.

Nadal nic nie mówił.

Po chwili milczenia powiedziałam:

– W porządku. Wiem, że chcesz mnie ukarać i że na to zasłużyłam. Ale proszę, nie rób tego. Dobrze?

Usłyszałam, jak wypuszcza powietrze z płuc.

– Okej, więc ja to powiem. Jestem idiotką i daleko mi do twojej mądrości. I reaguję przesadnie. To chcesz usłyszeć?

Westchnął.

– Nie. Nie to. Nigdy bym nie powiedział czegoś takiego. Dobranoc, Kim.

– Dobranoc – odpowiedziałam słabym głosem.

Powoli odłożyłam słuchawkę, szczerze się nienawidząc. Ponury głos we mnie powiedział: Wszystko psujesz. Nic dziwnego, że nikt cię nie chce. Zasługujesz na to, żeby żyć w samotności do końca życia.

## Rozdział 23

*Kłopot z przeszłością polega na tym, że większość wczorajszych lekcji odnosiła się do wczorajszych problemów.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Próbowałam czytać, ale przez pół godziny leżałam na łóżku i płakałam, aż do chwili, gdy zadzwonił telefon. Podczołgałam się do stolika.

– Słucham?

– W porządku – powiedział cicho Zeke. – Porozmawiajmy.

Otarłam łzy.

– Okej. Gdzie?

– Spotkajmy się za pięć minut w holu. Weź płaszcz.

Czekałam w holu, jak mi się zdawało, całe wieki, aż wreszcie zobaczyłam, jak Zeke wychodzi z windy. Miał poważną minę, ale nie wyglądał na rozeźlonego.

– Chodź – powiedział. Chwycił mnie za rękę i poprowadził do drzwi frontowych. – Idziemy na spacer.

Oddalaliśmy się od hotelu długą, pełną kolein drogą, oświetloną wiszącymi na drzewach migoczącymi białymi lampkami. Po około pięćdziesięciu metrach powiedziałam:

– Bardzo przepraszam.

– Za co?

Nie byłam pewna, czy naprawdę nie wie, czy chce mnie zmusić, żebym



przyznała, że zachowałam się niewłaściwie.

– Potraktowałam cię okropnie. A ty po prostu próbowałeś mi pomóc.

Pokiwał głową.

– Tak, próbowałem pomóc.

– Agenci powiedzieli mi dokładnie to samo co ty. Tylko że ty byłeś miłszy. – Spojrzałam na niego. – Skąd wiedziałeś, co powiedzą?

– Komuś z zewnątrz zawsze jest łatwiej krytykować. Zauważyłabyś usterki, gdyby to nie była twoja książka. – Jego głos zabrzmiał łagodniej. Wyrozumiale.

– Czuję się bardzo zażenowana.

– Nikt nie lubi słuchać krytyki. Ja nie lubię.

Przełknęłam ślinę.

– Tak naprawdę nie zdenerwowałam się z powodu książki.

– Wiem.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Skąd?

– Bo za każdą książką stoi jej autor. Poczulaś się zaatakowana, choć wcale cię nie atakowałem. Walczyłaś z cieniami.

Spojrzałam mu w oczy.

– Co moja książka mówi o mnie?

– Pisziesz o pozorowanym romansie, w którym on i ona podpisują umowę określającą charakter tego związku. – Spojrzał mi w oczy. – Zostałaś zraniona i chcesz gwarancji, że nikt cię już więcej nie skrzywdzi.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– To zrozumiałe – ciągnął. – Nie chcesz znowu się sparzyć. To nie jest słabość, to inteligencja. Ale mądrość polega na tym, by wiedzieć, że potrzebujemy miłości, wiedzieć, kiedy jest bezpiecznie i komu można zaufać.

– Życie uczy, że nigdy nie jest bezpiecznie – skwitowałam.

– Wiem – przyznał cicho. – Ale to złudzenie. Problem polega na tym, że doświadczenia z przeszłych związków wykorzystujemy jako mapy do poruszania się w nowych. I to się nie sprawdza, ponieważ każdy człowiek jest inny, każda relacja jest inna. To tak, jakby użyć mapy Las Vegas do poruszania się po Vermoncie. Nic z tego nie wyjdzie. Dlatego tak wiele osób się gubi. – Przyjrzał mi się. – Nie znam wszystkich rzeczy, które wydarzyły się w twoim życiu, domyślam się jednak, że spotkało cię więcej krzywd niż rozwód i zerwane zaręczyny. Myślę, że głęboko w sobie skrywasz lęk.

Przystanąłam i spojrzałam na niego.

– Jaki?

Spojrzał mi głęboko w oczy.

– Myślę, że wątpisz w to, że jesteś warta miłości.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Bałam się spojrzeć na Zeke'a. Gdy w końcu podniosłam na niego wzrok, zobaczyłam, że patrzy na mnie z czułością.

– Chcę, abyś na zawsze zapamiętała to, co teraz ci powiem. – Zbliżył swoją twarz do mojej. Zamknęłam oczy, a on przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Gdy nasze usta się rozłączyły, z trudem łapałam oddech. – Niezależnie od tego, co ktokolwiek powie lub zrobi, jesteś warta miłości. Zawsze byłaś. Zawsze będziesz. Nie jestem dla ciebie zagrożeniem. Możesz mi zaufać.

Ponownie przyciągnął mnie do siebie. Gdy się całowaliśmy, po moich policzkach spływały łzy. Nigdy nie czułam się tak bardzo kochana.

## Rozdział 24

*Moje życie jest pełne niespodzianek. Szkoda, że tak niewiele z nich jest przyjemnych.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Nazajutrz Zeke zapukał do moich drzwi około dziewiętej. Otworzyłam mu w za dużym T-shircie i swoich najseksowniejszych różowych spodniach od dresu.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem, który nie schodził mi z ust od poprzedniego wieczoru.

Pocałowaliśmy się.

– Co dzisiaj robisz? – zapytał.

– Liczę, że więcej tego, co właśnie zrobiliśmy.

Uśmiechnął się.

– Miałem na myśli konferencję. Możesz sobie coś odpuścić?

– Zależy od twojej oferty.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spędzić ten dzień razem. Chcę cię dokądś zabrać.

– Dokądś?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Dokądś.

– Muszę się ubrać.

– Okej. Ale się pośpiesz.

- Dlaczego? – zdziwiłam się.
- Bo mamy napięty plan.
- Dasz mi pół godziny?
- Dwadzieścia minut – odparł. – Czekam w holu. Ubierz się ciepło.
- Pospieszę się – zapewniłam.

Kwadrans później weszłam do holu. Zeke stał przy drzwiach frontowych i sprawdzał wiadomości w telefonie. Podniósł na mnie wzrok i się uśmiechnął.

- Ale się uwinęłaś.
- Dokąd mnie zabierasz? – zapytałam, podając mu dłoń.
- Do Bożonarodzynkowa.
- Nie lubię Bożego Narodzenia – powiedziałam.
- Wiem.
- Czy w ogóle istnieje takie słowo jak „Bożonarodzynkowo”?
- Skoro je zrozumiałaś, to tak.
- A tak na serio to dokąd jedziemy?
- Pamiętasz, co ci wczoraj powiedziałem o zaufaniu?
- Tak.
- To teraz masz szansę udowodnić, że mi ufasz.
- Okej, oddaję się w twoje ręce.

Na ziemi przed hotelem leżała puszysta kołderka czystego śniegu, a jego zmrożone płatki skrzyły się w porannym słońcu. Samochód Zeke’a czekał na nas kilka metrów od drzwi. Zeke odebrał od parkingowego kluczyki, otworzył przede mną drzwi i ruszyliśmy.

Po mniej więcej półgodzinie zapytałam:

- Znowu jedziemy do Burlington?
- Poniekąd.

- To znaczy?
- To znaczy, że jedziemy do Burlington, aby wyjechać z Burlington.
- Teraz mam jeszcze większy mętlik w głowie.
- Wylatujemy.
- Naprawdę?
- Spodoba ci się.
- Powinnam była zadzwonić do Samantha – stwierdziłam. –

Umówiliśmy się na lunch.

Zeke się uśmiechnął.

Zostawiliśmy samochód na krytym parkingu lotniska i pędem przebiegliśmy przez terminal. Gdy stanęliśmy przed stanowiskiem odprawy, zapytałam:

- Mogę wiedzieć, dokąd lecimy poza tym, że do jakiegoś „Bożonarodzynkowa”?
- Do Bethlehem.
- W Izraelu?
- Nie, do Bethlehem w Pensylwanii. Miasta Bożego Narodzenia w Stanach Zjednoczonych.

\*

Pół godziny później zajęliśmy miejsca w pierwszej klasie samolotu. Z Burlington dolecieliśmy do Newark, gdzie przesiedliśmy się na mniejszy samolot lecący do ABE, międzynarodowego portu lotniczego w Lehigh Valley w Pensylwanii. W sumie oba loty trwały niecałe trzy godziny i przybyliśmy na miejsce około czwartej po południu.

– Opowiem ci teraz o Bethlehem – zaczął Zeke. – Miejsce to zostało tak nazwane w Wigilię 1741 roku, czyli jeszcze przed powstaniem Stanów

Zjednoczonych. Mają tu jeden z najsławniejszych targów świątecznych w całym kraju noszący nazwę Christkindlmarkt. Jest tu muzyka, są sklepy, rzemieślnicy i naprawdę wspaniałe jedzenie. Myślę, że będziesz zachwycona.

W Allenton wzięliśmy taksówkę i wraz z zapadnięciem zmroku wjeżdżaliśmy do wioski bożonarodzeniowej w środku Okręgu Historycznego Bethlehem. Ulice były pięknie oświetlone i pełne turystów. W centrum miasteczka minęliśmy ogromne drzewko bożonarodzeniowe.

Gdy wysiedliśmy, moje zmysły zostały zaatakowane przez upojne zapachy towarów wystawionych na ulicznych straganach: kandyzowanych orzechów, słodkiego popcornu, owoców w karmelowym dipie oraz czekolady. Wszystkim tym zapachom towarzyszyły dźwięki kolęd śpiewanych przez szkolne i kościelne chóry oraz ulicznych muzyków.

Przystanęliśmy na rogu jednej z ulic, aby posłuchać starszego mężczyzny w wojskowym mundurze i grubej wojskowej kurtce, który grał na saksofonie *Winter Wonderland*. Zeke dał mu banknot dwudziestodolarowy. Weteran tak bardzo się ucieszył, że zaproponował Zeke'owi, że zagra coś na życzenie jego „uroczej pani”. Poprosiłam o *Silver Bells* i wykonał je tak pięknie, że Zeke wręczył mu jeszcze jedną dwudziestkę.

Na kolację wstąpiliśmy do małej niemieckiej knajpki, w której zjedliśmy bratwurst z kiszoną kapustą oraz zupę serowo-piwną, a do picia zamówiliśmy *glühwein*, pyszne grzane czerwone wino z przyprawami i rodzynkami.

Nie wiem, co się bardziej przyczyniło do takiego stanu, wino czy moje serce, ale byłam upojona. Atmosfera miasteczka współgrała z muzyką we mnie i czułam się radośnie, świątecznie i beztrosko. Nie bawiłam się tak dobrze od niepamiętnych czasów, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia.

Przez kilka godzin chodziliśmy wśród straganów rzemieślników, podziwiając ich wyroby. Zatrzymaliśmy się, aby przyjrzeć się pracy dmuchacza szkła. Na pamiątkę tego wieczoru Zeke kupił mi szklaną ozdobę.

Po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, że jest zbyt późno, byśmy wrócili na noc do Vermontu.

– Gdzie przenocujemy? – zapytałam.

– W Waldorf Astorii.

– W Bethlehem jest Waldorf Astoria?

– Nie. W Nowym Jorku.

– Nocujemy w Nowym Jorku?

– Byłaś już tam?

– Nie. Zawsze chciałam tam pojechać. Kiedy wracamy na konferencję?

– Jutro wieczorem – odparł i uśmiechnął się. – Nie martw się. Zdasz posłuchać swojego ukochanego autora i dostać autograf.

– Nie uprzedziłeś mnie, że nocujemy poza Vermontem. Nie mam się w co przebrać.

– Myślę, że uda ci się coś znaleźć w Nowym Jorku. Zabiorę cię do Saks Fifth Avenue, jak tylko otworzą sklep.

Przyjrzałam mu się badawczo.

– Dlaczego lecimy do Nowego Jorku? – zapytałam.

– Bo to jest bożonarodzynkowe.

– Bożonarodzynkowe – powtórzyłam.

– Pisałaś o Nowym Jorku w swojej książce. Pomyślałem, że powinnaś przynajmniej tam pojechać i zrobić notatki. Zawsze lepiej wiedzieć, o czym się pisze. W przeciwnym razie pominiemy szczegóły, które tak naprawdę tworzą klimat książki. Na przykład tutaj. Wciągnij powietrze. Co czujesz?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Cynamon i cukier z tamtego stoiska, tego, na którym wyrabiane są kandyzowane migdały. Czuję też zapach przypraw do grzańca.

Uśmiechnął się.

– Szczegóły, szczególiki. Książki są jak życie. Wszędzie ważne są szczegóły.

\*

Na podróż do Nowego Jorku Zeke wynajął sedana, lincolna town w kolorze białej perły. Chętnie zostałabym w Bethlehem dłużej, ale pragnęłam nareszcie zobaczyć Manhattan. Jazda trwała około dwóch godzin, ale wydawała się krótsza. Nie miałabym nic przeciwko temu, aby była dłuższa. Znacznie dłuższa. Siedzenie obite stalowoszarą skórą było miękkie i szerokie, a Zeke przez cały czas mnie obejmował.

Mniej więcej czterdzieści minut przed Manhattanem zaczęliśmy się całować i przestaliśmy dopiero, gdy tuż po północy samochód zatrzymał się na Park Avenue przed drzwiami wejściowymi hotelu. Szofer musiał odchrząknąć, aby nam zakomunikować, że dotarliśmy do celu. Pocałunki Zeke'a były rozkoszne.

Zastanawiałam się, czy Zeke zaplanował wynajęcie dla nas wspólnego pokoju, ale powinnam była mieć więcej rozumu. Był dżentelmenem. Muszę jednak wyznać, że poczułam się trochę rozczarowana. Całowaliśmy się jeszcze przez chwilę, po czym powiedzieliśmy sobie „dobranoc”. Gdy zamknęłam za sobą drzwi pokoju, przyszło mi do głowy, aby zadzwonić do ojca i powiedzieć mu, gdzie jestem, szybko się jednak rozmyśliłam. Ze względu na moje perypetie z mężczyznami, tata chciałby dowiedzieć się wszystkiego o Zeke'u i pewnie poczułby do niego niechęć, chociaż jeszcze nie znał go osobiście. A bardzo mi zależało, aby tata nie poczuł do niego niechęci.

Leżąc w eleganckim łóżku w luksusowym pokoju, otoczona dźwiękami miasta, które nigdy nie śpi, nabrałam głęboko powietrza i się uśmiechnęłam. Moja twarz była ciepła i otarta od naszych pocałunków, i dotykane jej



sprawiło mi przyjemność. Możliwe, że był to najlepszy dzień mojego życia. A przecież przede mną było jeszcze jutro. Rzadko zdarzało mi się z radością oczekiwać kolejnego dnia.

## Rozdział 25

*Zakochać się to dużo. Być kochaną to pełnia.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Nowy Jork w okresie świąt przypomina bożonarodzeniowy show z udziałem miliona statystów. Zeke obudził mnie wczesnym rankiem, po czym, nadal w szlafrokach, zjedliśmy wspólne śniadanie w moim pokoju. Wzięłam prysznic, ponownie włożyłam swoje jedyne ubranie i poszliśmy do Saks Fifth Avenue. Zeke kupił mi więcej niż tylko strój na ten dzień. Wydał ponad tysiąc dolarów.

Potem zaprowadził mnie do salonu Tiffany’ego, gdzie kupił mi piękny złoty łańcuszek z serduszkami z różowego złota o nazwie Powrót do Tiffany’ego. Chciał podarować mi inny, droższy naszyjnik, ale uparłam się przy prostym serduszkach od Tiffany’ego, które zawsze było moim marzeniem, więc pomimo moich protestów dokupił mi do kompletu bransoletkę z serduszkami.

Gdy zjeżdżaliśmy windą z pierwszego piętra, zapytał:

– Oglądałaś kiedyś przedstawienie na Broadwayu?

– Widziałam *Jersey Boys* – odparłam. – W Las Vegas.

– Świetny musical, podobał mi się. Zresztą kto nie lubi Frankiego Valli?

Jest jeszcze coś, co chciałabyś zobaczyć?

– Mówiąc hipotetycznie?

– Tak.

– Zawsze chciałam zobaczyć *Wicked*. Widziałeś?

– Kilka razy. Udało mi się zobaczyć go z pierwszą obsadą. – Wyjął telefon z kieszeni. – Rozejrzyj się tu przez chwilę. Muszę gdzieś zadzwonić.

Oglądałam gabloty z biżuterią na parterze. Mniej więcej po dziesięciu minutach podszedł do mnie Zeke.

– Mam dla nas bilety na popołudniowe przedstawienie *Wicked* – oznajmił.

– Jak ci się udało je zdobyć? Chyba są wyprzedane wiele miesięcy wcześniej?

– Mam znajomych – odparł.

Dwie godziny później siedzieliśmy w drugim rzędzie środkowej części teatru Gershwin.

Musical spełnił moje oczekiwania. Po wyjściu z teatru Zeke kupił mi koszulkę z napisem „IGNORUJ GRAWITACJĘ” i zabrał na kolację do cudownej zabytkowej restauracji o nazwie Keens Steakhouse.

– Powinnaś opisać to miejsce w swojej książce – powiedział. – Ma wspaniałą przeszłość. Wiesz, kto tu jadł? – Zanim zdążyłam się zastanowić, już wymieniał: – Teddy Roosevelt, Albert Einstein, generał Douglas MacArthur, „Buffalo Bill” Cody, prawie każda znana z historii osoba. – Uśmiechnął się. – Oraz Kimberly Rossi. Pewnego dnia właściciele tego lokalu będą się tobą chwalić. Jedną z największych pisarek Stanów Zjednoczonych.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Zamówiłam mały filec mignon oraz koktajl z krabów, a Zeke zdecydował się na rostbef. Gdy jedliśmy, zapytał:

– Podobał ci się musical?

– Bardzo!

– Znam Gregory’ego Maguire’a.

– Kogo?

– Gregory’ego Maguire’a. Jest autorem *Wicked*. Wiesz, jak wymyślił imię Elphaba?

– Nie.

– Pochodzi od L, F i B, inicjałów L. Franka Bauma, autora *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Do twojej wiadomości, Gregory ma piękny melodyjny głos.

– Zaszumiało mi w głowie – powiedziałam. – Najpierw Catherine McCullin i R.L. Stine, teraz Gregory Maguire. Skąd znasz tyle osób?

– Z konferencji dla pisarzy – odparł. – Kiedyś jeździłem na wszystkie.

– Byłam na konferencji z Mary Higgins Clark, ale nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

– Nie powiedziałem, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Po prostu łatwo nawiązuję znajomości.

– Jak ze mną? – zapytałam.

Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił.

– Nie, nie jak z tobą. Myślisz, że tylko się z tobą zabawiam?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co ze mną robisz – powiedziałam cicho.

Przez chwilę milczał, po czym wyraz jego twarzy złagodniał.

– Przepraszam. Oczywiście, że nie wiesz. Nawet mnie nie znasz. – Nabrał głęboko powietrza. – Rzadko otwieram się przed ludźmi, zwłaszcza kobietami. Ale tym razem jest inaczej. – Spojrzał mi w oczy. – Myślę, że się zakochałem.

## Rozdział 26

*Czasami powód, dla którego zamykamy swoją przeszłość w klatce, staje się zrozumiały,  
dopiero gdy wypuścimy tę przeszłość na wolność.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Lot do Vermontu był krótki. Wylecieliśmy z LaGuardii o dziewiątej wieczorem i wylądowaliśmy w Burlington tuż po wpół do jedenastej. Odebraliśmy samochód Zeke'a i ruszyliśmy w drogę powrotną do hotelu. Była już prawie północ, gdy dotarliśmy na miejsce. Zeke zaparkował przed portykiem, nie wyłączając silnika i tym samym ogrzewania.

Pocałowałam go i powiedziałam:

– Jestem ciekawa, czy trudno było to wszystko zaplanować.

– To było proste.

– Proste? – zapytałam z powątpiewaniem. – Poleciliśmy do Bethlehem, pojechaliśmy wynajętym samochodem do Nowego Jorku, przenocowaliśmy w Waldorf Astorii, zrobiliśmy zakupy na Piątej Alei, zaliczyliśmy przedstawienie na Broadwayu, zjedliśmy fantastyczną kolację, wróciliśmy samolotem do Vermontu i mówisz, że to było proste?

– Zgadza się. Jestem prostym facetem.

– Naprawdę uważasz, że jesteś prostym facetem?

– Ja to wiem – odparł. – Jaki na zewnątrz, taki wewnątrz.

– Można o tobie powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jesteś prosty. Jesteś enigmą owiniętą w tajemnicę, czy jak to tam powiedział

Churchill.

– Coś takiego! A co we mnie jest tajemniczego?

– Głowa może rozboleć.

– Proszę, mów. Dlaczego uważasz, że jestem tajemniczy?

– Okej, zacznijmy od tego, dlaczego jesteś sam. Która kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby cię opuścić? To byłoby jak jazda rolls-royce'em nad urwiskiem. Masz wszystkie pożądane cechy. Jesteś miły, zabawny, mądry i całujesz jak odkurzacz Hoovera...

Uniósł jedną brew.

– To dobrze? – zapytał.

– To bardzo dobrze – odparłam. – Jesteś bardzo, bardzo przystojny...

– Dziękuję.

– Jeszcze nie skończyłam. Na pewno masz dużo pieniędzy, ale nie jesteś ich niewolnikiem. O książkach wiesz więcej niż ktokolwiek ze znanych mi osób, ale dotąd niczego nie wydałeś. Tak więc nie, nie jesteś taki prosty, jak myślisz. Prawdę mówiąc, jesteś skomplikowany, i to jest przerażające.

– Przerażające? W jednej minucie z „nie prostego” poprzez „tajemniczego” stałem się „przerażający”. Wytłumacz „przerażającego”.

– Mówi się, że jeśli coś jest zbyt dobre, aby było prawdziwe, to tak jest. Powinieneś być owinięty żółtą taśmą ostrzegawczą, ponieważ jesteś zdecydowanie zbyt dobry, aby być prawdziwy.

– Potraktuję to jako komplement.

– Nie wiem, czy to komplement – powiedziałam. – Ponieważ „zbyt dobry, aby był prawdziwy” pozostawia wiele pytań bez odpowiedzi.

– Na przykład?

– To najważniejsze?

Patrzył na mnie z rozbawieniem.

– Jeśli chcesz o coś zapytać, pytaj. Udzielę ci prostej odpowiedzi.

– Okej, więc to najważniejsze. – Nabrałam głęboko powietrza.

Zeke wpatrywał się we mnie wyczekująco.

– Pytaj – zachęcił mnie.

– Przygotowuję się. To poważne pytanie.

Szeroko się uśmiechnął.

– To proszę. Dlaczego mnie lubisz?

– Już? Tylko tyle?

– Tak.

– To proste. Zasadniczo z tych samych powodów, które wymieniłaś, mówiąc o mnie. Jesteś miła, mądra, zabawna, umiesz okazywać wdzięczność i jesteś piękna. A odpowiadając na pytanie, dlaczego jestem sam. Dlatego że tak postanowiłem. W moim życiu były inne kobiety i wiele z nich było mądrych i oszałamiająco pięknych. W moim wieku chemia jest wciąż ważna. Jednak coś w mojej chemii się zmieniło. Stwierdziłem, że kiedy ktoś jest piękny zewnątrz, ale mroczny duchowo, całe to zewnętrzne piękno jest jak szminka na świni.

Uśmiechnęłam się.

Głos Zeke'a stał się poważniejszy.

– Gdy byłem młodszy i bardziej zarozumiały, chciałem przebywać z ludźmi, którzy byli cwani, aroganccy, rzucali złośliwe odzywki i nosili designerskie ciuchy. Ale po jakimś czasie zacząłem dostrzegać, jak oni traktują innych. A także mnie. W końcu miałem dość ich obłudy oraz fałszywych osobowości. Szczerze mówiąc, nie chciałem być z kimś, przy kim tak bardzo się męczyłem. I nie chciałem powierzyć serca kobietom, które były tak zarozumiałe, że ledwo mnie dostrzegały przez te swoje okulary od Gucciego. Chciałem kogoś autentycznego. Kogoś, kto by się śmiał z tych samych głupot co ja i uważał, że fajnie jest wstąpić do restauracyjki, aby

zjeść bratwurst i zupę piwno-serową. Chciałem kogoś, kto by się przejmował, że zranił czyjeś uczucia czy pomagał zupełnie obcym osobom.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

– Na przykład niedosłyszającej pani na naszych warsztatach – powiedziałam.

– Otóż to. To zdarzenie przekonało mnie, że nie jesteś tylko ładną buzią. Byłaś jedyną osobą, która zauważyła, że ta kobieta ma problem. I nie tylko to zauważyłaś, powiedziałaś o tym głośno i zamieniłaś się z nią miejscami. Okazałaś współczucie. – Spuścił wzrok. – Właśnie tak postąpiłaby moja żona – powiedział.

Patrzyłam na niego z czułością.

– Mówisz o niej niemal z nabożnością. A przecież cię zostawiła. Dlaczego odeszła?

Milczał przez chwilę.

– Nie chciała odejść. W piątym miesiącu ciąży dostała w nocy krwotoku i umarła. Nie było mnie przy niej. Powinienem być zostać, ale wyjechałem w podróż służbową. Nie było mnie przy niej, gdy mnie potrzebowała. – W jego oczach zalśniły łzy. – Teraz znasz prostą prawdę o mnie.

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Przyciągnęłam go do siebie i przez chwilę tuliłam do swojej piersi.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć.

Słyszając powagę w moim głosie, wyprostował się.

– Miałaś rację, mówiąc któregoś wieczoru, że coś skrywam. – Nabrałam głęboko powietrza i odchyliłam się, aby spojrzeć mu w oczy. – Moja mama nie zmarła na raka. Popełniła samobójstwo.

Zeke zmarszczył czoło.

– Współczuję ci.



– Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. Absolutnie pierwszą. Nie powiedziałam o tym nawet mężowi.

– Nie wiedział, jak zmarła twoja mama?

– Nie. Ale i tak by go to nie obeszło.

Zeke cały czas patrzył na mnie współczująco.

– Odkąd pamiętam, zawsze zmagала się z depresją. Próbowала odebrać sobie życie kilka razy i za piątym jej się udało. Po jej pierwszej próbie samobójczej obwinałam siebie. Nie miałam jeszcze dziesięciu lat i byłam pewna, że to przeze mnie. Gdy spróbowała po raz trzeci, miałam jedenaście lat i moje nastawienie się zmieniło. Byłam wystraszona i zdezorientowana, ale przede wszystkim zła. Myślałam, że nic dla niej nie znacę, skoro była gotowa mnie zostawić. Jak to świadczyło o mnie? – Spojrzałam na niego. – Całe życie dźwigam wstyd, dlatego że mnie porzuciła. Od tamtej pory szukałam potwierdzenia swojej wartości w każdym związku i przywierałam do mężczyzn tak bardzo, że wszystkie moje relacje kończyły się fiaskiem. Pragnęłam znaleźć kogoś, kto potwierdzi, że jestem warta, by ze mną zostać. Chciałam się przekonać, że zasługuję na miłość. Jednak im bardziej tego pragnęłam, tym szybciej mi to umykało. Poczucia własnej wartości nie mogą nam zapewnić inni ludzie. Albo się w siebie wierzy, albo nie. Ja nigdy w siebie nie wierzyłam.

– Wiara – powiedział cicho Zeke. – Poczucie własnej wartości to akt wiary. – Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym podjął: – Kim, twoja mama nie uciekała od ciebie. Uciekała od samej siebie. Gdy ktoś ma depresję, to tak jakby był uwięziony w płonącym wieżowcu. Nikt nie chce wyskoczyć z okna na piętnastym piętrze, ale albo wyskoczy, albo spłonie żywcem. Taka osoba nie widzi innej drogi. Ja o tym wiem.

– Skąd?

– Nie jest to dla mnie tak obcy temat, jak mogłabyś sądzić.

Coś w jego słowach napełniło mnie lękiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Gdzieś czytałem, że liczba samobójstw wśród pisarzy jest dwa razy większa niż wśród zwykłych ludzi. – Spojrzał mi w oczy. – I to jest prawda.

Lęk przygniótł mnie jeszcze bardziej.

– O czym ty mówisz?

Zawahał się.

– Próbowałem się zabić po śmierci żony.

– Co?

– Próbowałem się zabić, przedawkowując środki przeciwbólowe. Odratowali mnie w szpitalu. Żyję, ponieważ sknociłem próbę samobójczą.

Coś się ze mną stało. Coś, czego nie potrafiłam wyjaśnić ani czemu nie potrafiłam się przeciwstawić. Z najciemniejszych zakamarków mojego umysłu wypełził demon, lęk, którego nie czułam od dzieciństwa, gruby czarny wąż, który owinał się wokół moich piersi i zacieśniał uścisk tak bardzo, że zaczęło brakować mi tchu. Nie byłam w stanie mówić. Nie byłam w stanie myśleć.

Nie znajdowałam się w Vermoncie. Znowu byłam małą dziewczynką stojącą w drzwiach sypialni mamy. Patrzyłam na krew spływającą z jej ręki i krzyczałam, aby odłożyła nóż. Wszystko wokół mnie zbieleło. Zaczęłam się trząść.

– Nie!

Zeke wyciągnął do mnie dłoń.

– Kim... Co się dzieje?

– Nie! – Gwałtownie się od niego odsunęłam. – Nie. Nie dam rady. Drugi raz nie dam rady przez to przejść.

– Kim, ja nie mam skłonności samobójczych. Posłuchaj mnie. Wtedy

miałem strasznie trudny moment.

– W życiu ciągle są trudne momenty. Zawsze jest ciężko. Nie dam rady. Nie dam. – Po policzkach nieprzerwanie płynęły mi łzy. Świat wokół mnie wirował. Poczułam mdłości. – Przepraszam, ale nie dam rady.

– Teraz jest inaczej. To był tylko taki etap. Mroczny.

Drżąc na całym ciele, zaczęłam się kołysać do przodu i tyłu.

– Bardzo przepraszam. Bardzo przepraszam. Bardzo przepraszam. Bardzo przepraszam.

– Kim, nie opuszczę cię. Nigdy. Przyrzekam.

Zakryłam oczy dłońmi.

– Przepraszam. Nie potrafię ci uwierzyć. W piekle nie ma żadnych przyrzeczeń. – Zostawiłam torby z prezentami, otworzyłam drzwi samochodu i pobiegłam do hotelu.

\*

Reszta nocy to czarna dziura. Nie pamiętam, jak wróciłam do swojego pokoju. Nie pamiętam, jak się rozebrałam i ukryłam w pościeli. Jedyne, co pamiętam, to ciemność.

## Rozdział 27

*Dlaczego muszę nieustannie udowadniać sobie, że jestem swoim najgorszym wrogiem?*

Z dziennika Kimberly Rossi

Konferencja się skończyła. Wszystko się skończyło. Obudziło mnie pukanie do drzwi.

– Kim? Złotko?

Leżałam w łóżku, światła były zgaszone, zamknięte okiennice lśniły w porannym słońcu. Czułam się jak na emocjonalnym kacu. Nie chciałam nikogo widzieć. Chciałam, aby świat zewnętrzny po prostu zniknąć. Sama chciałam zniknąć.

– Kim, tu Samantha. Jesteś tam? Zaraz wzywam ochronę.

– Zaczekaj – wyjęczałam.

Wstałam, naciągnęłam na siebie szlafrok i podeszłam do drzwi. Uchyliłam je tylko na tyle, aby móc wyjrzeć.

Samantha wpatrywała się we mnie z zatroskaną miną. Na pewno wyglądałam okropnie.

– Złotko, gdzie ty byłaś?

– Wyjechałam z Zekiem.

– Czy on ci coś zrobił?

– Nie. Zostawiłam go.

– Mogę wejść?

Odsunęłam się od drzwi. Samantha weszła i objęła mnie.

– Tak mi przykro.

Po chwili zapytałam:

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Poniedziałek.

– Która godzina?

– Dochodzi dziewiąta. Z hotelu należy się wymeldować do jedenastej.

I mam wiadomość. Cowell potwierdził. Wystąpi o dwunastej. O której masz samolot powrotny?

W głowie miałam taki mętlik, że potrzebowałam chwili, aby sobie przypomnieć.

– O piętnastej, piętnastej dziesiątej. Coś koło tego.

Opadłam na krawędź łóżka. Samantha usiadła obok mnie. Chwyciła moją rękę i położyła na swoich kolanach.

– Nie zależy mi, żeby go zobaczyć – powiedziałam.

– Zeke'a?

– Cowella.

– Oczywiście, że ci zależy – zaproponowała Samantha. – Całe wieki czekałaś na taką okazję. Nie możesz jej przepuścić. Nie pozwolę ci na to.

– Nie jestem w stanie wyjść.

– Przestań – powiedziała stanowczo Samantha. – Pójdiesz tam. Żadnych wymówek, żadnego uzalania się. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz miała do siebie pretensje.

Po chwili nabrałam głęboko powietrza.

– Zgoda – powiedziałam.

– Zgoda, że pójdziesz ze mną na jego występ?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Ale najpierw muszę się ogarnąć i spakować.
- W porządku. Pójdę zarezerwować dla nas miejsca.
- Ale to dopiero o dwunastej.
- Już ustawiła się kolejka. Przyjdą tłumy. Więc nie waż się wystawić mnie do wiatru. Będę czekać na ciebie w sali balowej.
- Przyjdę.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.
- Objęła mnie.
- Przykro mi, że ci nie wyszło. – Pocałowała mnie w policzek i wyszła z pokoju.

Położyłam się na łóżku i wstałam dopiero po dwudziestu minutach. Rozebrałam się i weszłam pod prysznic. Długo siedziałam pod strumieniem gorącej wody, starając się nie dopuścić do ataku paniki. W głowie miałam mętlik. Tak wiele lat czekałam na spotkanie z E.T. Cowellem. Dlaczego więc moje myśli uparcie krążyły wokół innego mężczyzny?

## Rozdział 28

*Może to zaskakujące, ale pisarz nie zyskuje popularności, krzycząc do tłumów, ale mówiąc do nich cicho.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Na ponad dwie godziny przed występem Cowella sala była już wypełniona po brzegi. Pojawiło się przynajmniej czterokrotnie więcej słuchaczy, niż wynosiła liczba uczestników konferencji. Powrót Cowella był dla mnie wielkim wydarzeniem, ale zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że również dla milionów innych ludzi – że była to sensacja na miarę odnalezienia zwłok Jimmy’ego Hoffy. Po obu stronach sali stały kamery telewizyjne, a na podłodze przed podium siedziało przynajmniej tuzin fotografów.

Prawie dziesięć minut szukałam Samantha i w końcu wypatrzyłam ją na samym przodzie.

– Jak ci się udało zdobyć miejsca w pierwszym rzędzie? – zapytałam.

– Sala była zamknięta na klucz, a przed drzwiami czekała długa kolejka, więc wślizgnęłam się wejściem dla obsługi.

– Rzeczywiście poważnie podeszłaś do zdobycia dobrego miejsca – stwierdziłam.

– Zrobiłam to dla ciebie. Pomyślałam, że jest ci to potrzebne po niewypale z facetem.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jak się teraz czujesz?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Do moich oczu natychmiast napłynęły łzy.

– Czyli nadal źle – skwitowała Samantha. – Przykro mi. Miłość to demolka.

– To po co piszemy romanse? – zachlipałam.

– Bo ktoś musi to sprzątać.

\*

Do sali ciągle napływały tłumy, a kolejka przed drzwiami wcale się nie zmniejszyła. W pewnej chwili pojawił się szef służby przeciwpożarowej, a ochrona zaczęła zawracać wchodzących.

Napięcie w sali było wręcz namacalne. O dwunastej lampy przygasły i zapadła cisza. Pojedynczy reflektor rozjaśnił podium szerokim snopem światła. Kurtyna się lekko poruszyła i zobaczyłam, że ktoś za nią chodzi, szukając szpary. Potem ukazała się ręka.

Kiedyś rozmawiałam ze znajomą, która była na koncercie Beatlesów w apogeum ich sławy. Powiedziała, że gdy tylko kurtyna uniosła się na tyle, aby było widać stopy i kostki Beatlesów, dziewczyny wokół niej zaczęły mdleć. Takie to były emocje.

Pomimo przytłaczającego mnie smutku wyczuwałam w sali zbiorową energię, która tylko czekała, by eksplodować. Nagle obie części kurtyny się rozsunęły.

– To on! – szepnęła Samantha.

Gdy mężczyzna wyłonił się z ciemności, w sali zapadła całkowita cisza. Na moment zupełnie oniemiałam. To był on.



## Rozdział 29

*Różnica pomiędzy fikcją a faktami polega na tym, że fikcja musi stosować się do zasad logiki.*

*Rzeczywistość nie musi.*

Z dziennika Kimberly Rossi

E.T. Cowell wyglądał tak, jak wyobrażałam sobie Tolstoja. Był niewysoki, wyglądał dostojnie, trzymał się prosto i był, jak twierdził Zeke, stary. Nosił okrągłe okulary w drucianych oprawkach, a jego włosy oraz broda, która zakrywała dolną część jego twarzy, były prawie siwe. Wolnym krokiem przeszedł przez podium. W ciszy, która na chwilę zapadła, rozległo się echo jego kroków. A potem zaczął się atak paparazzich. Odgłosom pstryknięć i szumowi kamer towarzyszyły błyski fleszy.

– Miałaś rację – powiedziała Samantha. – Jest stary.

– Sędziwy – przyznałam. – Ale wygląda... całkiem dobrze.

Jego nienaganny ubiór – spodnie z ciemnej wełny, kaszmirowa marynarka i rozpięta koszula z bawełny oxford, którą nosił bez krawata – na pewno został uszyty na miarę. Gdy podszedł do mikrofonu, miałam wrażenie, że świat wokół mnie przestał istnieć. Nie byłam jednak jedyną osobą, która wpadła w trans. Wszyscy wydawali się równie zahipnotyzowani. Jakbyśmy czekali na pierwsze słowo mnicha, który złożył śluby milczenia do końca życia. Wpatrywaliśmy się w niego z zapartym tchem.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kwadratową kartkę, rozprostował ją i położył na mównicy. Potem delikatnie postukał w mikrofon

i pochylił się do przodu tak, że ustami niemal dotykał urządzenia.

– Czy to działa? – zapytał oschle.

Z tyłu sali dobiegło kilka głosów. Kiwnął głową.

– Dziękuję – powiedział.

Wyprostował się i niespiesznie, z wyrazem twarzy świadczącym o pewności siebie, powiódł wzrokiem po sali, jakby jeszcze nie zdecydował, czy zgromadzona w niej publiczność jest go warta. Potem pochylił się do przodu.

– Książki są ważne.

Te proste słowa mocno zabrzmiały w przyciemnionej sali. Jakby przemówił Bóg.

– Książki to dużo więcej niż tylko papier, klej i farba drukarska. To coś więcej niż cyfrowe wydruki. To iskry. Iskry, które wznecają pożary. Iskry, które wznecają rewolucje. Każda ważna rewolucja zaczęła się od książki.

Ponownie rozejrzał się po audytorium, jakby chcąc się upewnić, że skupia na sobie wzrok wszystkich słuchaczy.

– Każda wielka rewolucja religijna zaczęła się od książki – ciągnął dalej. – Biblia, Talmud, Koran, Tipitaka, Daodejing, Księga Mormona, *Dianetyka* – wszystkie te księgi stanowią podwaliny wielkich religii i prądów umysłowych. Miliardy ludzi wybierały określoną drogę życiową z powodu książki.

Każda rewolucja polityczna zaczęła się od książki. Począwszy od *O wolności* Johna Milla i *Manifestu komunistycznego* Karola Marksa aż po *Mein Kampf* Hitlera. Każda rewolucja kulturalna i społeczna zaczęła się od książki. *Chata wuja Toma* Harriet Beecher Stowe, książka, o której Abraham Lincoln powiedział, że spowodowała wybuch wielkiej wojny, nie tylko zapoczątkowała wojnę secesyjną, ale doprowadziła do nadal trwającej wojny o prawa obywateli, nie tylko czarnoskórych w Ameryce, ale ludzi wszystkich

ras. Długofalowy i ogólnoświatowy wpływ wywarła również *Milcząca wiosna* Rachel Carson, która zapoczątkowała ruch ekologiczny. Książki o przełomowym znaczeniu nie pojawiły się spontanicznie. Nie stworzył ich żaden komitet ani żaden zarząd. Zrodziły się w umyśle jednego człowieka, jednego pisarza. Wielu z was jest tu dzisiaj, ponieważ chcecie zostać pisarzami. Możliwe, że nie rozumiecie mocy czy konsekwencji swojego pragnienia, ale jest ono gorące. Jednak od pragnienia, by zostać pisarzem, większe jest pragnienie, by napisać coś doniosłego. Pisać prawdę. Pisarz kierujący się takim pragnieniem zdarza się rzadko. – Ponownie odchrząknął. – Może to jednak dobrze. Świat ma już chyba dosyć rewolucji.

Przerwał i upił kilka łyków wody z butelki.

– Gdy tacy pisarze się pojawią, powinniśmy ich szanować. Powinniśmy rozumieć, że zetknęliśmy się z wielkością. Dlatego mam wyjątkowy zaszczyt przedstawić pisarza, którego książki zawładnęły wyobraźnią czytelników na całym świecie. Mam zaszczyt przedstawić E.T. Cowella.

Rozległ się szum. Ktoś za mną powiedział na głos to, co pewnie pomyśleliśmy wszyscy: Więc on nie jest Cowellem?!

Samantha pochyliła się do mnie.

– To nie on. To nie jest Cowell.

Mówca ciągnął:

– E.T. Cowell należy do tego rzadkiego gatunku pisarzy, którzy wywarli istotny wpływ na swoich czytelników. Jego pierwsza książka, *Toskańska obietnica*, zdefiniowała gatunek i zainspirowała setki pisarzy oraz tysiące naśladowców.

Ludzie mniejszego formatu mogą próbować zdyskredytować wpływ Cowella, twierdząc, że pisze on tylko o miłości. Tylko. Jakby miłość była błahostką. A przecież nasze marzenia powstają z miłości, a wszystkie wielkie dokonania ludzkości zrodziły się z marzeń.

Umilkł i ponownie powiódł wzrokiem po audytorium.

– Panie i panowie, mam wielki zaszczyt powierzyć wam E.T. Cowella!

Wszyscy wstali z miejsc, łącznie ze mną. Przez chwilę nie widzieliśmy nikogo. Potem kurtyna się odsunęła. Na scenę wszedł Zeke.

## Rozdział 30

*Czasami myślimy, że znamy autora z jego książki, a potem przekonujemy się, że nie znaliśmy nawet książki.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Obaj mężczyźni się objęli, po czym przedmówca obrócił się i zniknął za kurtyną. Zeke odprowadził go wzrokiem, następnie zwrócił się twarzą do zebranych, którzy nadal bili huczne brawa. Oprócz mnie. Stałam jak sparaliżowana.

– Dziękuję – powiedział Zeke, unosząc rękę. – Dziękuję. Jesteście bardzo mili. Proszę, usiądźcie. – Oklaski tylko trochę osłabły. – Proszę.

Minęło kilka minut, zanim wszyscy ponownie usiedli.

– Chciałbym podziękować swojemu agentowi, panu Harveyowi Yospe'owi, za płomienne i niezbyt skromne wprowadzenie. – Powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy, jakby kogoś szukał. Nasze spojrzenia się spotkały. Zamarłam. Przez moment nie spuszczał ze mnie wzroku, po czym spojrzał gdzie indziej.

– Minęło trochę czasu, odkąd stałem przed audytorium. Dużo czasu. Brakowało mi tego. W odróżnieniu od moich książek moim przemówieniom nie nadaję tytułów, ale zauważyłem, że gospodarze tej imprezy wyręczyli mnie w tym kłopotcie. I bardzo trafnie zatytułowali moje wystąpienie: *Dlaczego przestałem pisać*. Właśnie o tym będę mówił. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym zadzwonił do mnie pan Yospe. Mieszkałem wtedy

w Bethlehem w Pensylwanii. Rzadko się zdarza, aby rzeczywistość prześcigała nasze marzenia. Był to pierwszy z wielu takich dni w moim życiu. W tamtym czasie uczyłem angielskiego w liceum i dostawałem skromną pensję. Aby uczcić szczęśliwą odmianę losu, z Emmą, moją żoną, poszliśmy zaszaleć do Pizza Hut.

Publiczność się roześmiała.

– Książką, którą zainteresował się pan Yospe, była *Toskańska obietnica*. Trzy tygodnie po tym, jak zatrudniłem go jako swojego agenta, ruszyła szalona lokomotywa. Moja książka została wystawiona na licytację dla wydawców i sprzedana za ponad dwa miliony dolarów. Z dnia na dzień stałem się multimilionerem. Potem sprzedałem prawa do jej ekranizacji. Wzięli w niej udział wielcy reżyserzy i wielcy aktorzy. Poproszono mnie, a przynajmniej pozwolono mi zostać współscenarzystą i współproducentem filmu. Moje życie naprawdę zmieniło się z dnia na dzień.

Niektórzy z was są tu prawdopodobnie dlatego, że chcą być mną. A przynajmniej tacy jak ja. Chcecie zakosztować luksusowego życia autora bestsellerów, o którym opowiadała na tej scenie moja koleżanka, pani McCullin. Zdaję sobie sprawę, że dla pisarza marzącego o sukcesie jestem ucieleśnieniem sukcesu. Wiem o tym. Po pięciu latach, odkąd zacząłem pisać, Scott Simon z National Public Radio zapytał mnie: „Jak się pan czuje, wiodąc życie, którego zazdrozczą panu tysiące początkujących pisarzy?”. Odpowiedziałem: „Jak szczęściarz”. – Zeke pokiwał wolno głową. – Jak szczęściarz, powiedziałem.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

– Jak szczęściarz – powtórzył ciszej. – Niecałe pół roku później odpowiedziałbym: „Jak przekłety”. Moja żona, Emma, miłość mojego życia, była bardzo skrytą osobą. Skrytą i nieśmiałą. Niemal patologicznie nieśmiałą. Była taka, gdy ją poznałem, gdy się z nią umawiałem na randki i gdy ją

poślubiłem. Poza tym była urocza, czuła i zadowolona z prostego życia, które wiedliśmy, gdy byłem nauczycielem. Różniła się w tym względzie od mnie, ponieważ ja nie byłem zadowolony. Ja chciałem więcej. I parłem do tego z całą determinacją. Gdy moja kariera nabrała rozpędu i zaczęto naruszać naszą prywatność, Emma czuła się coraz bardziej niekomfortowo. Myślałem, że jakimś wyjściem z sytuacji będzie unikanie kamer i aparatów fotograficznych. W żadnej z moich książek nie ma moich zdjęć. Rzadko występowałem w telewizji, a od przeprowadzających ze mną wywiady dziennikarzy prasowych wymagałem, aby zamiast mojego zdjęcia zamieszczali fotografię mojej ostatniej książki. Kiedyś magazyn „People” chciał dać zdjęcie rodziny Cowellów na rozkładówkę. Wiedziałem, że to wyróżnienie. Mojemu wydawcy bardzo zależało na rozgłosie, ale Emma była przerażona. Zaczęliśmy więc zastanawiać się nad alternatywnymi sposobami zrobienia sesji, ale fotograf uparł się, że przyjedzie do nas i zrobi zdjęcia, gdy Emma i ja razem gotujemy. Jeśli tego nie zauważyliście, „People” uwielbia zdjęcia robione w kuchni. To przesądziło sprawę. W czasach gdy każdy pisarz na tej planecie dobija się o zainteresowanie mediów, ja robiłem wszystko, aby go uniknąć.

Jednak moje postępowanie tylko podsyciło zainteresowanie i ciekawość ludzi. Sprzedaż moich książek ciągle rosła. A wraz z każdą książką, każdym filmem i każdą wielomilionową zaliczką coraz bardziej zanikało życie, które prowadziliśmy kiedyś z Emmą. Moja ukochana powoli stawała się dla mnie kimś obcym – częścią poprzedniego życia, które już ledwo pamiętałem. Prawie nigdy nie było mnie w domu, bo jeździłem i przemawiałem na spotkaniach z czytelnikami. Ale nawet w objazdach udawało mi się do pewnego stopnia zachować anonimowość. Nie zezwalałem na robienie mi zdjęć. Zapuściłem brodę i nosiłem w pomieszczeniach ciemne okulary, jeszcze zanim wprowadził tę modę Bono. Owszem, pieniądze z tego były

wielkie.

Pokręcił głową.

– To było nieprzyzwoite: od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy dolarów za czterdziestopięciominutowe wystąpienie. Dostawałem więcej, niż zarabiałem rocznie kilka lat wcześniej. Z czasem coraz bardziej naciskano na mnie, abym pisał więcej. Dwie książki rocznie. Potem trzy. Nauczyłem się pisać w samolocie, na lotniskach i w apartamentach drogich hoteli w miastach, których nigdy nie zdążyłem nawet zobaczyć. Byłem wszędzie i jednocześnie nigdzie. Gdy nie podróżowałem po Stanach, wyjeżdżałem do Europy, Kanady, Południowej Afryki, a potem do Azji. I z każdym kolejnym lotem oddalałem się od Emmy zarówno dosłownie, jak i w przenośni. To chyba można nazwać ironią losu. Emma była miłością mojego życia. Zadeedykowałem jej swoją pierwszą książkę, ponieważ była moją inspiracją.

Oczy mu pociemniały.

– Inspirowała mnie swoim życiem. Wiedziałem, że idziemy złą drogą. Ale ciągle jej powtarzałem, że to niedługo się skończy.

Podrapał się po głowie.

– Miałem rację. Skończyło się, ale nie tak, jak myślałem. Nie miałem pojęcia, jak bardzo Emma cierpi. Nie należała do tych osób, które się skarżą, jednak jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Kiedyś powiedziała mi: „Nasze życie się zmieniło”. Odparłem: „Tak, na lepsze. Mamy piękny dom, ładne samochody, stać nas na drogie wakacje, mamy wszystko, czego kiedyś pragnęliśmy”. Emma popatrzyła na mnie ze smutkiem i powiedziała: „Ja już miałam to, czego pragnęłam”. I dodała: „A teraz cię straciłam”. Byłem w Chicago z promocją książki, gdy przyszło mi do głowy, że dziecko mogłoby pomóc usunąć rozdźwięk w naszym małżeństwie. Zawsze myśleliśmy o powiększeniu rodziny. Pomyślałem, że jeśli Emma urodzi dziecko, nie będzie się czuła taka samotna. Może nie będzie taka smutna.



Dwa miesiące później zaszła w ciążę. Nie było mnie w domu, gdy się o tym dowiedziała. Nie było mnie, gdy poszła na pierwszą wizytę do lekarza. Nie było mnie, gdy jej powiedziano, że to będzie dziewczynka. Ciąża przebiegała dobrze, nie działo się nic nietypowego. Aż do chwili...

Jego głos się załamał.

– Emma była w piątym miesiącu. Pakowałem się przed kolejnym wyjazdem, gdy powiedziała do mnie: „Proszę, zostań”. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale w tamtej chwili jej głos brzmiał jakoś inaczej. Było coś szczególnego w sposobie, w jaki mnie poprosiła. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem kogoś wyciągającego do mnie rękę. Kogoś zdesperowanego. Kogoś, kogo kiedyś znałem. Coś mi mówiło, że to punkt zwrotny w naszym małżeństwie. Wiedziałem, że powinienem zostać. Wiedziałem, że ten poprzedni ja, mężczyzna, który się z nią ożenił, zostałby.

Urwał, po czym podjął cichszym, skruszonym głosem.

– Ale Emma miała rację. Już nie byłem tym mężczyzną. I nie zostałem. W audytorium w Teksasie czekało na mnie dziesięć tysięcy obcych mi osób, z których każda wydała trzydzieści siedem dolców, aby mnie zobaczyć. Obcy ludzie. Byli dla mnie ważniejsi od mojej miłości.

Zeke umilkł pod wpływem fali bólu. Czułam, jak cierpi.

– Byłem w Dallas, kiedy mnie powiadomiono. Emma dostała w nocy krwotoku. Wykrwawiła się na śmierć.

Ktoś za mną gwałtownie wciągnął powietrze. Wszyscy siedzieliśmy nieruchomo. Wielu szlochało. Zeke zdjął okulary i wytarł oczy.

– Wykrwawiła się na śmierć, ponieważ nie było mnie przy niej. Nie mam pojęcia, czy coś wiedziała – czy może miała przecucie – ale to, czy wiedziała, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Wisiała nad przepaścią i wołała do mnie o pomoc, a ja...

Umilkł na sekundę.

– Pozwoliłem jej odejść. Gdzieś po drodze zamieniłem swoje serce na czek i miejsce na liście bestsellerów.

Siedzący wokół mnie ludzie pociągali nosem i wycierali oczy chusteczkami. Ja też nie byłam w stanie powstrzymać łez, które płynęły mi po policzkach.

– Wróciłem do domu... Ale nie było już żadnego domu. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to ona była moim domem. Zniknąłem. Upiłem się, by stępić ból. Potem napiłem się, aby zatrzymać pracę mojego serca. Ale to się nie udało, więc połknąłem środki przeciwbólowe. Sprzątaczką znalazła mnie nieprzytomnego i zadzwoniła na numer alarmowy. Uratowała mi życie.

Umilkł i spojrzał na słuchaczy.

– Dlaczego przestałem pisać? Przestałem pisać, ponieważ byłem oszustem. Zdradziłem miłość, więc nie zasługiwałem, by o niej pisać.

Słyszałam rwany oddech Samantha. Taki sam jak mój. Zeke nabrał głęboko powietrza.

– Tak więc, moi drodzy ambitni pisarze, oto warta pięć centów rada od człowieka, który osiągnął szczyt kariery, a potem się z niego rzucił. Macie piękne marzenie i jesteście przekonani, że gdy ono się spełni, nareszcie zaczniecie żyć. Nie stoję tu przed wami, aby odebrać wam to marzenie. Wszyscy potrzebujemy marzeń. Ale macie już życie, macie bliskie wam osoby. Nigdy nie zamieniajcie tego, co kochacie, na to, co kryje się za kurtyną B. Nigdy. Oddałbym wszystko, co mam, wszystko, co przeżyłem, aby tylko móc zobaczyć swoją ukochaną siedzącą teraz w pierwszym rzędzie.

– Ponownie nabrał głęboko powietrza. – Oddałbym wszystko, aby być wami: anonimowymi i pełnymi nadziei ludźmi. – Jego głos załamał się pod wpływem wzruszenia. – Oddałbym wszystko, aby być biednym nauczycielem angielskiego w Bethlehem w Pensylwanii.

Odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę ponadczterystuosobowa widownia

siedziała jak porażona w całkowitej ciszy. Potem zerwały się huraganowe brawa, które biliśmy na stojąco. Zeke nie wyszedł, aby za nie podziękować.

## Rozdział 31

*Chwile, które najbardziej chcemy zapomnieć, z reguły są tymi, których nigdy nie zapomnimy.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Gdy zapalono światła na widowni, siedziałam skamieniała ze wzruszenia. Na policzkach miałam ślady łez. Ludzie wokół mnie podnosili się z miejsc i wychodzili z sali powoli, jakby w oszołomieniu, a ja siedziałam i wycierałam oczy.

– Wiedziałaś o tym wszystkim? – zapytała Samantha.

– Nie miałam pojęcia, że to on.

– Musisz z nim porozmawiać.

Moje oczy znowu napełniły się łzami.

– Za późno. Wszystko zniszczyłam. Pomyślałby, że zależy mi na E.T. Cowellu. – Wolno wypuściłam powietrze z płuc. – Pora wracać do domu.

\*

Z powodu tłumów uczestników konferencji znalezienie taksówki zajęło nam prawie pół godziny. Samolot Samantha startował trzydzieści minut wcześniej niż mój i trochę się denerwowałam, że moja przyjaciółka się spóźni.

– Przestań się zamartwiać zmartwieniami innych ludzi – powiedziała. – Masz dość własnych spraw. Poza tym już mi się zdarzało spać na lotnisku. To nic straszego.

– Będzie mi ciebie brakować – powiedziałam.

– Na pewno nie. – Pocałowała mnie w policzek. – Będziemy w kontakcie.

Przyjechałyśmy na lotnisko z kilkuminutowym zapasem czasu. Samantha leciała inną linią lotniczą, więc najpierw zatrzymałyśmy się przy jej terminalu. Wsiadłam razem z nią.

– Bardzo się cieszę, że cię poznałam – powiedziała.

– A ja, że poznałam ciebie. Uratowałaś mnie.

– Nie, to ty mnie uratowałaś. Masz mój numer. Musisz przyjechać do Montany. Zabiorę cię na konną wycieczkę, gdy stopnieje śnieg.

– Przyjadę latem.

– Świetnie – powiedziała. – W takim razie trzymam cię za słowo.

Uścisnęłyśmy się. Samantha szepnęła mi do ucha:

– Przykro mi, że nie wyszło ci z Zekiem. Ale tego nie żałujesz, prawda? Ilu kobietom udało się złamać serce E.T. Cowella?

Uśmiechnęłam się smutno.

– Chyba tylko dwóm.

– Uważaj, bo prawdopodobnie znajdziesz się w jednej z jego książek. Już widzę ten tytuł: *Hotel Pod Jemiołą*.

– Oby nie.

– Oby tak. – Ucałowała mnie i schyliła się po swoją torbę. – Do lata. *Au revoir*.

– Do widzenia.

Samantha odwróciła się i weszła do terminalu. Wsiadłam do taksówki.

– Proszę do Delty – powiedziałam.

– Wracamy do domu? – zapytał kierowca.

– Tak.

– W sam raz na święta. Miała pani przyjemny pobyt w Vermoncie?

– Sama nie wiem.

Kierowca tego nie skomentował.

## Rozdział 32

*Przed niektórymi porażkami nie jesteśmy w stanie uciec.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Podczas lotu do Denver cały czas biłam się z myślami. Gdybym tylko znała tę całą historię, dręczyłam się. Ale przecież taka jest istota miłości, prawda? Nigdy nie znamy całej historii. Najlepszym sprawdzianem naszego uczucia jest sposób, w jaki reagujemy na to, co znamy. Zeke mi się zwierzył, a ja go odrzuciłam. Dałam plamę. Zawiodłam go. Nie zasługiwałam na niego. Może jednak nie wszystko stracone... Potem zjawiała się myśl: Nie pochlebiaj sobie. To E.T. Cowell. Na pewno setki kobiet już ustawiły się w kolejce po szansę, którą ty zmarnowałaś. A będzie ich więcej, zwłaszcza po tym, jak prawdziwa historia jego miłości trafi do mediów. Jest lepsza od wszystkich historii, które napisał.

Lot był bezpośredni i z powodu zmiany stref czasowych wylądowałam w Denver tuż przed zachodem słońca, około siedemnastej. Podczas mojej nieobecności miasto nawiedziło kilka dużych burz śnieżnych i z samolotu wyglądało jak białe pomarszczone prześcieradło.

Odebrałam bagaż i podjechałam autobusem wahadłowym na parking, gdzie stał mój samochód. Nie było łatwo go znaleźć, ponieważ pod grubą powłoką śniegu wyglądał jak igloo. Z tylnego siedzenia wzięłam miotłkę do śniegu, odśnieżyłam auto i pojechałam do Thornton.

W moim mieszkaniu było równie ciemno i zimno jak w mojej duszy.

Zapomniałam, jaka w moich czterech ścianach panuje cisza. Zapaliłam światła, podkręciłam ogrzewanie i wzięłam gorący prysznic. Pół godziny później, gdy w bojlerze skończyła się ciepła woda, wyszłam z wanny, ubrałam się i poszłam do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia. Lodówka świeciła pustkami, więc ugotowałam ramen, a potem pojechałam do sklepu spożywczego.

Czekając w kolejce, przyjrzałam się towarom wykładanym przez stojącą przede mną klientkę. Oprócz produktów spożywczych na taśmociągu znalazło się też tanie romansidło, z rodzaju tak zwanych „rozrywaczy staników”, z długowłosymi przystojniakami o obnażonych klatkach piersiowych na okładce.

– Kiedyś sprzedawaliśmy tego więcej – powiedziała do klientki kasjerka.  
– Ale teraz ludzie po prostu ściągają książki z Internetu.

– Ja tam jestem staroświecka – skomentowała klientka. – Lubię dotykać papier. No i lubię czytać w wannie. Czytnik to bym pewnie zaraz upuściła do wody.

– Wiem, o czym pani mówi. Gdy mi się spodoba jakiś pisarz, to czasami kupuję e-book i papierową książkę. – Skończyła kasować towary. – Czterdzieści dziewięć i pięć. Tutaj może pani włożyć kartę.

Klientka przesunęła kartę przez czytnik, a kasjerka dodała:

– Słyszałam w wiadomościach, że E.T. Cowell wydaje nową książkę.

Kobieta spojrzała na nią z żywym zainteresowaniem.

– Myślałam, że on nie żyje.

– Skądże. Tylko przestał pisać. Ale teraz wraca.

– Uwielbiałam jego książki – powiedziała kobieta.

– Jak my wszystkie. Już zamówiłam tę najnowszą przez Internet.

– Dzięki za wiadomość.



– Nie ma za co. Miłego dnia. – Kasjerka zwróciła się do mnie: – Dobry wieczór, złotko. Papierowa czy plastikowa?

– Poproszę plastikową.

Zaczęła przesuwać moje zakupy nad czytnikiem.

– Te czerwone papryki można teraz korzystnie kupić. Ma pani kartę rabatową stałego klienta?

– Tak. Proszę. – Podałam jej kartę.

Przesunęła ją nad czytnikiem i oddała mi z powrotem.

– Trochę pani zaoszczędzi.

Gdy pakowała moje zakupy do torby, powiedziałam:

– Przypadkiem słyszałam pani rozmowę. Tak się składa, że niedawno poznałam E.T. Cowella.

– Naprawdę? Jaki on jest?

Niespodziewanie do moich oczu napłynęły łzy.

– On...

Po moim policzku popłynęła łza. Nagle pożałowałam, że się wygadałam.

– Przepraszam – powiedziałam, wycierając oczy rękawem.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

– Reagowałam tak samo, gdy czytałam którąś z jego książek. Ten facet zarabia, doprowadzając kobiety do płaczu. – Skończyła pakować moje zakupy. – Miłego wieczoru.

– Wzajemnie.

Idąc do samochodu, uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę w stanie uciec przed Zekiem.

## Rozdział 33

*Rutyna to ratunek dla tchórzy, nieudaczników oraz mądrych ludzi.*

Z dziennika Kimberly Rossi

W poniedziałek rano z radością wróciłam do pracy. Potrzebowałam czegoś, co zajęłoby moje myśli i pozwoliło zapomnieć o bólu. Kilka minut po tym, jak usiadłam za biurkiem, do mojego biura wszedł Steve.

– Fajnie, że wróciłaś. Rachelle jest tak przejęta swoim ślubem, że ciągle popełnia błędy. Jak było na targach książki?

– Na konferencji dla pisarzy – sprostowałam. – I było świetnie.

– Świetnie – powtórzył. – Tylko pamiętaj, że gdy twoja książka osiągnie sukces, to nie znaczy, że możesz nas tu zostawić.

– W najbliższym czasie nie będziesz musiał nikogo szukać na moje miejsce.

Jego uśmiech zgasł.

– Powinienem się cieszyć, ale nie potrafię. Zaslługujesz na odmianę.

– Dzięki, Steve.

– Witaj w domu.

To był pracowity dzień. Sprzedaż samochodów zawsze wzrasta przed Bożym Narodzeniem. Naszą klientelę stanowiły osoby z rodzaju tych, które wpadają do salonu w Wigilię i mówią: „Chcę nowe auto dla mojego męża (albo żony), ma być dostarczone w Wigilię i przewiązane wstążeczką”, a my

poruszamy niebo i ziemię, aby tak się stało. Przez cały ranek napływał do mojego biura nieprzerwany potok klientów. W końcu udało mi się wyrwać na krótką przerwę na lunch o trzynastej.

Gdy weszłam do pokoju socjalnego, Rachelle jadła lunch z Charlene, jedną z nowych pracownic działu sprzedaży.

– Hej, Kim! Poznałaś E.T. Cowella na tej konferencji, z której wróciłaś?  
– powitała mnie Rachelle.

Zeke przyszedł za mną nawet do pracy, pomyślałam. Kiwnęłam głową.

– Owszem. Był głównym mówcą. – Podeszłam do lodówki i wyjęłam puszkę dietetycznej coli.

– Fantastycznie! – entuzjasmowała się Rachelle. – W dzisiejszym „USA Today” jest artykuł o nim. A wiesz, że nikt nie wiedział, jak on wygląda? Zamieścili jego zdjęcie prawie na całą stronę. Jest megaprzystojny.

– Co napisali w tym artykule? – zapytałam.

– Że powraca z nową książką i że już sprzedał prawa do ekranizacji. I nareszcie powiedział, dlaczego przestał pisać. Z powodu śmierci żony. Romantycznie, co nie? Po tym, jak osiągnął wielki sukces, popełniła samobójstwo.

– Ale właściwie dlaczego to zrobiła? – dociekała Charlene. – Ludzie marzą o takim życiu, a nie zabijają się z jego powodu.

– Ona się nie zabiła – sprostowałam. – To był wypadek.

Rachelle pokręciła głową.

– Nieprawda, zabiła się – stwierdziła stanowczo. – Właśnie przeczytałam o tym w gazecie.

– Ktokolwiek napisał ten artykuł, wypaczył fakty – powiedziałam. – Jego żona była w ciąży, poroniła i umarła wskutek krwotoku. To był wypadek.

Rachelle nie wyglądała na przekonaną.

– A ty wiesz o tym, bo...?

– Bo mi powiedział! – warknęłam. Słyszając swój głos, zawstydyłam się. Obie kobiety wpatrywały się we mnie.

– E.T. Cowell powiedział ci, jak umarła jego żona? – zdziwiła się Rachelle.

– Rozmawiałaś z E.T. Cowellem? – zapytała niedowierzająco Charlene.

– Tak.

Rachelle patrzyła na mnie sceptycznie.

– Że niby nie w tłumie, tylko bezpośrednio?

Poczułam się, jakbym rozmawiała z sześciolatkami. Wrednymi sześciolatkami.

– Tak, rozmawiałam z nim tak, jak teraz rozmawiam z wami.

Rachele miała minę, jakby siłą powstrzymywała się od śmiechu.

– Więc ty i E.T. Cowell jesteście teraz najlepszymi przyjaciółmi.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale mówisz o bardzo osobistych sprawach...

Wolno wypuściłam powietrze z płuc, aby opanować irytację.

– Tak. Spotkaliśmy się kilka razy.

Rachelle miała na twarzy wypisane tak wyraźne niedowierzanie, jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem.

– Byłaś na kilku randkach z E.T. Cowellem? – zadrwiła.

– Tak, byłam na kilku randkach z E.T. Cowellem. Dlaczego tak trudno wam w to uwierzyć?

Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

– Sama tego nie rozumiem – powiedziała z rozbawieniem Rachelle. – Jak możemy nie wierzyć, że potajemnie umawiasz się z jednym z najślawniejszych pisarzy świata?

Nie spuszczały ze mnie wzroku.

– Macie rację – przyznałam. – Ja też bym w to nie uwierzyła. Dlaczego miałyby chcieć umówić się z kimś takim jak ja?

Zabrałam colę do swojego biura, zamknęłam drzwi i się rozpłakałam.

## Rozdział 34

*Nie wiem już, gdzie jest dom, ale chcę się w nim znaleźć.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Tata zadzwonił wieczorem, gdy wracałam z pracy.

– Nie odezwałaś się.

– Przepraszam. Kiepsko się wczoraj czułam. A jak u ciebie z samopoczuciem?

– Dobrze – odparł zdawkowo. – Jak przebiegła pozostała część konferencji?

– Dobrze.

– Biorąc pod uwagę koszt tej imprezy, spodziewałem się czegoś więcej niż tylko tego, że było „dobrze”.

– Przepraszam, było wspaniale. Znacznie lepiej niż w San Francisco.

– A jak wypadł Cowell? Był wart tych pieniędzy?

Zawahałam się.

– Wolałabym nie poruszać tego tematu.

– Więc sama konferencja była wspaniała, ale Cowell sprawił zawód.

– Tego nie powiedziałam. Chodzi o to, że... – Urwałam. – To skomplikowane – powiedziałam po chwili.

Byłam pewna, że ojciec wyczuł, że coś się za tym kryje. Potrafił czytać w moim sercu lepiej niż billboardy na Times Square, ale wiedział również,

kiedy przestać drażnić.

– Przyjedziesz na Boże Narodzenie, prawda?

– Tak. W niedzielę wieczorem, jeśli to nie problem.

– Skądże.

– Gdybym mogła, przyjechałabym wcześniej, ale w pracy mamy szaleństwo, a nie było mnie przez tydzień.

– Rozumiem.

Westchnęłam.

– Muszę się stąd wynieść.

– Może to dobra pora, żebyś wróciła do domu, córeczko.

Po raz pierwszy w życiu nie zaprzeczyłam.

– Może tak – przyznałam.

Spodziewałam się, że tata jak zwykle naskoczy na mnie, że odpuszczam, ale nic takiego nie powiedział. Był albo zbyt zaskoczony, albo usłyszał w moim głosie nutę porażki. Pewnie to ostatnie.

– Cieszę się, że przyjedziesz, kiedy będziesz mogła – powiedział w końcu. – Ty jesteś dla mnie Bożym Narodzeniem.

– Dziękuję, tato. Do zobaczenia w niedzielę wieczorem.

Rozłączając się, odepchnęłam od siebie myśl, że może to być nasze ostatnie wspólne Boże Narodzenie.

## Rozdział 35

*Nareszcie dobra wiadomość. Nareszcie.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Począwszy od Święta Dziękczynienia, kasyna w Las Vegas prowadzą intensywną kampanię reklamową poza Stanami Zjednoczonymi, co powoduje, że tuż przed Bożym Narodzeniem na lotnisku zawsze kłębią się tłumy zagranicznych turystów. Mój samolot wylądował o wpół do dziesiątej i po trwającej niemal godzinę przepychance z innymi pasażerami w końcu odebrałam bagaż i spotkałam się z tatą przed terminalem.

Jak zwykle wysiadł z samochodu, aby się ze mną przywitać. Jego wygląd mnie przeraził. Już w Święto Dziękczynienia był szczupły, ale potem najwyraźniej stracił jeszcze pięć, a może więcej kilogramów. Miał też zapadnięte i podkrążone oczy, jakby od jakiegoś czasu źle sypiał. Musiałam bardzo się starać, aby nie pokazać, że się zmartwiłam. Pomimo złego stanu jego twarz promieniała radością.

– Jak podróż, kochanie?

– No wiesz, zwykle świąteczne szaleństwo.

Gdy mnie objął, poczułam, jak bardzo zeschuplał. Rak czynił w nim spustoszenie. Nie mogłam uwierzyć, że lekarze każą ojcu czekać na operację aż do lutego. Było dla mnie oczywiste, że skoro choroba postępuje w tak dużym tempie, w lutym może już być za późno.

– Tak się cieszę, że cię widzę – powiedział tata, całując mnie w policzek.



Otworzył drzwi samochodu od strony pasażera i położył moją torbę na tylnym siedzeniu.

Ze smutkiem zauważyłam, że podniesienie torby sprawiło mu kłopot. Co znaczyło, że stracił również tkankę mięśniową.

Gdy wyjechaliśmy z lotniska, wyłączył radio i powiedział:

– Mam dobre wieści.

Spojrzałam na niego.

– Żenisz się.

– Powiedziałem „dobre”.

– Mów.

– Mam nowego onkologa.

– W szpitalu weteranów?

Uśmiechnął się, jakby nie mogąc doczekać się, kiedy mi powie.

– Nie, w klinice Hendersona. Operują mnie w najbliższy piątek.

Serce mi zadrżało.

– Słucham?

– Dalej jest jeszcze lepiej. Lekarz nazywa się Lance Bangerter. Jest uznawany za jednego z pięciu czołowych onkologów w kraju specjalizujących się w leczeniu raka jelita grubego.

Choć tata włączał się właśnie w ruch na autostradzie, przechyliłam się w jego stronę i go uściskałam.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – Do oczu napłynęły mi łzy. – Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

– Chyba mam – odparł. – Podziękuj Bogu. On to załatwił.

– Myślałam, że twoje ubezpieczenie nie pokrywa leczenia u Hendersona.

– Nie pokrywa.

– Nieważne – skwitowałam. – Warto wydać z własnej kieszeni. Dam ci

każdy pens, który mam.

Spojrzał na mnie z czułością.

– Wiem, że tak byś zrobiła, słonko. Ale nie musisz. Wszystko zaczyna się układać. Los się do mnie uśmiechnął.

– Nikt bardziej od ciebie nie zasłużył na jego uśmiech.

– Trudno mi się na ten temat wypowiadać. Ale im dłużej żyję, tym bardziej się przekonuję, że Pan Bóg tkwi w szczegółach.

\*

Wjechaliśmy na podjazd. Tata chwycił moją torbę i choć cierpiałam, widząc, jak mu jest ciężko, wiedziałam, że nie pozwalając mu jej nieść, sprawiłabym mu wielką przykrość.

Gdy weszliśmy do domu, zauważyłam brak akwarium.

– Gdzie twoje rybki?

– Umarły – odparł, kręcąc głową. – Więc wszystko sprzedałem. Chyba wybrałem dla siebie niewłaściwe hobby.

Rozejrzałam się po domu. Tata jak zwykle ustawił choinkę w pokoju od frontu, z boku telewizora. Było to jedno z tych drogich sztucznych drzewek, które wyglądają jak żywe. Wisiały na nim czerwone i srebrne bombki oraz łańcuchy migoczących kolorowych lampek, a na czubku paliła się gwiazda. Pod drzewkiem leżały prezenty, które, jak wiedziałam, były dla mnie. Zmartwiłam się, że wydał pieniądze nie tylko na moje uczestnictwo w konferencji, ale i na upominki gwiazdkowe.

– Lepiej, żeby nie były dla mnie – powiedziałam, wskazując paczki.

– A dla kogo innego mogłyby być?

– Sfinansowałeś mój pobyt na konferencji.

– Nie odmawiaj staremu człowiekowi odrobiny radości.

– Nie jesteś stary – zaproponowałam. I uśmiechnęłam się. – I to ty jesteś radością.

Gdy weszliśmy do mojego pokoju, tata powiedział:

– Pójdę już. Na pewno jesteś wyczerpana. W Denver dochodzi północ.

Wiedziałam, że jest bardziej zmęczony ode mnie, ale powiedziałam:

– Dobranoc, tato. Do zobaczenia rano.

Podszedł do drzwi.

– Dziękuję, że się jednak zdecydowałeś na klinikę.

Uśmiechnął się.

– Pamiętaj, kochanie. Nasze najlepsze lata są ciągle przed nami.

\*

Po jego wyjściu rozebrałam się, zgasłam światło i weszłam pod kołdrę. Leżąc w łóżku, uśmiechałam się. Ostatnio wiele rzeczy ułożyło się nie po mojej myśli, ale teraz ta najważniejsza szła w dobrym kierunku. Ojciec zostanie objęty opieką, jakiej potrzebuje. Nie miałam pojęcia, jak za nią zapłacimy, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodziło. Liczyło się tylko to, że tata dostał szansę. Wiedziałam, że pomimo wielu przykrych doświadczeń mogłam uważać się za kobietę, której sprzyja szczęście. Zrobiło mi się tak smutno, że zapagnęłam zadzwonić do Zeke'a i mu o tym powiedzieć.

## Rozdział 36

*Nadchodzi zmiana. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem, ale czuję, że tak się stanie.*

Z dziennika Kimberly Rossi

W wigilijny poranek wstałam wcześnie, włożyłam dres i wyszłam na spacer. Temperatura wynosiła około dwudziestu stopni Celsjusza, prawdziwy upał w porównaniu z Denver. Dlaczego więc mieszkam w Denver?

Na drogach panował już duży ruch i domyśliłam się, że to liczni spóźnialscy pędzą zrobić świąteczne zakupy w ostatniej chwili.

Wpatrując się w horyzont, z przyjemnością wdychałam suche, pustynne powietrze. Nadeszła pora na zmianę w moim życiu. Nadchodził nowy rok. Nowy rok, nowe życie. Denver to sympatyczne miasto, ale Las Vegas było moim domem. Nareszcie byłam gotowa, by wrócić do domu. Musiałam wrócić. Ojciec będzie potrzebował opieki podczas rekonwalescencji. Byłam mu to winna. Poza tym naprawdę chciałam mu pomóc. Był jedyną osobą, która nigdy mnie nie zawiodła. Najwyższa pora, bym mu się odwdzięczyła.

Im dłużej myślałam o przeprowadzce, tym bardziej wydawała mi się ona rozsądna. W Las Vegas było mnóstwo salonów samochodowych, wśród nich przynajmniej trzy Lexusa. Z moim doświadczeniem i referencjami nie powinnam mieć żadnych problemów ze znalezieniem pracy. Będzie mi oczywiście brakować Steve'a. Ale nikogo więcej. Nie Rachele. Zdecydowanie nie jej.

Wizja przeprowadzki do domu napełniła mnie radością. W pracy miałam

się stawić dopiero 2 stycznia. To dawało mi cały tydzień po świętach na znalezienie pracy i załatwienie spraw. Musiałam jedynie przetrwać Boże Narodzenie.

## Rozdział 37

*W życiu jednostek, podobnie jak narodów, zdarzają się mroczne dni.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Magia Bożego Narodzenia polega na przywoływaniu wspomnień. Znane piosenki, kolędy i ozdoby większości ludzi przywodzą na myśl przyjemne obrazki z minionych świąt – chwile wspólnej radości z rodziną i ukochanymi osobami.

Tata i ja mieliśmy zupełnie inne skojarzenia. Dla nas Boże Narodzenie oznaczało najgorsze, najczarniejsze wspomnienia. W pierwszy dzień świąt 1995 roku odkryliśmy, że mama się zabiła.

Dla mnie tamten dzień był szczególnie makabryczny. Było rano. Rozpakowałam prezenty z tatą, bo mama leżała w łóżku z powodu migreny.

Pamiętam, co wtedy dostałam. Trauma powoduje trwałe połączenie w naszej pamięci przypadkowych zdarzeń. Dostałam mordoklejki o nazwie Szwedzkie Rybki i Cytrynki, ubrania, album *Pieces of You* Jewel i najbardziej wyczekiwany prezent: odtwarzacz CD marki Sony.

Gdy rozpakowałam ostatni prezent, tata wstał i poszedł zobaczyć, co u mamy. Pomyślałam, że trochę potrwa, zanim wróci, więc założyłam słuchawki i włączyłam *Who Will Save Your Soul* na swoim nowym odtwarzaczu. Nawet przez muzykę usłyszałam jego krzyk. Pobiełam do sypialni i zobaczyłam tatę klęczącego przy nieruchomym ciele mamy. Szlochał.

## Rozdział 38

*Prawda wyzwala nie tylko z kajdan, w które zakuli nas inni, ale – znacznie częściej – z tych, które sami sobie założyliśmy.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Gdy wróciłam, tata był w kuchni i przygotowywał śniadanie. Słysząc było bożonarodzeniową muzykę.

– Dzień dobry! – przywitał mnie.

– Co dzisiaj robimy? – zapytałam.

– Przygotowujemy potrawy. I oczywiście jemy kolację w Nefrytowym Smoku.

– Oczywiście.

W każdą Wigilię, z wyjątkiem lat, gdy byłam żoną Marcusa, razem z ojcem jechaliśmy na chińszczyznę do restauracji Nefrytowy Smok. Tę wigilijną tradycję zaczerpnęliśmy z naszego ulubionego *Prezentu pod choinkę*, klasycznego filmu bożonarodzeniowego z Ralphiem i jego strzelbą Red Ryder BB.

– Muszę zrobić małe zakupy – powiedziałam.

– Weź samochód.

Miałam już prezenty dla taty, ale chciałam się wyrwać z domu w nadziei, że uda mi się uciec przed atakami paniki. Poza tym zamierzałam obejrzeć salony samochodowe. Były oczywiście otwarte i stali w nich klienci. Jak już mówiłam, zawsze ktoś robi zakupy w ostatniej chwili.

Nie udało mi się uciec przed zmorami, bo nie można uciec przed mgłą. Wraz z zapadnięciem zmierzchu czułam się jeszcze gorzej. Ojciec oczywiście to zauważył. Jestem pewna, że się tego spodziewał. Pojechaliśmy na kolację o osiemnastej. Tata opowiadał dowcipy i zabawne historyjki o szpitalu dla weteranów, ale nic nie było w stanie rozproszyć mojego posępnego nastroju. Zjedliśmy świąteczny posiłek i wróciliśmy do domu. Tata czuł się coraz bardziej nieswojo z powodu mojego zachowania.

– Co się stało? – zapytał, gdy weszliśmy do domu.

– Wiesz co – odparłam. – Nie znoszę Bożego Narodzenia.

– Wiem. Nigdy go nie lubiłaś. A przynajmniej odkąd...

– Odkąd moja matka je zniszczyła? – zapytałam, mówiąc to, czego on nie chciał powiedzieć.

Zapadła cisza. Po chwili tata podjął temat:

– Kochanie, muszę ci coś powiedzieć o twojej mamie.

– Nie chcę o niej rozmawiać.

– Wiem. I przez lata szanowałem twoje uczucia. Ale tym razem musisz mnie wysłuchać. Przejdźmy do salonu.

Zaskoczyła mnie stanowczość w jego głosie. Wcześniej nigdy nie mówił do mnie w ten sposób. Poszłam za nim i usiadłam na kanapie naprzeciwko jego fotela. Nabrał głęboko powietrza i spojrzał na mnie poważnie.

– Kim, nie było mi łatwo wychowywać cię samotnie, zwłaszcza po tym, co przeszłaś. Staralem się jednak najlepiej, jak umialem. Przepraszam, że nie byłem lepszym ojcem.

Słuchałam go z niedowierzaniem.

– Nie mów takich rzeczy. Jesteś najlepszym ojcem, jakiego mogłabym mieć.

– Sam nie wiem. Zawsze wierzyłem, że warto pozwolić ci być sobą



i podejmować własne decyzje. Ale chyba popełniłem błąd. Bywały w życiu sytuacje, gdy milczałem, a powinienem był zabrać głos. Na przykład wtedy, gdy wychodziłaś za Marcusa. Wiedziałem, że to łajdak. Powinienem był się sprzeciwić. Nie wiem, czy byś mnie posłuchała, ale żałuję, że nie zrobiłem nic, by temu zapobiec. Jest jednak sprawa, w której zawiniłem bardziej niż w wypadku Marcusa. Chodzi o twoją mamę. Musisz coś o niej wiedzieć – coś, czego moim zdaniem w pełni nie rozumiesz – a powinnaś. Wysłuchaj mnie uważnie. – Pochylił się do przodu i choć wydawał się stary i zmęczony, spojrzenie miał bystre i wyraziste. – Kim, chcę, abyś wiedziała, że kochałem mamę nie tylko wtedy, gdy żyła, ale kocham ją nadal. I wiedząc to, co wiem teraz, znowu bym się z nią ożenił.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Dlaczego?

– Znałem twoją mamę w jej najlepszych czasach. Nie poznałaś jej od tej strony, ale była jasna, ciepła i radosna jak słońce. Była moją jedyną prawdziwą miłością. Uleczyła mnie z wojennej traumy. Była przy mnie w najcięższych chwilach. Była przy mnie, gdy miałem koszmary. Jako dziecko myślałaś, że mama ma na imię Tessa. Słyszałaś, jak zwracam się do niej wymyślonym przez siebie przydomkiem Tesoro. To włoskie słowo, które znaczy „skarb”. Bo tym dla mnie była. Moim skarbem. Pierwsze lata naszego małżeństwa były piękne. Mamie trochę dokuczała depresja, była dziedziczna w jej rodzinie, ale z nią walczyła i zawsze wracała do formy. Jednak po urodzeniu ciebie popadła w najgorszą depresję, jaką kiedykolwiek u niej widziałem. To miało coś wspólnego z przemianami biochemicznymi. Walczyła z tym stanem przez wiele lat. Robiła wszystko, co każdy lekarz, każdy terapeuta kazał jej robić. Kiedyś, za radą terapeuty holistycznego, nagle odstawiła wszystkie leki. Siedziałem przy niej całą noc, gdy zmagала się ze skutkami odstawienia. Pot lał się z niej strumieniami, trzęsła się

i płakała, ale się nie poddawała. Robiła wszystko, co uważała, że powinna. Nie dla siebie, ale dla ciebie i dla mnie. Niestety, zamiast poprawy nastąpiło pogorszenie. Choroba zaczęła ją przygniatać. Depresja to straszna rzecz. Opanowuje człowieka jak pasożyt, żywiąc się jego nadzieją i godnością tak długo, aż nie zostanie z nich nic. Mama nie starała się uciec od ciebie czy ode mnie. Próbowała uciec od tego potwora, który zżerał ją od środka. Jej samobójstwo spowodowało niewyobrażalne cierpienie u ciebie i u mnie. Ale musisz pamiętać, jak zaciekle mama walczyła o to, by z nami pozostać. Przegrała tę walkę, ale była równie dzielna jak żołnierze, których widziałem na polu bitwy. – Tata spojrzał mi w oczy. – A teraz odpowiedz mi szczerze. Gdyby pokonał mnie rak, pomyślałabyś, że cię porzuciłem?

Rozpłakałam się.

– Oczywiście, że nie.

– No właśnie. Oczywiście, że tak byś nie pomyślała. I o swojej mamie też nie powinnaś tak myśleć. Ludzie wyrażają sądy i opinie na temat samobójstw i depresji w oparciu o własne doświadczenia, ale to tak samo, jak opisywać powierzchnię Marsa, nigdy tam nie będąc. Ja nie byłem. Mogę się tylko domyślać, jak tam wygląda. Depresja niszczy zdolność mózgu do racjonalnego myślenia. Rzeczy, które przerażyłyby kogoś zdrowego na umyśle, osobie chorej wydają się właściwym krokiem. Na przykład odebranie sobie życia. Możliwe, że chory myśli, że oddaje przysługę tym, których kocha. – Po jego policzku popłynęła łza. – Mama zostawiła list pożegnalny. Napisała, że nareszcie będziemy mogli żyć szczęśliwie. Myślała, że postępuje właściwie.

Po chwili milczenia powiedziałam cicho:

– Chcesz, abym jej wybaczyła?

Ku mojemu zaskoczeniu tata pokręcił głową.

– Wybaczenie jej nie pomoże. Odeszła. Chcę, abyś wybaczyła samej

sobie.

– Co mam sobie wybaczyć?

– Wiem na pewno, że gdzieś w głębi duszy, wbrew temu, co sobie wmawiamy, myślimy, że mogliśmy jakoś zapobiec temu, co się stało. Próbujemy też złagodzić ból złością. Ale złość to nie siła. Ona tylko z pozoru wygląda jak siła. W rzeczywistości to słabość. U jej podstaw leży strach. Strach przed zmierzeniem się z tym, co może być prawdą.

Pochyliłam głowę. Czulałam, jakby wszystko w niej wirowało.

– Powinienem powiedzieć ci to wszystko dużo, dużo wcześniej. Ale przez wiele lat sam tego nie rozumiałem. Zmagałem się z własnymi demonami. Bo widzisz, depresja mamy nasiliła się po tym, jak ciebie urodziła. Gdyby nigdy nie rodziła...

Podniosłam wzrok.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

– Skądże znowu! – zaprzeczył stanowczo. – Ty nie miałaś nic do powiedzenia w tej sprawie. Ale ja tak. I wiele razy zastanawiałem się... – Opuścił wzrok. Gdy ponownie na mnie spojrział, jego oczy lśniły od łez. – Ona wiedziała. W liście pożegnalnym napisała: „Zrobiłabym to jeszcze raz, dla Kimberly. Jest jedynym pięknym światłem, które świeci w mojej ciemności. Choć nie potrafię być matką, jaką chciałabym być, ani matką, na jaką Kim zasługuje, nigdy nie żałowałam, że postanowiłam ją urodzić”.

Tata zaczął płakać. Potem we mnie pękła tama i fala emocji zalała całe moje jestestwo. Wybuchnęłam rozpaczliwym płaczem, który wstrząsał moim ciałem. Ojciec podszedł i mocno mnie objął.

Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Po tych wszystkich latach nareszcie oplakiwałam swoją mamę.

\*

Ojciec trzymał mnie w ramionach. Kiedy w końcu zaczęłam się uspokajać, powiedział:

– Pora spać.

Pomógł mi wstać i poszedł do łazienki. Przyniósł stamtąd myjkę nasączoną ciepłą wodą.

– To był dla ciebie traumatyczny wieczór – powiedział. – Nie myśl już dłużej o tym, tylko przyłóż tę myjkę do twarzy i się odpręż. Twój umysł musi wypocząć. Psychiatra wojskowy powiedział mi, że to pomaga.

– Dziękuję.

– Kim, pamiętaj, że nasze najlepsze lata są ciągle przed nami.

Uścisnęliśmy się, po czym poszłam do swojego pokoju. Wyłączyłam światło, położyłam się do łóżka i przyłożyłam ciepłą myjkę do twarzy. Starłam się oczyścić umysł. I po raz pierwszy od wielu lat w Wigilię poczułam spokój.

– Wesołych świąt – powiedziałam do siebie. – I szczęśliwego nowego roku.

Zasnęłam natychmiast.

## Rozdział 39

*Nic, co robimy z radością, nie idzie na darmo.*

Z dziennika Kimberly Rossi

Nazajutrz tata obudził mnie radosnym powitaniem „Wesołych świąt!”, trzymając swoją Biblię w ręku. Zgodnie z naszą tradycją przeczytaliśmy drugi rozdział Ewangelii według św. Łukasza. Potem sięgnęliśmy pod choinkę i otworzyliśmy prezenty. Kupiłam tacie dużą torbę pasków suszonego mięsa z indyka, skarpetki, płaszcz kąpielowy frotté oraz książkę o hodowaniu rybek słonowodnych.

– Książkę możesz zwrócić – zaznaczyłam.

Tata kupił mi nowy laptop.

– To za dużo – powiedziałam.

– Żebyś mogła pisać – wyjaśnił. – Proszę. – Podał mi jeszcze jeden upominek do rozpakowania. W środku był słownik synonimów. – Czytałem w Internecie, że jest bardzo przydatny.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Tato, nikt nie chce wydać mojej książki.

– I co z tego? Nie ubiegam się o kontrakt z wytwórnią płytową, ale to mnie nie powstrzymuje przed śpiewaniem pod prysznicem.

– A powinno – skwitowałam, śmiejąc się.

Tata też się roześmiał.

– Powinno, ale nie powstrzyma. A ty pisz, bo uwielbiasz pisać. Tak samo jest ze śpiewaniem. Pamiętaj o tym.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Dzięki, tato.

\*

Po rozpakowaniu wszystkich prezentów zjedliśmy tradycyjne świąteczne śniadanie składające się z cienkich naleśników z dżemem morelowym i bitą śmietaną. Tata robił najlepsze na świecie cienkie naleśniki.

– Wczorajszy wieczór był wyjątkowy – powiedział, gdy jedliśmy. – Dobrze spałaś?

– Bardzo dobrze. Od lat nie spałam tak dobrze. – Uśmiechnęłam się. – Do chwili, gdy obudziłam się z zimną, mokrą myjką na twarzy.

Uśmiechnął się.

Nałożyłam sobie jeszcze jeden naleśnik.

– Ostatnio sporo myślałam. I doszłam do wniosku, że pora na zmianę w moim życiu. I podjęłam decyzję. Wracam do domu. – Spojrzałam tacie w oczy. – Jeśli to nie problem.

Na twarzy taty pojawił się szeroki uśmiech.

– To wspaniale.

– Będę przy tobie, gdy będziesz potrzebował pomocy. Tęsknię za domem.

– Cudowna wiadomość. Najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki w życiu dostałem.

– To się cieszę. W takim razie od jutra zacznę szukać pracy. – Zjadłam kilka kęsów. – Wiesz, to dziwne, ale czuję, że masz rację. Może rzeczywiście najlepsze lata są ciągle przed nami.

Tata, który nie przestawał się uśmiechać, odkąd poinformowałam go o swojej decyzji, powiedział:

– O tak, kochanie. Bardziej, niż się spodziewasz. A teraz się pośpiesz. Musimy wziąć się do gotowania.

\*

Gdy szykowaliśmy świąteczny obiad, zauważyłam, że tata postawił na stole dodatkowe nakrycie.

– Chuck albo Joel z nami zjedzą? – zapytałam.

Tata pokręcił głową.

– Nie. Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej. Chuck zmarł.

Przerwałam mycie ziemniaków.

– Kiedy?

– Gdy byłaś na konferencji. Byłem przy nim, gdy umierał. Jestem za to wdzięczny. Nikt nie powinien umierać w samotności.

– A co się dzieje z Joelem? Pomyślałam, że mogłabym się z nim spotkać, skoro tu jestem.

– To chyba nie byłby najlepszy pomysł – powiedział tata.

– Dlaczego?

– Jego żona wróciła.

– Serio? A to niespodzianka.

– Dla Joela też. Zadzwoił do mnie dwa tygodnie temu i powiedział, że przyjechała go odwiedzić. Zapytała, czy jej wybaczy i da szansę.

– I dał?

– O tak. Czasami, kiedy się tego najmniej spodziewamy, ludzie robią to, co należy. A najlepsza wiadomość jest taka, że będą się starać o dziecko.

– Joel jest w stanie? To znaczy fizycznie...?

– Nie. Będą musieli skorzystać ze sztucznego zapłodnienia. Ale naturalne zapłodnienie nie robi jeszcze z mężczyzny ojca.

– W takim razie przyjdzie do nas Alice?

– Nie. Do oderwania jej od wnuków potrzebny byłby facet silniejszy ode mnie.

– Jej strata – skwitowałam.

– Alice jest absolutnie szczęśliwa. We wnukach jest coś magicznego. Mam nadzieję, że kiedyś sam się o tym przekonam.

– Wyczuwam presję. W takim razie kto z nami zje?

– Jeden z moich współpracowników. Pomagam mu w pewnym projekcie. Mieszka na wschodzie kraju, przyjechał tu w interesach i jest sam, więc go zaprosiłem. Zjawi się za kilka minut.

– Co to za projekt?

– Nic ciekawego. Chodzi o sprawy kadrowe. Spotkał jedną z moich dawnych pracownic z Maverick. Powiedziała mu o mnie, a on szukał kogoś w Vegas. Jak się okazało, nasz gość jest znajomym doktora Bangertera. To on umówił mnie z doktorem. Ale facet ma takie wpływy, że doktor Bangerter przyjechał do mnie do domu.

– Jeden z najlepszych onkologów w kraju przyjechał na wizytę domową?

– Wiem. Sam mało nie padłem z wrażenia. Najwyraźniej warto mieć odpowiednich znajomych.

– Tak się cieszę, tato!

Gdy wróciłam do mycia ziemniaków, rozległ się dzwonek u drzwi.

– Jeśli nikogo się nie spodziewasz – powiedział tata – to chyba nasz gość. Mogłabyś otworzyć?

– Jasne. – Ruszyłam do drzwi. – Jak ma na imię?

– Będziesz wiedziała.



– Niby skąd?

– Po prostu mi zaufaj.

Otworzyłam drzwi. Na werandzie stał Zeke.

## Rozdział 40

*Zaczęła się nowa pieśń.*  
Z dziennika Kimberly Rossi

Stałam jak wryta. Jakbym śniła i zastygła, nie wiedząc, co zrobić.

Zeke się uśmiechnął.

– Widzę, że ojciec nie powiedział ci, że przyjdę.

– Nie.

Tata podszedł i stanął za mną.

– Kim, nie zapominaj o dobrych manierach. Zaproś Zeke’a do środka.

– Przepraszam – bąknęłam.

Nadal byłam w szoku. Odsunęłam się, by Zeke mógł wejść. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Jak się czujesz, Rob? – zapytał Zeke.

– Dziękuję, dobrze. Jestem ci wdzięczny. Doktor Bangerter chce mi pomóc. Dziękuję, że mi to umożliwiłeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wodziłam wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

– Skąd się znacie?

– Zeke do mnie zadzwonił – odparł tata, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. – Poprosił o zgodę na umawianie się z moją córką i powiedziałem: „Tak”. To twój pierwszy chłopak, który miał dość klasy, by

do mnie zadzwonić. – Zwrócił się do Zeke'a: – Jeszcze nie skończyliśmy przygotowań do obiadu. Zostawiam was, żebyście mogli sobie porozmawiać.

– Dziękuję – powiedział Zeke.

Zaczekał, aż tata wyjdzie, i zwrócił się do mnie:

– Wesołych świąt.

Byłam tak zaskoczona, że zdołałam wydusić z siebie tylko:

– Dziękuję, że wspomogłeś tatę.

– Potrafię zrozumieć, dlaczego go uwielbiasz. Jest dobrym człowiekiem.

Nadal nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Domyślałam się, że byłaś zaskoczona, dowiadując się, że Zeke Faulkner i E.T. Cowell to jedna i ta sama osoba.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś Cowellem?

– Nigdy o to nie zapytałaś.

– Bo nie jest to pytanie, które zwykle zadaję ludziom.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– To zrozumiałe.

– Dlaczego przedstawiłaś się jako Zeke?

– Bo całe życie jestem Zekiem. E.T. to skrót od Ezechiasza Tobiasza – wyjaśnił. – Ezechiasz. Kto daje dziecku na imię Ezechiasz? Ty też byś używała imienia Zeke.

Pomimo silnego napięcia niemal się uśmiechnęłam.

– Dlaczego przyjechałaś na konferencję?

– Bo mnie poproszono o wygłoszenie mowy – odparł. – Mój wydawca uznał, że to będzie doskonały moment na mój „wielki powrót”, co wyjaśnia tak wielkie zainteresowanie prasy krajowej. Przyjechałem jednak wcześniej, aby pobyć z jeszcze niewydawanymi pisarzami. Właśnie tego było mi trzeba. Chciałem poczuć ich pasję. Chciałem przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle

zaczęłam pisać. Gdybym powiedział, kim jestem, wszyscy zachowywaliby się zupełnie inaczej.

Miał rację. Wiedząc, kim jest, nie potrafiłabym z nim rozmawiać.

– Chciałam do ciebie podejść po twoim wystąpieniu, ale nie wiedziałam, co powiedzieć po tym, jak się okropnie zachowałam. I to dwa razy. – Spojrzałam mu w oczy. – Nie sądziłam, że zechcesz mnie widzieć.

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Powiedziałem ci w Nowym Jorku, że się w tobie zakochałem. I to jest prawda. Po zakończeniu konferencji nie mogłem przestać o tobie myśleć. Nie chciałem utracić miłości. Już kiedyś tak postąpiłem. Postanowiłem nie powtarzać tego błędu.

– Jak nas znalazłeś?

– To akurat było łatwe. Powiedziałaś, że za twój udział w konferencji zapłacił twój ojciec, zadzwoniłem więc do organizatorów i poprosiłem o numer kontaktowy. Zadzwoniłem do twojego ojca i przedstawiłem się. Powiedziałem, że poznaliśmy się na konferencji i że proszę o jego zgodę na to, bym mógł się zalecać do jego córki, oraz że moje zamiary są uczciwe.

– Uczciwe – powtórzyłam. – To się musiało tacie spodobać.

Zeke się uśmiechnął.

– Chyba był pod wrażeniem. Ale uwierz mi, nie był zbyt przychylny. Uznałem więc, że najlepiej będzie, gdy spotkam się z nim osobiście. Powiedziałem mu, że ty i ja rozstaliśmy się w dramatycznych okolicznościach, i poprosiłem o radę, jak się z tobą spotkać. Tata uznał, że najlepszy moment będzie właśnie teraz. Więc przyjechałem ponownie.

– A co z lekarzem?

– Wiedziałem, że się martwisz opieką medyczną ojca. Zebrałem miliony dolarów dla Instytutu Hendersona i doktor Bangerter powiedział, że gdybym kiedyś czegoś potrzebował, to mam poprosić. Więc poprosiłem. Jako dowód

mojej wdzięczności dla twojego ojca za pomoc. No i może jako mała łapówka.

– Łapówka?

– To prawo wzajemności. Wiedziałem, że jeśli wykonam jakiś wspaniałomyślny gest, ty przynajmniej dasz mi szansę, abym mógł odzyskać twoją miłość.

– Nigdy jej nie straciłeś.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, po czym zaczęliśmy się całować. Po kilku minutach Zeke oderwał usta od moich i powiedział podekscytowany:

– Mam dla ciebie prezent gwiazdkowy. – Wyjął z marynarki kopertę i mi ją podał.

– Co to?

– Otwórz.

W kopercie znajdował się list od Trish Todd, redaktorki Działu Literatury dla Dorosłych w wydawnictwie Simon & Schuster.

– Co to jest?

– Zaniósłem twoją książkę do mojej redaktorki, a ona powiedziała, że jej się podoba. W liście napisała, że jeśli zechciałabyś wprowadzić kilka poprawek, przy których chętnie ci pomogę, to wydawnictwo zaproponuje ci umowę.

Oniemiałam na moment. Podniosłam wzrok znad listu.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę chcą wydać moją książkę?

Uśmiechnął się.

– Zgadza się. Powiem im też, że pomogę promować twoją książkę wśród swoich czytelników. Jeśli jeszcze jakichś mam.

– Cały świat czeka na twoją kolejną książkę – powiedziałam. – Wszyscy

o niej mówią. – Patrzyłam na niego przez chwilę. – Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

Wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Spodziewałem się, że o to zapytasz. I przygotowałem trzy odpowiedzi. Pierwsza: jestem autorem romansów. Uwielbiam szczęśliwe zakończenia. Po drugie: jesteś niezwykle urocza. Trzecia, najważniejsza: usłyszałem muzykę i zapragnąłem z tobą zatańczyć.

– A gdy muzyka się skończy?

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, ponownie wziął mnie w ramiona i zaczęliśmy się całować. Gdy się od siebie odsunęliśmy, Zeke powiedział:

– Gdy lub jeśli muzyka się kiedykolwiek skończy, nie ma się czym martwić.

– Dlaczego?

– Dlatego, że gdy ta piosenka się skończy, skomponujemy własną.

## *Epilog*

**Z**eke został ze mną przez cały poświęcony tydzień. Nie zaczęłam szukać pracy. Zbyt byłam zajęta pracą nad książką pod okiem Zeke'a. Wyobraźcie sobie pobieranie nauk od jednego z największych pisarzy na świecie. Uczył mnie, jak słowami wyrażać bezbronność. Uczył, jak kochać swoich czytelników. Uczył, jak pisać szczerze.

Obserwowanie, jak do Zeke'a napływają słowa – zdawałoby się – znikąd, jakby był czarodziejem, było niesamowitym doświadczeniem. Pisanie książki traktował nie jak jej tworzenie, ale bardziej jak jej odkrywanie. William Faulkner powiedział kiedyś: „Gdybym nie istniał, ktoś inny napisałby mnie, Hemingwaya, Dostojewskiego, nas wszystkich”. Zeke w to wierzył. I mnie też nauczył w to wierzyć.

\*

Zaczęłam nowy etap życia. W sylwestra pojechałam sama na grób mojej matki i położyłam na nim kwiat. Anturium. Gdzieś w niedawno otwartym zakamarku mojego umysłu przechowywałam pamięć o tym, że mama lubiła anturium. Uklękłam, pocałowałam kamienną płytę jej nagrobka i przeprosiłam ją. Podziękowałam jej za to, że dała mi życie kosztem swojego. Po raz pierwszy pomyślałam o niej nie jako o zdrajczyni czy nieudacznicy, ale jak o prawdziwej osobie, która bardzo się starała. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa znowu ją pokochałam. I, po czasie,

poczułam jej miłość.

Próbowałam namówić tatę, aby razem ze mną i Zekiem zjadł sylwestrową kolację w eleganckiej restauracji hotelu Bellagio. Nic z tego. „Jestem za stary na ten cały noworoczny rozgardiasz”, powiedział. „Chcę się położyć”.

Wkrótce stało się jasne, dlaczego tata się wymówił. W pierwszej minucie 1 stycznia 2013 roku Zeke poprosił mnie o rękę. Gdy wróciliśmy do domu, tata nie spał. Tym razem ucieszył się z mojego wyboru.

Pierścionek, który wtedy dostałam, był wypożyczony ze sklepu jubilerskiego. (Miał brylant, na którego widok Catherine McCullin zaczęłyby się ślinić). Następnego dnia wybraliśmy się na zakupy do Tiffany’ego i oglądając cacka stosowne dla księżniczki, zdałam sobie sprawę, czego naprawdę chcę. Wieczorem zapytałam tatę, czy mogłabym dostać malutki, wykonany z różowego złota półkaratowy pierścionek zaręczynowy mamy. Nic nie mogłoby taty bardziej uszczęśliwić. Podobnie jak Zeke’a.

\*

Po naszych zaręczynach Zeke poleciał ze mną do Denver pomóc mi w wyprawdzie. Pojechał też ze mną do salonu samochodowego po moje rzeczy. Myślę, że postanowił pokazać się u mnie w pracy po tym, jak mu opowiedziałam o drwinach Rachelle i Charlene. Przedstawił się moim koleżankom jako E.T. Cowell, po raz pierwszy i jedyny w mojej obecności. Szkoda, że nie widzieliście ich reakcji. Śmialiśmy się z ich min przez całą kolację.

Przeprowadzka do Vegas nie była dla Zeke’a żadnym problemem, zwłaszcza że tata poddał się operacji. Mój narzeczony powiedział, że zawsze chciał mieszkać na Zachodzie. Początkowo myślałam, że jedynie stara się być miły, ale potem przekonałam się, że jest inaczej. W skrytości ducha zawsze chciał być kowbojem, o czym napisał książkę. (Która kobieta nie



kocha się w kowboju?) Latem pojechaliśmy do Montany zobaczyć się z Samanthą i pojeździć na koniach. Zeke kupił ranczo.

Operacja i rekonwalescencja taty przebiegły pomyślnie. Dziś mija trzeci miesiąc remisji. Kupiliśmy dom o dziesięć minut jazdy od niego. Tata nadal udziela się jako wolontariusz w szpitalu dla weteranów, ale spędza też więcej czasu z Alice, która, jak się okazało, jest fanatyczną miłośniczką E.T. Cowella. Trochę to irytujące.

Jak pewnie pamiętacie, powrót Zeke'a do pisania wstrząsnął światem wydawniczym. Zewsząd posypały się zaproszenia i wraz z Zekiem ruszyłam na spotkania z czytelnikami w Londynie, Tokio, Sydney i Warszawie. Zeke postarał się, aby data wydania jego kolejnej powieści zbiegała się z moim debiutem, z wydaniem *Obietnicy pod jemiolą*. Jak można się było spodziewać, obie nasze książki znalazły się na szczycie listy bestsellerów „New York Timesa” – choć oczywiście jego na pierwszym miejscu, a moja na ósmym. Niemniej jednak mogę nazywać się pisarką bestsellerową. Gdy dostaliśmy listę przed jej oficjalną publikacją, Zeke chyba bardziej się ucieszył z mojego sukcesu niż ze swojego. Właściwie jestem tego pewna. Tak, wiem, że trafiłam na tę listę dzięki jego pomocy – dzięki jego uwagom podczas pisania oraz licznym zastępom jego wielbicieli – ale i tak jest to cudowne uczucie. Czuję, że dokonałam czegoś ważnego. Nawet dostaję listy od wielbicieli.

\*

3 maja 2014 Zeke i ja wzięliśmy ślub w San Gimignano we Włoszech, w miasteczku, w którym urodzili się rodzice mojego ojca. Samantha była moją główną druhną. Przyjechała ze swoim mężem Walterem. To świetny facet. Do waszej wiadomości: nie sądzę, aby Samantha się ustatkowała. Chodzi mi po głowie pomysł na książkę o miłości, której akcja rozgrywa się

we Włoszech, i żałuję, że podczas konferencji nie poszłam na ten wykład, pamiętacie, *Każdy romans prowadzi do Romy*. O naszym ślubie pisały wszystkie magazyny, co oczywiście było znacznie przyjemniejsze niż poprzednie zainteresowanie mediów moją osobą.

Przy okazji: dwa miesiące po naszym ślubie zadzwonił do mnie Marcus. Wiedział o Zeke'u i o tym, że piszę. Zapytał, czy napisałabym mu referencje, bo ubiegał się o posadę nauczyciela w liceum. Już byłam gotowa się zgodzić, gdy pomyślałam o tych wszystkich młodych dziewczętach, wśród których by się znalazł, i odmówiłam.

\*

Najważniejsza rzecz, jakiej Zeke nauczył mnie o miłości, nie ma nic wspólnego z książkami. W romansach liczy się namiętność oraz „żyli długo i szczęśliwie”, a podstawą szczęśliwego związku nie jest namiętność – przynajmniej nie związków opisywanych w romansidłach. Prawdziwa miłość nie polega na pożądaniu osoby, ale pragnieniu jej szczęścia – czasami nawet kosztem własnego. Prawdziwa miłość to nadzwyczajna wyrozumiałość i troska, to czynne dążenie do dobrostanu ukochanej osoby. Wszystko inne to po prostu maskowanie własnych egoistycznych pragnień.

Tego nauczył mnie Zeke. Nie słowami, ale własnym przykładem. Nauczył mnie tańczyć. I oboje uprawiamy się w sztuce komponowania własnej muzyki.

Mój ojciec miał całkowitą rację. Najlepsze lata są ciągle przed nami.

Tytuł oryginału

*The Mistletoe Inn*

Copyright © 2014 by Richard Paul Evans

Copyright © for the translation by Hanna de Broekere

Projekt okładki

Izabella Marcinowska

Fotografie na okładce

Copyright © Lucky Business / [Shutterstock.com](http://Shutterstock.com)

Copyright © Elena Elisseeva / Dreamstime

Opieka redakcyjna

Monika Janota

Monika Kucab

ISBN 978-83-240-4733-8

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)